

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 11 (180) Listopad 2019



Nic, co krakowskie,
nie jest nam obce...



15 lat z miesięcznikiem „Kraków”



9 771733 045903 10

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

jan hrunkowski

Opowieść artysty

The Artist's Story

wystawa

exhibition

08.11.2019

08.03.2020

mnk
140 LAT

Gmach Główny
Main Building

al. 3maja 1
mnk.pl



Jan Matejko, *Rejtan w 1773* (1866) – zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie, domena publiczna

Cnota i wybory

Tekst: Ewa Łętowska

Ponieważ mamy okres powyborczy, takie oto mi pytania zadano:

Posel ma reprezentować Naród (suwerena) – jak chce teoria i konstytucja, ale jest jasne, że ogląda się też na swoich wyborców i partię. Jak parlamentarzysta ma rozwiązywać konflikty między racją stanu, sprawnością państwa a interesami i postulatami elektoratu oraz linią partii?

Czy mandat (i wolność parlamentarna) jest czymś ograniczony?

I
Posel jest reprezentantem całego narodu, a nie swego województwa, powiatu, miasta

czy ziemi. Tak jest współcześnie, i to nie tylko u nas. To koncepcja „wolnego mandatu” urzeczywistniająca myśl o zwierzchnictwie narodu „sprawującego władzę przez swych przedstawicieli” (art. 4. konstytucji). A art. 104. polskiej konstytucji powiada: „Posłowie są przedstawicielami Narodu. Nie wiążą ich instrukcje wyborców”. Posel jest więc w sprawowaniu mandatu niezależny; ci, którzy go wybrali, nie mogą mu nic nakazać ani go odwołać, jeżeli są niezadowoleni z jego zachowania. Inaczej jednak było pod rządem

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Miecinas Muzeum Narodowego
w Krakowie
Patron of the National Museum
in Krakow

Partner Strategiczny Muzeum
Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the
National Museum in Krakow

Partner wystawy
Exhibition Partner

Partners mediów
Media Partners



Teatr
w Krakowie

KULTURA

TYTUŁ

POLSKIE
RADIO

RADIO
KRAKÓW

LiveLife

inyour
polska

DZIENNIK POLSKI

III

konstytucji z 1952 r., deklarowano tam – co do zasady – odwołalność posła. Inna rzecz, że była to możliwość raczej teoretyczna.

Historycznie wcześniejszy jest „mandat związany”. Tu wyborcy imperatywnie instruują swego deputata. A nieukontentowani – mogą go odwołać. W demokracji szlacheckiej sejmiki wybierające posłów do sejmu nie tylko kreśliły mu granice poselskiej swobody, często nim kierowały, dając ścisłe instrukcje, nawet mówiące wprost, co reprezentantom

Wolne wybory są kamieniem węgielnym demokracji, jej warunkiem *sine qua non*, ale są zarazem warunkiem niewystarczającym.

wolno, a czego się zabrania. Mandat imperatywny pozornie pogłębia demokratyczną więź między wybierającymi i ich przedstawicielami. Jest jedno zastrzeżenie: w rzeczywistości to świetna okazja do targów, prywaty i kupowania głosów. I jeżeli ktoś szuka instrumentów powodujących, że demokracja się stacza ku oligarchii – może wskazać przykład „mandatu imperatywnego”. Znamy to z polskiej historii.

II
Szekspirowski Koriolan, który po zwycięskiej wojnie ma być obwołany w Rzymie konsulem, musi uzyskać nie tylko poparcie „swojego” patrycjuszowskiego senatu, ale i trybunów ludowych. Musi o te głosy nie tylko pokornie poprosić, ale i wyjść naprzeciw oczekiwaniom, bo plebs liczy na benefity za swe głosy. Koriolan jest pyszny i gardzi sprędnym tłumem, „gdzie tacy bezkarnie rejdą, co sami rządzić nie umiejąc, nie chcą być rządzonymi”. Ale jest też w Koriolanie świadomość obywatelskiej odpowiedzialności, zrozumienie brzemienia władzy, a jednocześnie obrzydzenie do wyborczego handlu. „Żądaliśmy tego, bo stanowimy większość, i z bojaźni, / Dano nam, cośmy chcieli” – prześmiewczo cytuje trybunów. I dalej z gorzkim sarkazmem:

„Tym sposobem
Sami wzruszamy świętość naszych posad
I przyprawiamy się o to, że szuja
Troskliwość naszą nazywa bojaźnią.
Przyjdzie do tego z czasem, że wyłamią
Rygle senatu i że wrony będą
Dziobały orłów”.

Wszystko się kończy – jak wiadomo – źle: i dla bohatera, i dla jego sławy, i dla Rzymu, gdzie „prawdziwe potrzeby ustąpić muszą chwilowym błyskotkom. A gdzie jest taka przewrotność, tam wszystko prędzej czy później musi się przewrócić”. Kuchnia wyborcza, czyli Koriolan.

III
Podręcznikach głoszą, że kamieniem węgielnym demokracji parlamentarnej jest zasada mandatu wolnego. Wtedy posłowie mogą się koncentrować na swej roli jako niezależnych reprezentantów, nie będąc wykonawcą konkretnych decyzji determinowanych wolą wyborców, partii czy związków zawodowych. To jednak jest tylko półprawda, fasadowa zasada normatywna, czyli „jak być powinno”.

Wybory to kosztowna i skomplikowana operacja. „Ktoś” musi je zorganizować i za nie zapłacić. Tym „kimś” są współcześnie partie polityczne. Czasem jakieś inne potencje. Bez nich niezależnemu trudno nawet wystartować. A partie mają ciężką rękę. Posłowie oficjalnie nie mają obowiązku realizacji programu partyjnego, ale są uzależnieni w wieloraki sposób od klubu. Nierzadko są związani dyscypliną głosowania i trzymaniem na krótkiej smyczy, bo klub ogranicza nawet swobodę wypowiedzi. Elektroniczne przekazy dnia na smartfonach tę smycz jeszcze skracają.

Można barwy partyjne zmienić. Ale i tu partie się bronią. W Samoobronie z groźbą secesji walczone za pomocą weksla *in blanco*. Każdy poseł musiał go wystawić, a kierownictwo partii miało – zgodnie z deklaracją wekslową – go uzupełnić wysoką, rujnąjącą kwotą, gdyby dysydentowi przyszło do głowy zmieniać partyjne barwy. Samoobrona nie była tu pierwsza – już wcześniej PSL też miał podobne pomysły, tylko na mniejszą skalę. Do uruchomienia poselskich weksli nigdy jednak nie doszło. Wystarczyła sama groźba ich wypełnienia. W rzeczywistości takie weksle są prawnie bezwartościowe. Za granicą, gdzie konstytucjonalizm dojrzalszy, wiedzą o tym profesorowie prawa konstytucyjnego. U nas ludzie bardziej łatwowierni: łatwo wierzą w pozór treści prawa, nie podejrzewając, że chodzi o *Etikettenschwindel*. Weksle wymuszające posłuszeństwo posłów są niekonstytucyjne jako środek związania ich mandatów, a skierowane do realizacji – powinny być traktowane przez sąd jako nieważne. Ich

moc wynika li tylko z efektu mrozącego, jaki wywierają, z wiary, że jednak coś znaczą.

Jeżeli w parlamencie jedna z partii ma bezwzględną przewagę i ani nie chce (kultura, cnota obywatelska), ani nie musi (arytmetyka) się liczyć z koniecznością kompromisu czy sojuszy – wówczas poseł dysponujący formalnie mandatem wolnym, realizuje mandat partyjnie związany.

Na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku Milovan Đilas, jugosłowiański polityk, zakwestionował dogmat głoszący, że w socjalizmie władza należy do ludu pracującego miast i wsi. Napisał (i został za to oficjalnie potępiony), że w krajach socjalistycznych władzę tak naprawdę sprawowała oligarchia partyjna, „nowa klasa” biurokratów, pracowników aparatu partyjnego. Oni przesądzali o treści prawa, o tym, co stanowił parlament, na dodatek wmawiając przy okazji ludowi, że rządzi się sam. Współczesne zagrożenie demokracji (nie tylko socjalistycznej) nosi imię partyjnej oligarchii, partiokracji.

IV
Jak parlamentarzysta ma rozwiązywać konflikty między racją stanu, sprawnością państwa a interesami i postulatami elektoratu oraz linią partii?

Czy mandat (i wolność parlamentarna) jest czymś ograniczony?

U Horacego tak to było:

„Cnota w brudnych wyborach klęski nie znająca,

Nie skażonymi nigdy zaszczyty jaśnieje,

Nie przyjmuje urzędów, ni ich nie odrzaca

Wedle tego, jaki tam w tłumie wiatr powieje...”

(*Pieśni, Księga Trzecia*, przekł. J. Zawirowski)

W gruncie rzeczy nie ma innej gwarancji, aby „brudne wybory” i ich rezultaty były mniej brudne niż cnota i mądrość wybieranych. Oczywiście trzeba ustanawiać gwarancje selekcji kandydatów. Przejrzystość, pluralizm, wolne media są tu w cenie. Cóż jednak z tych gwarancji, gdy stają się one fasadą, za którą się kryją na przykład fałszowane lub niepublikowane listy poparcia kandydatów? Albo gdy takie listy traktuje się jak grzecznościową formalność między znajomymi? Albo gdy wybór kandydatów z zamysłu i prawa pluralistyczny – zamienia w monopartyjnie arbitralny? Albo gdy same partie lekceważą demokratyczne wewnętrzne konsultacje i o wszystkim decyduje arbitralnie oraz jednoosobowo leader?

Dlatego wprawdzie uczymy studentów, że współcześnie „wolne wybory” są kamieniem węgielnym demokracji, jej warunkiem *sine qua non*, ale i z naciskiem, jednym tchem podkreślamy, że są zarazem warunkiem niewystarczającym. I dlatego muszą się dokonywać w warunkach przejrzystości walki wyborczej: muszą być uzupełnione siatką instytucji państwa prawa równoważących niedoskonałości i dewiacje samej demokracji wyborczej, oraz w obecności mediów patrzących politykom na ręce i docierających do wyborców, a także na scenie, do której dostępu nie będą blokowały zgromadzone za kulisami przeszko- dy (zasięg TV, fake newsy!). To, co napisano w prawie, w konstytucji, jest bardzo ważną deklaracją programową: wolny mandat poselski. Ale to, co się dzieje za kulisami – jest zdolne przekształcić ten mandat w fasadę. Bo między tym jak być powinno (prawo) i jak jest, nie ma, niestety, znaku równości.

Szkoda, że teraz w szkole nie czyta się i nie analizuje Horacego. Szekspir (byłe czytany ze zrozumieniem) też by wystarczył.



Ewa Łętowska jest profesorem nauk prawnych, była pierwszym rzecznikiem praw obywatelskich w Polsce (w latach 1988–1992), w okresie 1999–2002 zasiadała w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, a następnie (od 2002 do 2011)

była sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Działała w Komitecie Helsińskim, jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności, Academie de Droit Compare w Paryżu oraz International Commission of Jurists (Genewa). W 2015 roku otrzymała medal „Za mądrość obywatelską”, przyznawany przez jury związane z miesięcznikiem „Kraków” osobom „kierującym się w swojej działalności publicznej zasadami przyzwoitości i uczciwości”. Prowadzi blog na portalu konstytucyjny.pl

TEMAT MIESIĄCA:
„KRAKÓW” MA 15 LAT!

Z „Kraowem” po krakowsku

Katarzyna Siwiec

S. 51

„O, bo Kraków, to nie płoche
Dziewczę, skore do swawoli
Kraków, by go poznać trochę
Trzeba w nim zjeść beczkę soli”.

(Tadeusz Boy-Żeleński)

Kończymy 15 lat! To żałośnie mało, by poczuć
się wielkim i poważnym na miarę stuleci, które
stuknęły miastu. Tadeusz Boy-Żeleński
uśmiełby się z tak skromnego wiekiem jubi-
lata. Cóż, do beczki soli, o której mówi, jeszcze
daleko. Od 15 lat próbujemy jednak przybliżyć
Wam smak naszego miasta, smak niepowta-
rzalny, wyjątkowy.

Wszystkie adresy „Krakowa”

Jacek Balcewicz

S. 40

Miesięcznikowi na urodziny

Jacek Majchrowski

S. 11



ESEJ

Cnota i wybory

Ewa Łętowska

S. 1

KRAKÓW MÓWI

Lepiej z mądrym stracić

– z Jerzym Hausnerem/Witold Bereś, Krzysztof Burnetko

S. 20

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Kosmos, Bronowianka i pomnik Armstronga

Krzysztof Jakubowski

S. 12

Rekomendacje:

Paganini naszych czasów

S. 19

Pasjonaci śpiewu

Anna Woźniakowska

S. 26

Kościół Tischnera?

S. 29

Witold Bereś

Wojciech Bonowicz

Jarosław Makowski

Wszystkie adresy „Krakowa”

Jacek Balcewicz

S. 40

Kilka szkiców do portretu miłośnika

harmonii

S. 42

Świat widziany do góry nogami, czyli

Teatr Odwrócony

S. 46

Bliscy, którzy odeszli (2018–2019)

S. 54

Jesienny spacer po Krupówkach

Kraków i jego nagroda A.D. 2019

S. 62

Witold Bereś

Kronika kulturalna

S. 79

Krakowski łącznik

S. 87

Kraków (Główny)

S. 90

Linia A–B

S. 91

S. 92

OBYWATELE KRAKOWA

Duet od zadań specjalnych (Izabela Chyłek

i Mateusz Kaczan)

S. 8

HISTORIA

FOTO-RETRO

Ewa Kozakiewiczowa

S. 10

KALENDARIUM KRAKOWSKIE Listopad 1919

Krzysztof Jakubowski

S. 59

Lutosławski i elsonie

Ewa Danowska

S. 70

BYŁO, NIE MINĘŁO

Jan Pieszczechowicz

S. 78

TEATR

Kilka starych ukłuc

Paweł Głowacki

S. 66

FILM

Lekcja listopadowa

Maria Malatyńska

S. 74

LITERATURA

Świat wciąż mnie zdumiewa

– z Beatą Szymańską/ Elżbieta Wojnarowska

S. 34

Wiersze nowe

Beata Szymańska

S. 37

KSIAŻKI

Nasza biblioteka

S. 84

GALERIA „KRAKOWA”

Beata Zuba

Magda Huzarska-Szumiec

S. 48

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIECIE

Ewa Lipska

S. 5

OKIEM BERESIA

Witold Bereś

S. 6

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI

Krzysztof Burnetko

S. 7

SMOCZE JAJO

Mieczysław Czuma

S. 81

W WARSZAWIE

Magdalena Miśka-Jackowska

S. 82

BEDEKER KRAKOWSKI

Iga Dzieciuchowicz

S. 83

PASY PANY

Jerzy Pilch

S. 96

Szanowny Panie Redaktorze,

W Polsce święci się teraz wszystko i wszystkich. Czy w tej sytuacji pan redak-
tor nie poświęciłby się dla mnie?

Z sakralnymi pozdrowieniami

Ewa Lipska



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu
poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wied-
niu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii
Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Nobel dla Olgi

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: Piotr Uss Wąsowicz

Cieszymy się i gratulujemy Ci!

Olga Tokarczuk to pisarka najbardziej uniwersalna. Światowa tak, jak tylko sobie można to wyobrazić. I jednocześnie każde słowo w jej książkach, czy akcja dzieje się w odległej przeszłości czy teraźniejszości, w przestrzeni konkretnej czy dowolnej, jest słowem wyrastającym z rzeczywistości. Najłatwiej dostrzec to w książkach wprost odwołujących się do jej własnych korzeni. Urodziła się w Sulechowie w Lubuskim, następnie mieszkała w Kietrzu na Opolszczyźnie, studiowała psychologię w Warszawie, pracowała jako psychoterapeutka w Wałbrzychu, zamieszkała – by pisać – w Nowej Rudzie (Dolny Śląsk znowu), a potem w Krajanowie pod Nową Rudą, w Sudetach Środkowych, aż wyładowała w Wrocławiu.



Olga Tokarczuk podczas jednej z dyskusji w ramach Wypominków Tischnerowskich w Łopusznej w 2014 roku

Jej twórczość jest zróżnicowana, podobnie jak miejsca jej pobytu. Ale czujemy jakiś wspólny mianownik, czy to są *Księgi Jakubowe*, epicka opowieść o żydowskim mesjaszu żyjącym w XVII wieku na kresach, czy niekonwencjonalny thriller ekologiczny *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, w którym sensacyjna forma służy ideom – głównie solidarności ze słabszymi, czy *Bieguni*, książka-nieksiążka o podróży. A są jeszcze teksty wprost umocowane w jej geografii. *Dom dzienny, dom nocny* (1998) pachnie wioską w Sudetach na pograniczu polsko-czeskim, gdzie przez chwilę mieszkała, *E.E.* (1995) wręcz dzieje się we Wrocławiu początków

XX wieku, polifoniczny tom *Gry na wielu bębenkach* opowiada o dolnośląskiej prowincji.

Ale jak to źródło nazwać?

Częściowo odpowiedź daje przemówienie Olgi z okazji odbierania tytułu honorowego obywatela Wrocławia w 2019 roku (piszę „Olgi”, bo bywa gościem na organizowanych przez Fundację Świat ma Sens Wypominkach Tischnerowskich w Łopusznej i stamtąd się znamy):

„Pierwszy raz zobaczyłam Wrocław jako dziecko, musiało to być – liczę w głowie – chyba w 1968 roku, a ja miałam sześć lat. Samochód wjechał w przestrzeń, jakiej nigdy wcześniej w swoim życiu nie widziałam, a przypominam ją sobie zaskakująco dobrze, zwłaszcza że od jakiegoś czasu stwierdzam u siebie jakąś nadzwyczajną pamięć wydarzeń z dzieciństwa. (...)

Ulice biegły przez puste, zarośnięte trawą place, domy stały rzadko, daleko od siebie, rozrzucone. To jest Wrocław, powiedziała moja mama i wyjaśniła mi, że te puste place były kiedyś gęsto zabudowane, zamieszkiwali je ludzie, że było tu miasto.

Powiedziała jeszcze, że ją to przeraża. Zapamiętałam to słowo i związane z nim doświadczenie – że miejsce może przerażać, że pustka, jaka powstała po dawnych wojennych zniszczeniach, paradoksalnie nieustannie wiąże nas z przeszłością i każe nam pamiętać, co tu się zdarzyło. (...)

Jestem federalistką i regionalistką, wierzę w Europę zjednoczonych regionów i marzy mi się Rzeczpospolita zdecentralizowana, silna swoją różnorodnością. Wierzę też w ruchomy układ różnych warstw naszej tożsamości, które się nie eliminują, lecz wzajemnie dopełniają. Można być jednocześnie Europejką, Polką i Dolnoślązaczką, a także wrocławianką (...).

Wrocław to dla mnie odwaga osadników, pionierski dar asymilacji do nowych warunków, otwartość na to, co inne, rozumienie historii jako nieustającego *continuum*, a także pewna wschodnia pogoda ducha i gościnność”.

Tak, Olga jest pogodna i Olga jest odważna. A przede wszystkim – jest otwarta – na innych ludzi, na inne tematy, na inne słowa.

(Fragmenty przygotowywanej książki *Polska ma Sens. Książka do pisania*, opr. Witold Beres i Krzysztof Burnetko, wydawnictwo Austeria)



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Miesięcznik, czyli kultura

Tekst: Krzysztof Burnetko

Od początku wolnej Polski jedno z większych, nieumiejętnie zarządzanych pól (OK, poza futbolem) – to kultura. Miotanie się między całkowitą prywatyzacją a dzisiejszym upaństwotwieniem musi dawać w sferze publicznej takie efekty jak durnota i nienawiść. Na szczęście są takie wyspy – coraz ich mniej – jak miasto Kraków i miesięcznik „Kraków”.

Był lipiec 1989 roku. „Solidarność” właśnie wygrała wybory w Polsce, lecz w Warszawie formalnie głową państwa był generał Jaruzelski. I wtedy właśnie ze swoją pierwszą wizytą przyjeżdża nad Wisłę prezydent George Bush senior, ojciec późniejszego prezydenta George’a W. Busha.

Jaruzelski spodziewał się kilku tematów: demokracja w Polsce, stosunki z Moskwą, reforma gospodarcza itp. Więc nie zdziwiło go, że tematem numer 1 był nadchodzący wybór pierwszego prezydenta Polski przez Zgromadzenie Narodowe, choć już zaskoczyło go, że Amerykanin radził mu, aby to on, Jaruzelski, przyjął to stanowisko. Ale bardziej zaskoczył go temat nr 2. Otóż Bush senior prosił o jak najszybsze wprowadzenie takich regulacji prawnych, które sprawiłyby, że amerykańskie filmy bez problemów będą nareszcie mogły pojawiać się w dystrybucji w polskich kinach, a ich producenci – będą czerpać z tego zyski.

I rzeczywiście – od stycznia następnego roku, wraz z planem Balcerowicza i pełną wymienialnością złotówki, w kinach polskich – w czasach PRL ubogich w filmy *made in USA* – pojawiły się filmy z Hollywood, a sale kinowe zaczęły pękać w szwach.

Czy prezydent największego mocarstwa uprawiał lobbing na rzecz producentów? Tylko pozorowanie. Tak naprawdę chciał obecności amerykańskiej kultury w tej części Europy, bo wiedział, że siła jej oddziaływania jest większa niż amerykańskiej armii.

Po ponad trzydziestu latach ma się wrażenie, że polskie elity niewiele zrozumiały z lekcji udzielonej przez Busha.

Nie, nie namawiam, broń Boże, ani do walki z kulturą amerykańską, ani do przenoszenia jej modelu! Ani do pięknoduchostwa, ani do traktowania kultury jak elementu biznesplanu.

O tym wszystkim mądrzej opowiada profesor Jerzy Hausner, który od kilkunastu lat, od swego odejścia z bieżącej polityki, gros swego czasu poświęca „ekonomii otwartych oczu”. Takiej, która uczy, że bez kultury przestaniemy nowoczesnie funkcjonować.

Miesięcznik „Kraków” ukazał się po raz pierwszy w listopadzie 2004 roku – mija nam więc 15 lat. Nie byłyby one możliwe gdyby nie profesor Majchrowski, współinicjator tego przedsięwzięcia. Gdyby nie dziesiątki, a właściwie i setki już piszących na jego łamach, ale przede wszystkim gdyby nie Wy – P.T. Czytelnicy! Dziękujemy wam, że jesteście z nami, i prosimy, byście wspierali nas nadal, tym bardziej że czasy idą kiepskie.

Wśród naszych twórców są największe nazwiska kultury nie tylko krakowskiej, ale po prostu – pol-

skiej. Począwszy od Jana Pieszczachowicza i profesora Jana Widackiego po pisujących dziś Ewę Lipską i Jerzego Pilcha.

Dziś, w listopadzie, mamy w Krakowie niezwykle imprezę z pogranicza kultury i ekonomii, czyli Kongres Open Eyes Economy Summit organizowany przez prof. Hausnera. Tym bardziej więc winniśmy się zastanawiać nad tym, co i jak usprawnić.

Namawiam do całościowego spojrzenia na kulturę i zrozumienia, że – czy chcemy tego czy nie – jesteśmy od niej wszyscy zależni. I od nas zależy, czy nauczymy się z niej korzystać.

Musimy tylko pamiętać o trzech czynnikach: o wolności dla twórców, o szacunku dla odbiorców i o wzajemnym wspieraniu się świata ludzi kultury, biznesu i polityki.

Miesięcznik „Kraków” ukazał się po raz pierwszy w listopadzie 2004 roku – a wśród jego inicjatorów i twórców są największe nazwiska kultury nie tylko krakowskiej, lecz niewątpliwie ogólnopolskiej z półki najwyższej. Począwszy od profesora Jana Widackiego i Jana Pieszczachowicza po pisujących dziś Ewę Lipską i Jerzego Pilcha.

I może przy najbliższej wizycie polskiego prezydenta w USA okaże się, że amerykańscy kinarze nie będą już się zamykać na polskie filmy.

Wybory i po wyborach...



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Duet od zadań specjalnych

Tekst: Sylwia Pyzik Zdjęcia: Barbara Bogacka

Ona – wulkan energii z szerokim uśmiechem, wyrzucająca wyrzuca z siebie trzy pomysły na minutę. On – znacznie spokojniejszy, z rezerwą, czasami bez butów. Oboje otwarci, przyjacielscy, z zacięciem podróżniczym.

Było to spotkanie zasługujące na kadr filmowy, choć w istocie zupełnie przypadkowe. Jedno spośród tych nielicznych, które składają do kwestionowania istnienia przypadku. Wpadli na siebie na rogu jednej z krakowskich ulic, jadąc na rowerach. Pogawędka szybko ujawniła, że ich rozmarzone umysły krążą po tej samej orbicie. Wyczuli łączącą ich energię i zdecydowali się przekuć ją w działanie.

Z Izabelą Chyłek i Mateuszem Kaczanem, twórcami jedynych w Małopolsce targów mody niezależnej i designu użytkowego Kiermash, spotykam się w słoneczne popołudnie w kawiarni na jednym z kazimierzowskich dachów. Wszystko jest na swoim miejscu – romantyczny widok, słońce, które przyjemnie grzeje, ale już nie męczy, w końcu pan kelner z dumą oświadczający, że swój ukochany zawód uprawia już od trzydziestu lat. Szybko zostają zauroczona pasją, z jaką opowiadają o swoim zawodowym dziecku, a zwłaszcza o figlach, które lubi im płać.

Duet tworzący Kiermash stale przeciera eventowe szlaki lokalizacyjne, a może lepiej, jak określił to Mateusz – „przeciera zapomniane budynki”. Z dumą wspominają pierwszą edycję, która odbyła się w Jubilate – był to jedyny event w długiej historii tego domu handlowego. Wstępne rozmowy z zarządzającymi spotkały się z kategoryczną odmową. Wówczas spełniło się znane powiedzenie – gdzie diabeł nie może, tam babę pośle! Iza pakowała swój urok do plecaka i chodziła, odwiedzała, zaczepiała, aż w końcu uzyskała pozwolenie. Dzięki temu oryginalnemu pomysłowi na lokalizację targów mody goście pierwszej edycji byli tak różni. Można było tam spotkać zarówno młodego hipstera, jak i starszą panią poszukującą ciepłej czapki dla wnuczka. Izabela i Mateusz wspominają, że ta pierwsza edycja naładowała ich szaleńczą dawką endorfin, tak potężną, że właśnie przekraczają magiczną liczbę dwudziestu zorganizowanych eventów.

Powiedzieć, że później poszło już z górki, to jakby zadrwić. Kolejne budynki stale przynosiły nowe wyzwania. Na szczęście ten duet je uwielbia. Byli pierwszymi, którzy zdecydowali się ożywić stary dworzec PKP. Umowa z koleją liczyła... 70 stron. Okazało się także, że nie ma firmy, która podejmie się wysprzątania budynku, więc sami musieli umyć 2000 mkw. Następnie zdali sobie sprawę, że brakuje im 340 żarówek, które trzeba zawiesić na wysokości siedmiu metrów. W trakcie

wydarzenia (gdyby komuś jeszcze brakowało niespodziewanych atrakcji) nastąpiła awaria sześciu toalet... Ot, zakulisowy koloryt organizacji eventu.

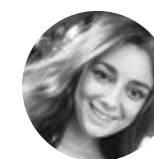
To jednak właśnie dzięki ich odwadze udało się ponownie tchnąć życie w peerelowski Jubilat, neorenesansowy dworzec PKP czy historyczny Pałac Czeczotka. Kraków dzięki!

Targi mody to jednak przede wszystkim ich wystawcy. Ci, których Izabela i Mateusz zapraszają do współpracy, to współcześni rzemieślnicy przedkładający jakość ponad ilość. To także lokalni kreatorzy, starający się małymi krokami zmieniać współczesne trendy mody masowej, opierające się na wyzysku planety i ludności krajów rozwijających się. To pasjonaci dobrego stylu, którzy wycze-

Dzięki determinacji Izy i Mateusza udało się tchnąć życie w peerelowski Jubilat, neorenesansowy dworzec PKP czy historyczny Pałac Czeczotka.

ją Kiermashu, bo nierzadko to dla nich jedyna okazja, by wreszcie spotkać się ze swoim klientem (większość z nich sprzedaje swoje produkty wyłącznie w internecie). To wreszcie przyjaciele, którzy dogadują się między sobą, by spędzić wspólnie trzy godziny, jakie mają do pokonania w drodze na kolejny Kiermash.

Izabela i Mateusz uwielbiają ze sobą pracować, ale przez kilka dni po każdej edycji targów mają siebie serdecznie dość. Tworzą niezwykle zgrany duet indywidualistów, który rośnie w siłę wraz z każdym kolejnym wyzwaniem. Nic więc dziwnego, że stale muszą tłumaczyć: „Nie, nie jesteśmy parą!”.



Sylwia Pyzik – wychowanka „Gołębnika”. Dziennikarka z pasji, wkrótce także z wykształcenia. Zainteresowana kulturą w każdym jej wcieleniu. Zakochana w Krakowie, który niezmiennie potrafi ją zaskoczyć.



Trzej panowie w balii

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa **Zdjęcie:** „Ilustrowany Kurier Codzienny”, Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ci, którzy odwiedzili w ubiegłym roku drewniany fotoplastykon stojący przed Muzeum Narodowym, być może pamiętają to zdjęcie.

Nie, to nie *Trzej panowie w łódce nie licząc psa*, ale trzech mężczyźni w wielkiej drewnianej bali do prania kołyszają się delikatnie pod mostem Dębnickim. Zdjęcie niezwykle i absurdalne zarazem. Panowie są w garniturach, jeden z nich nawet ma na sobie płaszcz. Na fotografii widoczni są Stanisław Gołębiowski (w środku) i Kazimierz Beroński (z lewej). Nie wiadomo, kim jest czwórtym w płaszczu. Na balii napis: Kraków-Gdańsk.

Co to za sytuacja? Mamy 1932 rok, lato. W kraju podniosła atmosfera, trwają przygotowania do Święta Morza. Ma być obchodzone po raz pierwszy, a wymyślili je członkowie Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Który z panów wpadł na pomysł, aby płynąć balią do Gdańska, a stamtąd do Gdyni na uroczystości? Tego się nie dowiemy. Podobno chodziło o zakład, w który zaangażowani byli aktor Kazimierz Beroński i Stanisław Gołębiowski. Kto z kim i o co się założyli? Nie wiemy.

Wiadomo natomiast, że za wszystkim stała kobieta, której na tym zdjęciu nie ma. Maryla Szewczyńska, aktorka. Uczestniczyła w słynnym rejsie balią, co jest udokumentowane na innym zdjęciu – wszyscy są w strojach kąpielowych, czepkach na głowach i trzymają wiosła.

To był wyczyn. „Baljarze”, jak nazwano ich wówczas, wypłynęli spod Wawelu 16 czerwca 1932 żegnani przez tłumy krakowian, eskortowani przez łodzie i motorówki aż za granice miasta. Trudno uwierzyć, że udało im się dopłynąć na czas i wziąć udział w uroczystej parady w Gdyni 31 lipca!

Jak sobie radzili w trasie? Ich dwóch i ona jedna. Ludwik Sempoliński wspomina, że Kazimierz Beroński (jego prawdziwe nazwisko to Paciorek), „zdolny aktor, ale o małym wzroście”, odbył rejs balią ze swoją żoną. Czyli Maryla Szewczyńska wyszła za Berońskiego? Jak to możliwe, skoro potem odnajdujemy ją jako „zamężną Gołębiowską”? Czy małżeństwo z Berońskim było *pour la hec*? I kim jest ten trzeci facet w płaszczu?

Aktorzy balią przepłynęli tysiąc kilometrów, gratulowano im odwagi i zazdrośczone przygód. *Dziwne Przygody Koziołka Matołka* wydane w 1932 roku mają na okładce rysunek Koziołka płynącego balią. Kto od kogo „odgapił” pomysł?

I dzisiaj nie brakuje artystom fantazji – niedawno Bartolomeo Koczenasz spławił barką z Krakowa do Gdańska swoją rzeźbę księżycy.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”, kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się

głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



Fot.: Alicja Rzepa

Miesięcznikowi na 15. urodziny

Szanowni Państwo, W świecie współczesnych mediów, coraz bardziej zdominowanym przez przekazy internetowe – szybkie, krótkie, tworzone tak, aby „się klikały”, jest coraz mniej miejsca na pogłębioną analizę, dobrą publicystykę, ciekawy wywiad z bohaterem mającym autentycznie coś do powiedzenia. Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków” już od 15 lat udowadnia, że także i dziś na rynku prasy jest miejsce na czasopismo daleko bardziej ambitne.

Dzięki Państwa pracy i zaangażowaniu co miesiąc dostajemy solidną porcję rzetelnych informacji o mieście i jego inicjatywach oraz o ludziach, którzy są częścią Krakowa i tworzą jego niepowtarzalną atmosferę. Z dużym zaciekawieniem śledzę to, co na temat naszej rzeczywistości sądzą Państwa felietoniści, przyglądam się recenzjom teatralnym czy szukam potwierdzenia, że książka, po którą sięgam, nie zawiedzie moich oczekiwań. Doceniam tytuł za wysoki poziom merytoryczny, różnorodność tematów i rzetelność autorów. Nie jest tajemnicą, że jestem zwolennikiem prasy drukowanej, dlatego lektura Państwa pisma jest przyjemnym obowiązkiem każdego miesiąca.

Nasze miasto – co potwierdza prawie każdy przybysz – ma swój niepowtarzalny klimat i atmosferę. Mówi się, że w Krakowie czas płynie wolniej, tutaj jest czas i miejsce na długie dysputy, na delektowanie się sztuką i literaturą. Fenomenem miesięcznika „Kraków” jest to, że jak żadne inne czasopismo potrafi ten klimat miasta zatrzymać w swoich tekstach i przekazać Czytelnikom. Także tym, a może przede wszystkim tym, którzy na co dzień za naszym miastem tęsknią, mieszkając daleko stąd.

Z okazji jubileuszu 15-lecia życzę całemu zespołowi redakcyjnemu powiększającego się z każdym miesiącem grona wiernych Czytelników oraz nieustannej satysfakcji i radości z odkrywania Krakowa z myślą o nas wszystkich.

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa



Danuta Nabel-Bochenek i Kazimierz Łaskawski obok swego dzieła, fot. 1969, archiwum „Dziennika Polskiego”

Kosmos, Bronowianka i pomnik Armstronga

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Kto i gdzie postawił pierwszy pomnik amerykańskim zdobywcom Księżyca? Para artystów rzeźbiarzy w krakowskich Bronowicach. Tyle że było to w apogeum PRL i rządów Gomułki.

W latach 60. XX wieku trwał niemający precedensu wyścig między USA i ZSRR o pierwszeństwo w podbijaniu kosmosu. Odnosiło się być może złudne wrażenie, że chodzi o postęp ludzkości i gdzieś daleko w tle pozostawały nastroje zimnowojenne, narzucające podział ówczesnego świata. Kiedy wiosną 1967 roku, w krótkim czasie doszło do tragicznych wypadków statków Apollo 1 i Sojuz 1, cały świat okrył się żałobą. Radziecy kosmonauci ślali do USA depesze kondolencyjne, a amerykańscy astronauta podkreślali, że pilot Sojuza Władimir Komarow był tak naprawdę jednym z nich.

Nie zakłóciło to trwających od kilku lat przygotowań do misji podboju Księżyca i ostatecznie – 16 lipca 1969 roku – statek Apollo 11 wzbił się z przylądka Canaveral na Florydzie. Jedyny jeszcze, choć układany w miarę przyzwoicie kanał TVP, zaplanował na 20 lipca, na godzinę 21.00 program o locie amerykańskich astronautów opatrzonego tytułem *Statek Apollo ląduje na Księżycu*. Dla wytrwałych o 3.00 nad ranem – już w poniedziałek 21 lipca – zaplanowano bezpośrednią transmisję z lądowania.

Poranna wiadomość

W ten sam poniedziałek „Gazeta Krakowska” – wówczas oficjalny organ PZPR – przyniosła na pierwszej stronie tekst *Pierwsi ludzie na Srebrnym Globie*, sklecony naprędce na podstawie depeszy PAP. Najważniejsze było, by przypadkiem nie podać, że ci „ludzie” to Amerykanie. Nieoczekiwanie to samo wydanie przyniosło jeszcze jedną, równie intrygującą informację. Była to niewielka wzmianka na ostatniej stronie gazety, gdzie zwykle opisywano wydarzenia lokalne:

„Z ogromnym entuzjazmem i wysiłkiem twórczym powstał na stadionie KS »Bronowianka« 6 m wysokości pomnik ku czci pierwszego człowieka na Srebrnym Glo-



Historyczna notatka Henryki Rosiek z nr 171 „Gazety Krakowskiej” z 1969 r.

bie. Monument został wzniesiony z okazji 25-lecia Polski Ludowej. Całość zaprojektowała Danuta Nabel-Bochenkova i wykonała wspólnie z Kazimierzem Łaskawskim”.

Notatkę sporządziła Henryka Rosiek, wtedy na dziennikarskim stażu w „GK”. „Kiedy w niedzielę 20 lipca pełniłam redakcyjny dyżur, odwiedziła mnie sympatyczna pani. Jak się okazało, była artystką i przyszła z informacją o odsłonięciu pomnika, który stanął w przeddzień święta 22 lipca, na stadionie klubu Bronowianka, a dedykowany został zdobywcom kosmosu” – wspomina po latach.

O ile sam tytuł wzmianki – *Pomnik na cześć pierwszego człowieka na Księżycu* – był jed-

noznaczny w swej wymowie, to już jej dalszy ciąg musiał wywoływać jednak pewien dysonans poznawczy. Bardziej wnikliwi czytelnicy partyjnego organu musieli zapewne się głowić, co też wspólnego mogło mieć zdobycie Księżyca z 25-leciem Polski Ludowej?

Tu wyjaśnienie: było to w przeddzień najważniejszego święta PRL, obchodzonego 22 lipca na pamiątkę ogłoszenia manifestu przez urzędujący w 1944 roku w Lublinie komunistyczny PKWN. A zatem do naturalnego rozprężenia, jakie przychodziło zwykle wraz z wakacjami i sezonem ogórkowym, doszło jeszcze święto państwowe. Nic dziwnego, że w redakcji „Gazety Krakowskiej” dziennikarzy było jak na lekarstwo.

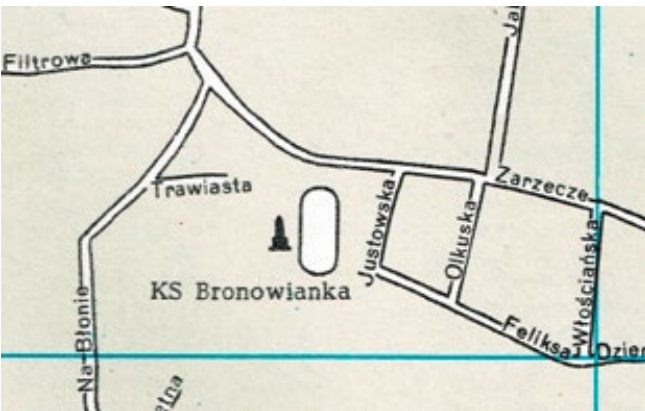
Typowy „michałek”...

„Choć upłynęło już pół wieku, doskonale pamięta tamte dni” – wspomina Halina Zawrzykraj, wtedy kierownik działu miejskiego „GK”. „W redakcji zostaliśmy we dwójkę, z Jurkiem Bittnerem. Większość kolegów wraz z redaktorem naczelnym Tadeuszem Czubałą wyjechała do Brzączowic nad Rabą, gdzie mieliśmy ośrodek rekreacyjny z domkami kempingowymi. Informację o odsłonięciu pomnika przyjąłem z entuzjazmem i w ogó-

Podobno zaczęło się od telefonu z gabinetu prezydenta Richarda Nixona do Władysława Gomułki z podziękowaniami za tak piękny gest ponad podziałami. Musiało to mocno zaskoczyć Gomułkę, ale zaskoczenie szybko przerodziło się we wściekłość. Sięgnął po telefon i zrugął Czesława Domagałę, I sekretarza KK PZPR. Miał wykrzyknąć: „Co wy tam, towarzyszu, wyrabiacie w tym Krakowie? Pomnika Gagarina nie macie, a stawiacie figurę amerykańskiego kosmonauty?!”.

le nie myślałam wtedy o polityce. Ta notatka miała być, nawiasem mówiąc, bardziej okazała, ale źle wyliczyłam ilość miejsca na szpalcie i wyszedł taki typowy »michałek« (tak nazywaliśmy niewielkie informacje).

Ten wtęret o 25-leciu Polski Ludowej, choć dziś wydaje się groteskowy i brzmi jak zamierzona kpina, nie budził wtedy większych wątpliwości. Już od miesięcy propaganda partyjna mocno i przy każdej dosłownie okazji nagłaśniała nadchodzącą rocznicę i można było ją śmiało eksploatować na różnych polach. Czytelnicy raczej też zdążyli się do tego przyzwyczaić, bo jakie mieli wyjście, skoro wszyscy żyliśmy w takiej pokręconej rzeczy-



Wykadowany fragment planu Krakowa na rok 1970. Przy stadionie Bronowianki zaznaczony jest pomnik, archiwum autora

wistości. Notatkę musiał jeszcze zaakceptować do druku zastępca sekretarza redakcji Jerzy Bittner”.

Geneza i znani sprawcy

Klub sportowy Bronowianka, choć szczycił się przedwojenną historią, nie należał nigdy do potentatów. Jego największym sukcesem był awans piłkarzy do III ligi w 1957 roku. Siedziba klubu mieściła się – jak dziś – przy ul. Zarzecze, ale dostać się tam w 1969 roku było o wiele trudniej. Autobus linii 126 kursował ulicami Dzierżyńskiego (dziś Lea) i Zarzecze tylko do ul. Drzymały i trzeba było dojść kilkaset metrów. Budowę czteropasmowej arterii nazwanej na cześć marszałka Koniewa (dziś Armii Krajowej) rozpoczęto dopiero w 1973 roku. Jednym słowem – peryferie.

Kiedy w pseudopatriotycznym uniesieniu szkoły, zakłady pracy i różnorodne organizacje deliberowały, jakby tu uczcić 25-lecie PRL-u, problem nie ominął też Bronowianki. Wiosną 1969 roku na zebraniu zarządu klubu ktoś zaproponował: „Może zbudujemy pomnik jakiegoś sportowca?!”. Traf chciał, że w zarządzie zasiadał plastyk Kazimierz Łaskawski, który pomysł podchwycił i obiecał zająć się wykonaniem rzeźby.

Łaskawski pracował w warsztatach dekoracji teatralnych przy ul. Rajskiej 12 (dziś stoi tam Małopolski Ogród Sztuki), a od niedawna mieszkał w sąsiedztwie klubu. W niewielkim domu przy ul. Na Błonie 31b wynajął na piętrze pokój z kuchnią, gdzie sprowadził się wraz z przyjaciółką Danutą Nabel-Bochenek. On był wybitnie uzdolnionym samoukiem, obok malarstwa i rzeźby parał się też ceramiką i witrażami. Ona, znana w krakowskich kręgach artystycznych, przez pewien czas związana z teatrem Cricot 2 Tadeusza Kantora, współtworzyła scenografię i kostiumy, sporo malowała. Studiowała na ASP, ale studiów nie ukończyła. Pozostawali w nieformalnym związku.

Czasu nie było zbyt wiele i kiedy wspólnie opracowali szkic pomnika, Łaskawski zabrał

się do dzieła. Prace wykonywane w budynku klubu szły dość opornie. Szkielet pomnika wykonany ze stali zbrojeniowej należało obłożyć betonową zaprawą, ale ponieważ nie był to wdzięczny materiał rzeźbiarski, beton wskutek naprężeń kilkakrotnie pękał i trzeba było kleić od nowa. Mimo to w połowie lipca monument był gotowy.

Odsłonięcie odbyło się w przeddzień lipcowego święta, z udziałem grupy osób związanych z klubem i przypominało raczej plenerowy wernisaż. Symbolicznego gestu dokonał pełniący od niedawna funkcję prezesa Bronowianki, niespełna 27-letni Mieczysław Stachura: „Aby tradycji stało się zadość, zakryliśmy figurę płachtą, ale wynikł kłopot, bo zaczepiła się i musiałem użyć grabi – wspomina. – Zbieg okoliczności związany z lądowaniem na Księżycu sprawił, że w ostatniej chwili artyści wyryli na cokole pamiętną datę”.

Sam pomnik był dziełem oryginalnym, a lekka, nowoczesna forma sytuowała go nurcie postmodernistycznym. Odchylona sylwetka ze złożonymi ku górze rękoma zdawała się wzlatywać w przestrzeń, a półkolisty cokół na kwadratowej podstawie symbolizował kulę ziemską.

Konstanty Węgrzyn, dziś antykwariusz, wtedy zastępca przewodniczącego RD Zwierzyniec, wspomina: „Mieliśmy jako Dzielnica rozległe kompetencje, ale Bronowianka była w tej akurat decyzji autonomiczna. Pozwolenie na budowę było zbędne, bo rzeźba stanęła na terenie klubu jako element ozdobny”.

Reperkusje i represje

Sekwencja wydarzeń po 22 lipca 1969 roku nie była łatwa do odtworzenia nawet wtedy, dziś jest to tym bardziej niemożliwe. Pewne światło na tę zagadkową historię rzuciły dopiero odtajnione w latach 2006–2007 akta SB.

Po latach okazało się, że Danuta Nabel-Bochenek wysłała list gratulacyjny do ambasadora USA, informując przy okazji, że jest ona inicjatorem budowy pomnika ku czci kosmonautów amerykańskich, jaki został wznieiony w Krakowie. Załączyła też jego zdjęcie. Korespondencję tę przechwycił agent kontrwywiadu i przekazał sprawę MSW.

Ambasador – był nim od roku Walter J. Stoessel – zachował się standardowo, powiadamiając centralę. Równocześnie skromną notatkę z „GK” przedrukował „New York Times” i kilka zachodnioeuropejskich dzienników.

Podobno zaczęło się od telefonu z gabinetu prezydenta Richarda Nixona do Władysława Gomułki z podziękowaniami za tak piękny gest ponad podziałami. Musiało to mocno zaskoczyć Gomułkę, ale zaskoczenie szybko przerodziło się we wściekłość. Sięgnął po telefon i zrugął Czesława Domagałę I sekretarza KK PZPR. Miał podobno wykrzyknąć: „Co wy tam, towarzyszu, wyrabiacie w tym Krakowie? Pomnika Gagarina nie macie, a sta-



Notatka z „Dziennika Polskiego” opisująca uroczyste nadanie im. Gagarina SP nr 19 przy ul. Senatorskiej, archiwum „Dziennika Polskiego”, 1970

wiacie figurę amerykańskiego kosmonauty?!”. W dodatku – jak na złość – 23 lipca na lotnisku w Balicach wylądował samolot z delegacją Komitetu Kobiet Radzieckich na czele z Walentyną Tierieszkową, pierwszą kobietą w kosmosie. A tu taki despekt!

Dalej wypadki potoczyły się szybko. „Domagała wezwał naczelnego „GK” i podobno zażądał: Albo ty, albo ktoś z kierownictwa redakcji!” – wspomina Zawrzykraj. Naczelnny wybrał mnie, sekretarza redakcji Leszka Marciniaka i jego zastępcę Jurka Bittnera”.

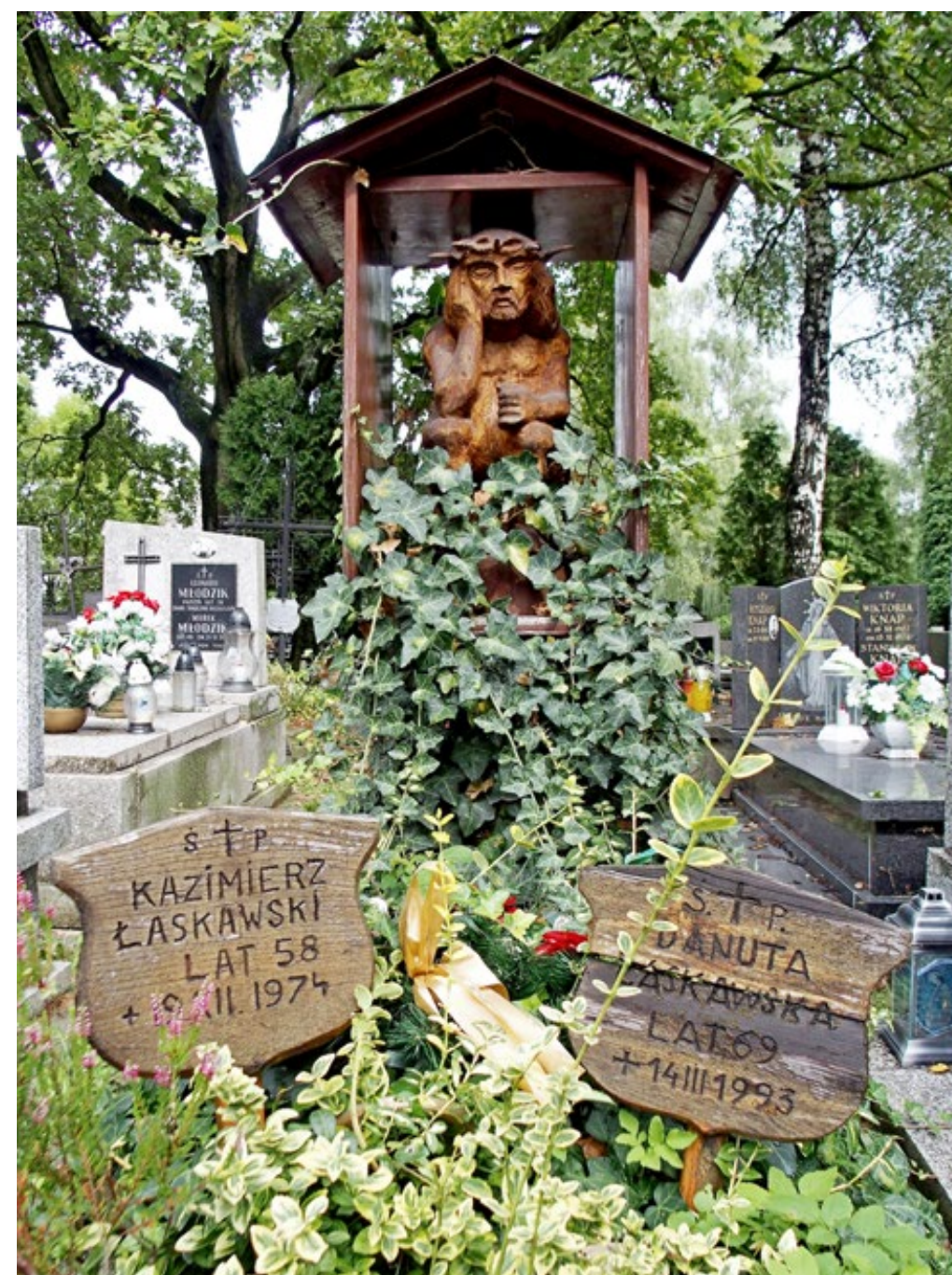
Halina Zawrzykraj za dopuszczenie do druku informacji o pomniku otrzymała z KW PZPR zakaz pracy w prasie krakowskiej. „Poszłam pracować do telewizji. Na etacie stolarka, ale z obowiązkami dziennikarskimi. Bittner znalazł pracę w Krakowskich Zakładach Graficznych. Cenzor dostał tylko naganę, co wzbudziło powszechne zdziwienie”.

Autorkę notatki red. Rosiek przeniesiono do korekty. „Jakoś mi się upiekło. Uznano, że jestem młoda głupia i słabo wyrobiona politycznie. Nie czułam się ofiarą ani wtedy, ani teraz. Z gazety odeszłam później, ale z przyczyn osobistych”.

Autorzy pomnika byli mocno wystraszeni i zaskoczeni aferą, którą w końcu sami wywołali. Na przesłuchaniach esbecy dopytywali o inspiratorów, nie dowierzając, że artyści wykonali pracę spontanicznie i w dodatku za darmo. Nie doszukali się jednak prowokacji. Także komisja powołana przez KD PZPR Zwierzyniec nie stwierdziła, „aby inicjatywa budowy pomnika wypłynęła z określonego wyrachowania politycznego”.



Obecny widok na skrytą w koronach cisów rakietę przed szkołą przy ul. Senatorskiej, fot. K. Jakubowski 2019



Ujmujący oryginalną prostotą grób Danuty i Kazimierza Łaskawskich na cmentarzu w Bronowicach, fot. K. Jakubowski, 2019

Jeżeli było to wyrachowanie, to miało zupełnie inne podłoże. Artyści wierzyli, że pomnik może odmienić ich dotychczasowe życie, że pojawią się nagrody, a wraz z nimi intratne zamówienia. Znajomi uznali, że pomysł wyszedł od Danuty, bo to ona była siłą napędową tego związku. Ją jednak trudno było ukarać, bo nie była nigdzie zatrudniona. Tymczasem Łaskawski pełnił w Starym Teatrze funkcję sekretarza partii i wezwano go do złożenia wyjaśnień w KW PZPR. Musiał odejść z dekoratorni Starego Teatru, na mniej płatny etat do Teatru Ludowego w Nowej Hucie.

W następnej kolejności SB zajęło się prezesem Bronowianki Mieczysławem Stachurą. „Nękali pytaniami o inspiratorów, o wynagro-

dzenie artystów. Kiedy usiłowali wytoczyć sprawę gospodarczą o nadużycia, wyjaśniłem, że materiały na pomnik dało Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, opiekujące się wówczas klubem. Prezesem pozostałem, ale musiałem odejść z AGH i przepadł mój doktorat”.

Ostatni kolorowy ślad i rozbiórka

Dość nieoczekiwanie w historię pomnika wpisał się prof. Marek Mielwski, pianista i pedagog. To on wykonał około 20 września 1969 roku jego jedyne kolorowe ujęcie. Oto jego opowieść:

„Przyjaźniliśmy się z żoną z rodziną Benois z Utrechtu i często korespondowaliśmy.

List od nich z lipca 1969 roku, napisany w entuzjastycznym tonie, zawierał wycinek ze znanego wówczas dziennika holenderskiego »Nieuwe Rotterdamse Courant« z zdjęciem pomnika z Bronowianki i wiadomością o jego odsłonięciu. Prawie połowa jego treści poświęcona była zagadnieniom związanym ze stawianiem pomników w Holandii i dlaczego cykl od projektu do sfinalizowania musi tam trwać minimum 12, a maksimum 24 lata. A tu, w kraju za żelazną kurtyną odsłonięty został w tym samym dniu! Nie do wiary!

Postanowiłem zrobić holenderskim przyjaciom niespodziankę i przesłać im kolorowe przeźrocze pomnika. Udałem się na stadion, mijając po drodze dom, w którym mieszkali Danuta Nabel-Bochenek i Kazimierz Łaskawski (oboje znałem z widzenia). W ogródku przed domem fantazyjne zwierzęta wykonane chyba z gipsu, smukłe, w białym kolorze, głównie małpki uczepione do drzewek owocowych lub do słupa telegraficznego. Brama na stadion była otwarta. Atmosfera sielska, ani żywej duszy. Zdaje się, gdzieś w oddali na stadionie pasły się dwie krowy. Zrobiłem dwa przeźrocza – jedno dla Benoist, drugie dla siebie. Wysłałem je w liście, mocując przylepcem do papieru listowego. Cenzura to przeoczyła”.

To były ostatnie chwile pomnika, jednak wyraźnie zwlekano z jego usunięciem. W końcu dowiedział się o nim sam Nixon i nie było to fortunne politycznie. Szukano rozwiązań i zaproponowano nawet, aby pomnik usunęli sami artyści. Ci, rzecz jasna, nie zgodzili się.

Zbigniew Regucki, późniejszy naczelny „GK”, wspomina: „Zapamiętałem, jak mój ówczesny zwierzchnik, I sekretarz KD PZPR Waław Pituła, narzekał, że Domagała obarczył go zadaniem usunięcia pomnika. Bardzo mu to doskwierało”. Nikt z uczestników wydarzeń nie zapamiętał daty rozbiórki, ale odbyło się to zapewne w październiku 1969 roku. Ekipą kierował Józef Woszczyzna, szef Dzielnicowego Komitetu Czynów Społecznych. „Wyciągali go dwoma starami. Mówiono, że wróci w spiżowej postaci, ale nikt się nie łudził. W czasie demontażu trudno było oddzielić go od cokołu, aż wreszcie złamał się. Wrzucili na jelcza i pojechali w kierunku ul. Balickiej” – zapamiętał Stachura.

Dla pary artystów był to potężny nieprzewidziany cios, po którym trudno było się podnieść, ale ich związek przetrwał. W 1971 roku wzięli ślub. Wkrótce otrzymali zaproszenie z USA, ale nie dostali paszportów. Łaskawski zmarł w grudniu 1974 roku, w wieku 58 lat. Po śmierci męża Danuta przekazała gromadzony latami zbiór rzeźb, naczyń i sztuki ludowej Muzeum Etnograficznemu. Zamieszkała w Nowej Hucie, w parterowym mieszkaniu z widokiem na śmietnik. Kiedy przyszły przemiany ustro-

jowe, liczyła, że może pomnik się odnajdzie albo ktoś zleci jego rekonstrukcję. Niestety, nie doczekała się. Zmagala się z chorobą płuc, zmarła w marcu 1993 roku w wieku 69 lat.

Pozostała jednak niezniszczalna pamiątka. Wydany w nakładzie 50 tys. egzemplarzy plan Krakowa na 1970 rok, na którym przy boisku Bronowianki ktoś zdążył zaznaczyć pomnik...

Rakieta jak rekompensata

Od jesieni 1969 roku w KD PZPR Zwierzyńec trwała burza mózgów, jak zatrzeć niekorzystne wrażenie wywołane głównie u towarzyszy radzieckich. Tymczasem okazja była na wyciągnięcie ręki. Okazało się, że decyzją kuratorium w kwietniu 1968 roku SP nr 19 przy ul. Senatorskiej otrzymała imię Gagarina, tuż po jego tragicznej śmierci, jednak przeszło to bez echa. Teraz wystarczyło tylko urządzić uroczystą oprawę z pozostawieniem symbolicznych pamiątek.

Uroczystość odbyła się w Dniu Kosmonauty 12 kwietnia 1970 roku z udziałem władz dzielnicy i wicekonsula ZSRR w Krakowie Valentina Pticyna. Skromną pamiątką była marmurowa tablica wmurowana ku czci Gagarina. Nieco okazalszą, postawioną przed szkołą 7-metrowa rakieta wsparta na trzech wspornikach imitujących smugi zostawiane przez statki kosmiczne. Tak oto niekorzystne wrażenie zostało zatarte, a aluminiowa rakieta przetrwała do dziś, skryta w korynach wybujałych cisów.

*

Po misji Apollo 11 na Księżycu lądowało jeszcze pięć statków załogowych. Jako ostatni dotarł tam – w grudniu 1972 roku – statek Apollo 17. Od tamtego czasu nikt już nie wylądował na Księżycu. Potwierdza to w jakiejś mierze obrazoburczą tezę Buzza Aldrina, że „nie ma tam po co wracać”. Dla uczczenia pionierskiej misji na całym świecie powstało wiele pomników Neila Armstronga, który personifikował ów „wielki skok dla ludzkości”. Tym najpierwszym z pierwszych był jednak 6-metrowy pomnik odsłonięty na stadionie Bronowianki, kilkanaście godzin przed pamiętnym lądowaniem.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Paganini naszych czasów

Tekst: Anna Woźniakowska **Zdjęcie:** Katarzyna Stańczyk

Podobno obecni niegdyś na koncertach Niccolò Paganiniego podejrzewali skrzypka o konszachty z diabłem, bo jego nowatorska technika gry była dla innych niedościgła, a siła oddziaływania na słuchaczy znacznie przewyższała doznania, jakich dostarczali im inni wirtuozi jego czasów.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam i usłyszałam Adama Bałdycha, uważanego za jednego z najciekawszych obecnie skrzypków jazzowych, skojarzenie z Paganinim było natychmiastowe, tym bardziej że jego szczupła postać zrośnięta ze skrzypcami jako żywo przypomina portrety włoskiego mistrza. Podobieństw można znaleźć więcej, choćby w nowatorstwie samej techniki gry, jest atoli jedna zasadnicza różnica (pomijając ewentualne konszachty Paganiniego z siłą nieczystą) pomiędzy skrzypkami. Adam Bałdych w swych poczynaniach kompozytorskich i wirtuozowskich nie szuka jedynie popisu. Interesuje go sedno muzyki. Najlepszym na to dowodem jest jego ostatnia płyta zatytułowana *Sacrum Profanum*, zawierająca utwory wysnute z muzyki sakralnej od psalmów gregoriańskich i kompozycji średniowiecznej mistyczki Hildegardy z Bingen poprzez renesansowe dzieła Thomasa

Tallisa i Gregoria Allegriego po współczesną muzykę Sofii Gubaiduliny. Wykorzystujące dawne skale muzyczne improwizacje Bałdycha i muzyków jego kwartetu – Krzysztofa Dysa, Michała Barańskiego i Dawida Fortuny – budują jedyny w swoim rodzaju świat dźwiękowy, zachowując przynależną pierwowzorom sakralną hieratyczność i duchowość, nie tracąc jazzowej zadziorności i energii. Sam Adam Bałdych mówi, że jego celem było „uchwycenie ponadczasowego piękna mistycznej muzyki tych wyjątkowych kompozytorów oraz jej interpretacja współczesnym językiem muzycznym”. Udało mu się ten cel osiągnąć. Tej muzyki słucha się na koncercie jak w transie, a kiedy z jazzowej gęstwy wyłaniają się motywy *Bogurodzicy*, ciarki chodzą po plecach.

Teatr Variété, ul. Grzegórzecka 71, 18 listopada 2019, g. 19.00.

Lepiej z mądrym stracić

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko Zdjęcia: Łukasz Popielarczyk i Łukasz Świerczyna/OEES

Prof. Jerzy Hausner: Chodzi o zrozumienie, że jeśli kultura ma być gospodarką, to w gospodarce trzeba wyznaczyć dłuższy horyzont. I uwzględnić dalsze, a nie tylko natychmiastowe konsekwencje.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Trwała wojna z III Rzeszą. Do Winstona Churchilla przyszedł pewnego dnia minister skarbu. – Panie premierze, brakuje pieniędzy. Musimy ciąć budżet. Zaczniemy oczywiście od kultury? – zagadnął w nadziei na potwierdzenie. – Ale po co w takim razie prowadzimy tę wojnę? – odpowiedział pytaniem brytyjski mąż stanu.

Panie Profesorze, jaką wartością dla ekonomisty jest kultura? Czy myśli on o niej tylko w kategoriach produktu i zysku?

Miasto dzisiejsze musi wygenerować inne, dodatkowe zasoby. Może mniej turystów, ale istotniejszych z punktu widzenia utrzymania zasobów? Nie na zasadzie: jeszcze więcej festiwali, a raczej: wydarzeń szczególnej klasy. Tyle że muszą być one ważne również dla samych mieszkańców. To jest właśnie myślenie, w którym rachunek jest obecny, ale nie jest najważniejszy.

Prof. Jerzy Hausner: Jeśli chcemy mieć dobrą gospodarkę, to musimy ją rozumieć także jako kulturę. To znaczy, że w gospodarowaniu oprócz aspektu efektywnościowego, techniczno-ekonomicznego, istnieje drugi wymiar. Taki, w którym powstaje odpowiedź na pytanie: po co to robimy? Po co zarabiamy? Po co prowadzimy tę wojnę? Ten wymiar pochodzi z porządku, który nazywam „aksjornormatywnym” – czyli z porządku kultury. Porządku znaczeń, sensu życia czy działania, odniesień etycznych.

Tymczasem jest on często nieobecny lub lekceważony. Najczęstsza odpowiedź na pytanie: po co coś robimy?, brzmi: żeby zarobić! W konsekwencji zarabiamy, konsumujemy i... się niszczy.

Tymczasem odpowiedź ta musi pochodzić z porządku kultury. Dla mnie gospodar-

ka, jeśli ma być dobrą gospodarką, musi być kulturą. Po prostu: z gospodarki trzeba robić kulturę.

Czy to znaczy, że kultura nie musi się samo-finansować? Ba, przeciwnie – że finansowanie kultury jest inwestycją w lepszą gospodarkę?

Nie lubię słowa inwestycja. Kiedyś pojawiło się hasło „kultura się liczy”. To było rozumowanie w kategoriach: zarabiamy tyle, bo tyle wnosimy do produktu krajowego brutto. Ale co znaczy „produkt krajowy brutto”? Ekonomicznie rzecz biorąc, to jest wartość przyrostowa wytworzonego produktu w ciągu roku. Odniesieniem jest baza roczna.

Jak kultura ma mieć na coś wpływ, to nie można bełkotać o skali roku. Kultura działa w innym porządku – długiej fali.

Tu nie chodzi więc o inwestowanie, tylko o zrozumienie, że jeśli kultura ma być gospodarką, to w gospodarce trzeba wyznaczyć dłuższy horyzont. Postawić na odpowiedzialne myślenie. Uwzględnić dalsze, a nie tylko natychmiastowe konsekwencje.

Pamiętam, jak na Kongresie Kultury Polskiej w Krakowie w 2009 roku Waldek Dąbrowski zaproponował przekornie, żebym policzył, jaki ma wpływ na wzrost gospodarczy w ciągu 200 lat muzyka Fryderyka Chopina. Odparłem, że zanim ekonomista będzie liczył, to musi się zastanowić, po co ma liczyć! I mądry ekonomista takiego rachunku nie robi, bo w kulturze takich rachunków się nie przeprowadza. Co to oznacza w praktyce? Że wolno nam abstrahować od tego, jak zarządzamy pieniędzmi w kulturze? Nie. Ale z drugiej strony nie możemy powiedzieć, że jeśli kultura nie zarabia, to nie jest potrzebna! Jedno i drugie jest skrajnością.

Jak więc ekonomiści powinni podchodzić do kultury?

Trzeba zrozumieć nie proste następstwa, lecz związki. Na przykład mamy w Krakowie ruch turystyczny. On tworzy strumienie dochodów: dla hotelarzy, restauratorów, dorożkarzy, taksówkarzy. W konsekwencji ma je też miasto. Ale są też koszty. I to różnego rodzaju. Chociażby przez taką liczbę turystów ruch w mieście jest utrudniony.



Jerzy Krzysztof Hausner (ur. 6 października 1949) – profesor nauk ekonomicznych, założyciel Katedry Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Przez kilka lat był posłem, a w latach 2003–2005 wiceprezesem Rady Ministrów w rządach Leszka Millera i Marka Belki, kiedy to proponował tzw. plan Hausnera, czyli naprawę finansów publicznych, który nie doznał się realizacji.

Nadto przez kilka lat był w składzie Rady Polityki Pieniężnej, a potem w Komitecie Nauk Ekonomicznych PAN. Laureat wielu nagród, m.in. Nagrody Kisiela (2004) i Nagrody im. Władysława Grabskiego przyznawanej przez Konfederację Lewiatan (2005); niedawno także otrzymał doktorat *honoris causa* warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej, tytuł dla ekonomistów bardzo prestiżowy. Autor i współautor ponad 300 publikacji naukowych.

Właśnie: czy Kraków jako miasto wykorzystał już swoje zalety w sferze oferty kulturalnej? Czy są tu jeszcze jakieś pola do zagospodarowania? A może obecny model rozwoju miasta, stawiający na turystykę i szeroko pojmowaną kulturę, jest tylko etapem, a faktyczna droga rozwoju leży w innych dziedzinach?

Na czym opiera się ta turystyka? Między innymi na dziedzictwie kulturowym. Ale nie tylko. Mamy też do czynienia z Rynkiem, który się stał wielkim ogródkiem piwnym.

I są też tego negatywne konsekwencje – między innymi czynsze w obleganej turystycznie części miasta zaczynają wzrastać. Rosną ceny w restauracjach. Normalnych ludzi na to nie stać. Następuje proces wynoszenia się mieszkańców poza ten obszar.

Pytanie więc, czy istnieje mechanizm, by te generowane przez ruch turystyczny dochody były tak ukierunkowane, aby można było wzmocnić dwie rzeczy. Po pierw-

Moje powołanie to także Kraków. To ten panteon krakowskiej kultury, który musi być stale ożywiany, nie tylko przez wielkie gwiazdy i nie przy okazji 150. rocznicy Wyspiańskiego, a bez jubileuszy.

sze: bazę. Na przykład, restaurować Wawel, który jest zadeptywany za pieniądze, które z tego ruchu wynikają. Bo nie zbudujemy drugiego Wawelu. Po to, żeby zrewitalizować i udostępnić inne elementy dostępne do ruchu turystycznego, czyli zbudować kilka nowych opowiadań o Krakowie. Nie tylko Kazimierz, ale chociażby narrację młodopolską, nowohucką, podgóorską. I strumienie tego ruchu turystycznego rozładowywać. Do tego oczywiście jest potrzebna nowa infrastruktura.

Ale jaką pojemność turystyczną Kraków może wytrzymać?

Dobre pytanie. Bo przecież istnieje jakaś górna granica. W pewnym momencie miasto nie będzie mogło się rozwijać, opierając się na tej części swojego zasobu. To znaczy, że musi wygenerować inne, dodatkowe, towarzyszące obecnemu zasoby. Może mniej turystów, ale istotniejszych z punktu widzenia utrzymania zasobów? Może mniej strumieni, które wynikają z wypicia hektolitrów piwa, a więcej takich, które są związane z tworzeniem wartości intelektualnej, związanej z muzyką, z teatrem. Nie na zasadzie: jeszcze więcej festiwali, a raczej: wydarzeń szczególnej klasy. Tyle że muszą być one ważne również dla samych mieszkańców. Miasta, które mają słynne opery z bardzo drogimi biletami, nie pozwalają sobie na to, żeby zamykać je przed mieszkańcami.

Dlatego te wielkie opery dają, na przykład, wielkie darmowe koncerty plenerowe, którym patronuje światła miejska władza. To jest właśnie myślenie, w którym rachunek jest obecny, ale nie jest najważniejszy. Nie on to rozstrzyga.

Rozwój miasta nie może polegać na prostej, nieodtworzalnej eksploatacji zasobu, jaki posiada. O kulturze nie należy myśleć jako o czynniku wzrostu, czynniku stymulowania, tylko właśnie jako o mechanizmie rozwojowym.

Co to znaczy?

Że najważniejszy dla rozwoju tego miasta jest potencjał twórczy jego mieszkańców. Pytanie więc, czy my o ten potencjał dbamy, w niego inwestujemy?

A jak w niego inwestujemy?

Chcicie, żeby rozwój miasta przebiegał oparty na zasobach kultury? To pokażcie mi, jak wygląda edukacja artystyczna w szkołach Krakowa! Edukacja artystyczna to nie jest tylko pani od plastyki i muzyki. Ważne jest to, czy szkoła ma związek z muzeum, z filharmonią.

Ale czy mogliśmy ominąć ten etap turystyki piwnej jako sposobu ściągania cudzoziemców do Krakowa? I od razu podjąć decyzję polityczną, że stawiamy na gości wysokich lotów?

To nigdy nie działa na tej zasadzie, że trzeba gdzieś zabrnąć, żeby się cofnąć. Refleksja rozwojowa polega na tym, że potrafię przewidywać konsekwencje podejmowanych działań lub przyzwolenia, bo czasami nie są to działania, lecz przyzwolenie. Muszę budować scenariusz także na wypadek, co zrobię, jak mi nie będzie szło.

Zwłaszcza że każdy sukces jest pierwszym krokiem do porażki.

W każdej dziedzinie! Super, dużo osiągnąłem, ale muszę się zastanowić, czy może trzeba pomyśleć, żeby troszeczkę pójść w inną stronę. A w każdym razie przygotować sobie wariant B na wypadek zmiany sytuacji. Chwała, że trzeba było zbudować infrastrukturę komunikacyjną w Krakowie. Tyle że za każdym razem pytanie brzmi: czy rozwój osiągniem większą liczbą samochodów? A co się dzieje, gdy budujemy w centrum miasta kolejne apartamentowce i kolejne centra handlowe, jak Galeria Krakowska i tak zwane nowe miasto, które nie jest żadnym nowym miastem, tylko nowym handlem. Co się stanie? Będzie jeszcze więcej samochodów. Więc znowu będziemy się zastanawiali nad kolejnymi inwestycjami komunikacyjnymi i nigdy nie dogonimy czasu.

Ta imponująca nowa infrastruktura nie może więc nas zwalniać od myślenia, jak przyspieszyć ruch, tylko czy przyspieszanie ruchu jest drogą do rozwoju miasta.

Mamy teraz pytanie o dzielnicę Wesoła, czyli o ulicę Kopernika – jakaż to jest wielka szansa rozwojowa dla miasta! To jest porów-



Open Eyes Economy Summit IV (19–20 XI 2019) to międzynarodowy kongres ekonomii wartości odbywający się rokrocznie w Krakowie. Czwarta edycja kongresu po raz kolejny wypełni Centrum Kongresowe ICE Kraków specjalistami z różnych stron świata i dziedzin życia. Aktywiści, przedsiębiorcy, naukowcy, artyści w trakcie emocjonujących dyskusji i żywych potyczek spróbują znaleźć rozwiązania problemów trawiących współczesne społeczeństwa. Polityka klimatyczna, overtourism, rewolucja technologiczna, od-

powiedzialny biznes – to tylko część tematów, które poruszą tegoroczni goście.



www.oees.pl

nywalne z Paryżem, który kiedyś stanął wobec podobnej sytuacji i wymyślono tam bulwary. Na tamtą epokę absolutnie odkrywcze rozwiązanie.

Jeśli jest taka szansa, to musimy mieć zdolność do przemyślenia drogi rozwojowej miasta i krytycznej refleksji jego dziedzictwa. Musimy zastanowić się, co ma być zachowane konserwatorsko, a co ma być nowym elementem wartości miejskiej. Czego Kraków potrzebuje?

Podoba mi się koncepcja Jacka Majchrowskiego, bo my nie potrzebujemy rozrostu naszego miasta. Mało tego, jak się będzie rozrastać, to koszty utrzymania tej substancji miejskiej będą żerane, bo się będzie jeszcze

bardziej rozlewało. To droga donikąd. Jeśli teraz miasto jest ileś razy większe niż sto lat temu, to może już wystarczy i niekoniecznie trzeba przejmować Wieliczkę!

A najważniejsze to zastanowić się, jak zbudować układ wykorzystania potencjału rozwojowego, czyli zdolności twórczych samych mieszkańców. Jakie działania w tym celu podjąć – nie tylko te twarde: inwestycyjne czy infrastrukturalne, ale też te społeczne, intelektualne, duchowe, kulturowe.

One przyczynią się do poprawy jakości życia, ale też stworzą warunki do rozwoju jednostek i grup społecznych. Chodzi o stworzenie możliwości, by ludzie potrafili nie tylko więcej wyprodukować, ale wymyślić, odkryć,

wykreować. A także uznać, że to jest ich miasto.

To znaczy, że ma to być nie miasto-skansen, nie miasto wspomnień, nie miasto wyłącznie prostej dumy, ale miasto myślenia o przyszłości, czyli wspólnoty losu.

Trzeba przemyśleć, jaką siłę rozwojową chce się tu wprowadzić, jakie rodzaje aktywności chce pobudzić. Jedni mówią – zbudujemy filharmonię. Ale się pytam: jaka tu jest siła rozwojowa? Jak ktoś odpowie, że dzięki filharmonii będziemy mieli lepiej rozwinięty system edukacji muzycznej w mieście, to rozumiem.

Musimy wiedzieć, na co nas stać, na co chcemy wydawać pieniądze i w jaki sposób je wydawać, żeby nam służyły? Nie chodzi o to, żebyśmy zbudowali najlepszą akustycznie salę, ale zadbajmy o to, żeby w naszej wybitnej orkiestrze pracowali ludzie, którzy będą swoją aktywnością promieniowali na inne elementy tej układanki. Na przykład, niech nie zarabiają na wynajmowaniu się do innych orkiestr, tylko niech będą mieli zajęcia w normalnych szkołach. Niech w każdej szkole będzie chór poprowadzony przez człowieka, który ma trochę czasu, a pracuje w orkiestrze miejskiej i my zapewniamy mu utrzymanie.

Buduje się środowisko.

Tak. Rozbudowuje się przestrzeń społeczną, w którą wciągnięci uczestnicy są aktywni i się rozwijają. To właśnie jest kultura. W mieście takim jak Kraków z kultury musimy uczynić wiodący mechanizm rozwoju miasta. Inaczej nie wykorzystamy tego wielkiego potencjału, który zbudowaliśmy, budując układ komunikacyjny czy wiele obiektów użyteczności publicznej.

Tworzenie kolejnych wysp, które są nieskomunikowane, jest bez sensu. Weźmy sta-

dion Wisły. To jedno wielkie nieszczęście. Jakaż była tam przestrzeń! Przed wojną był tam basen i kilka stadionów! Nie wiem, czy tam ma być basen, ale co myśmy z tego zrobili! Skomercjalizowaliśmy tę przestrzeń. Już nie mówiąc o tym, że architektonicznie stadion to jest rozpacz i wstyd. Znowu zabrakło wyobraźni, która nie polega na myśleniu punktowym, lecz urbanistycznym. I wyobraźni, która nie jest urbanistyką ani estetyczną, ani inżynierską. Jest urbanistyką o myśleniu rozwojowym.

Pamiętając, że nie wolno Błoni zagospodarować, można je używać mądrzej, nie wpadając w żadne kompleksy ani słabości. Na przykład na Błoniach raz w roku powinien być dzień opery.

Opery? Pan jest także miłośnikiem opery? Kim właściwie jest Jerzy Hausner, który łączy tyle pól?

Samookreślają mnie dwa wymiary, które muszę łączyć. Kompletnie osobisty, na przykład relacja z żoną, a jesteśmy bardzo dobrym małżeństwem.

Tak zwane pierwsze i ostatnie?

Tak. Jesteśmy 47 lat małżeństwem. To mnie definiuje. Ale oczywiście to nie jest coś, w czym potrafię się zamknąć. Bo jestem też człowiekiem uniwersytetu. Nie tylko wykładowcą. Wykonuję tą pracę od pewnego momentu, mniej więcej od 1993 roku, jako powołanie. Skąd to powołanie przyszło? Z własnej refleksji.

Moje powołanie to także Kraków. To ten panteon krakowskiej kultury, który musi być stale ożywiany. Nie tylko przez te wielkie gwiazdy i nie przy okazji 150. rocznicy Wyspiańskiego, kiedy wszyscy robią celebrę. Bez jubileuszy. Dlaczego to robię? Bo uważam, że tak się musi zachowywać profesor uniwersytetu. Na tym polega jego rola i zobowiązanie.

Słabością neoklasycznej ekonomii jest to, że sprowadza się ją do rynkowej wyceny i definiowania rynku jako samoregulującego się mechanizmu. Miarą sukcesu staje się zysk, a zapomina się, że wiele uruchomionych procesów niszczy wartości egzystencjalne. A tymczasem powinno się pamiętać o wartościach rozumianych nieutilitarnie. Profesor Jerzy Hausner w swej najnowszej książce postuluje przejście od gospodarki linearnej do gospodarki okrężnej, w której zachowuje się, odnawia i pomnaża istniejące zasoby oraz tworzy nowe. Żeby to się powiodło, trzeba przywrócić centralne miejsce kulturze, która jest fundamentem funkcjonowania każdej społeczności.

Co ważniejsze, autor nie koncentruje się szukaniu jakiejś uniwersalnej idei, ale buduje ramy pozwalające wykorzystać różne perspektywy, zwłaszcza ekonomistów, filozofów, socjologów, historyków i politologów. A może i polityków oraz samorządowców?

(wb)

Jerzy Hausner *Społeczna czasoprzestrzeń gospodarowania. W kierunku ekonomii wartości*, wydawnictwo NieOczywiste, Kraków 2019.



On ma pomóc studentom rozwijać trzy różne predyspozycje. Pierwsza to wiedza, intelekt. Druga to rozum, umiejętność porozumiewania się z innymi ludźmi i współdziałania. Trzecia to mądrość. Mądrość, czyli wyobraźnia plus odpowiedzialność.

Mawia się: lepiej z mądrym stracić niż z głupim zyskać. Co to przysłowie mówi? Że człowiek mądry cię nie skrzywdzi. Bo człowiek mądry jest człowiekiem odpowiedzialnym. Nie ma mądrości bez odpowiedzialności.

Warto być przyzwoitym, choć nie zawsze się opłaca.

Tak. Nie kieruj się tylko tym, co się opłaca, bo to, co się opłaca, nie znaczy, że jest coś warte. Ważne, żeby to zrozumieć. Oczywiście, może opłacać się tu i teraz. Ale „warte” to kategoria z innego porządku i długookresowa. Kiedy byłem wicepremierem w rządzie SLD, moi koledzy – porządni ludzie – mówili: „Jurek, to co robisz, jest dobre dla Polski, ale złe dla SLD”. Leszek Miller wołał mnie na bok i namawiał: „Powiedz im, że to jest bardzo dobre dla SLD!”. Odpowiadałem, że tak nie mogę powiedzieć. Mówiłem: „Muszę powiedzieć tak, jak jest, a to niekoniecznie pomoże nam wygrać wybory. Tylko pytanie, czy na tych wyborach kończy się świat? Ja wam mówię inaczej: jak tego nie zrobicie, to niezależnie od wyniku wyborów i tak nikt z was nie będzie rządził, bo w końcu ludzie

uznają, że nie zasługujecie na to, żeby wam powierzyć władzę”.

Dlatego że władza, która ucieka od rozwiązywania problemów, nie przejmuje za nie odpowiedzialności, traci mandat społeczny.

Może nawet w preambule konstytucji powinno się znaleźć zdanie: „Szczególna odpowiedzialność spoczywa na dzisiaj sprawujących władzę”.

Może i tak, słusznie. Bo co jest cechą polskiej polityki? Napisałem to 20 lat temu: ucieczka od odpowiedzialności. Zresztą ucieczka od odpowiedzialności jest też cechą całego naszego społeczeństwa.

Mieć władzę i nie ponosić za nią odpowiedzialności, uwolnić się od odpowiedzialności. Zawsze przerzucić odpowiedzialność na kogoś innego: to oni zepsuli, mieli tyle czasu i nic nie zrobili, choć deklarowali. A teraz jeszcze nam utrudniają.

Ludzie uciekają od odpowiedzialności. Politycy uciekają od odpowiedzialności. Administracja ucieka od odpowiedzialności. Obywatele uciekają od odpowiedzialności. Naszą cechą jest ucieczka. Co to oznacza? Że wszystko, co robimy, jest doraźne. Gra w nieodpowiedzialność to jest gra w tu i teraz.

Panie Profesorze, Jurku, dziękujemy za to inspirujące spotkanie. I wszystkim polecamy w listopadzie (19–20 listopada) w Krakowie kolejną edycję Kongresu Open Eyes Economy Summit.

Pasjonaci śpiewu

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcie: Klaudyna Schubert

**„Na miły Bóg,
Życie nie tylko po to jest, by brać
Życie nie po to, by beczynn timerwać
I aby żyć, siebie samego trzeba dać” – śpiewa Stanisław Soyka.
Te słowa jego *Tolerancji* są drogowskazem...**

– Gdy ciężka brama więzienia w Nowym Wiśniczu po raz pierwszy z trzaskiem zamknęła się za nami i zazgrzytała klucz, po plecach przeleciał dreszcz. Ten odgłos chyba w każdym budzi drżenie – mówi Katarzyna Freiwald, członkini zespołu Cracow Singers i jego dyrektor kreatywny. A prowadzący zespół Karol Kusz dodaje: – Z czasem oswoiliśmy się z tym dźwiękiem, więc gdy pół roku później cały zespół przekraczał bramę więzienną, a naszym koleżankom i kolegom trzęsły się ręce, w których trzymali dokumenty do kontroli, mieliśmy niezłą zabawę.

Jak Cracow Singers trafili do więzienia w Nowym Wiśniczu? Najpierw był program Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Kultura dostępna” mający na celu „wspieranie zadań służących ułatwieniu dostępu do kultury i sprzyjających integracji społecznej”. Potem – inspiracja, czyli działalność dyrektora Muzeum w Chrzanowie Zbigniewa Mazura współpracującego z zakładem karnym w Trzebinii w ramach organizowanego przez siebie festiwalu Dialog Kultur. I wreszcie pomysł warsztatów chóralnych dla więźniów zakończonych wspólnym z Cracow Singers koncertem. Gdy we wrześniu 2016 roku Katarzyna Freiwald przedstawiła swój pomysł w Inspektoracie Służby Więziennej, usłyszała że do jego realizacji „najwłaściwszy będzie zakład karny w Wiśniczu, bo gwarantuje ciągłość projektu”. Nim jednak z Karolem Kuszem przekroczyli bramę barokowego klasztoru przekształconego w 1783 roku w ciężkie więzienie, pani Katarzyna zatelefonowała do Stanisława Soyki. Bo tak naprawdę wszystko zaczęło się od niego, a raczej od sonetów Szekspira opracowanych przez artystę muzyką i nagranych przez niego w 1994 roku. Niemal dwadzieścia lat później Karol Kusz szukając dla Cracow Singers ciekawego repertuaru, postanowił zaaranżować je na zespół wokalny *a cappella* i solistę. Efekt jego pracy spodobał się artyście, czego dowodem były nie tylko wspólne koncerty, ale nagranie w 2015 roku dwupłytyowego albumu z sonetami i nawiązana przyjaźń. A telefon dotyczył jego udziału wraz z Cracow Singers i więźniami w finałowym koncercie warsztatów w wiśnickim więzieniu nazwanym *Tolerancja* od tytułu znanej piosenki

Stanisława Soyki. Akceptacja była natychmiastowa.

O samych warsztatach, o trudnych początkach mimo dobrych chęci obu stron, o uporze i chęci wzajemnego porozumienia się, która jednym podsuwała coraz to nowe sposoby rozwiązywania muzycznych i psychologicznych problemów, a drugim – pozwalała pokonywać własne słabości i wcale nierzadkie kpiny oraz niechęć współosadzonych, można napisać książkę. Ale wreszcie 18 października

2017 roku na zorganizowanym w więzieniu koncercie zabrzmiał wspólny śpiew: proste, ale wielogłosowe opracowanie fragmentu *Te Deum* Charpentiera, *Yesterday* Lennona/McCartneya, ballada *Amazing Grace* zwana też *Hymnem nawróconego łotra* z pięknym polskim tekstem Jana Jakuba Należytego i oczywiście *Tolerancja* Stanisława Soyki.

*

Cracow Singers kontynuuje warsztaty w wiśnickim więzieniu. Ich muzyczni wychowan-



kowie w ubiegłym roku zdobyli wyróżnienie w Międzynarodowym Przeglądzie Sztuki Więziennej w Sztumie, prezentując swoją własną twórczość. Dali też *Koncert dla Niepodległej*, którego program zbudowany został z dawnych pieśni żołnierskich zachowanych w dworku Serafińskich w sąsiadującej z więzieniem Koryznówce. W bieżącym roku, roku rocznicy Unii Lubelskiej, Katarzynie Freiwald

Cracow Singers prowadzi warsztaty w wiśnickim więzieniu. Ich muzyczni wychowankowie w ubiegłym roku zdobyli wyróżnienie w Międzynarodowym Przeglądzie Sztuki Więziennej w Sztumie, prezentując własną twórczość.

marzą się żywe obrazy na wzór obrazu Jana Matejki.

Ale „więzienna” przygoda to zaledwie jeden z licznych nurtów działalności Cracow Singers. Zespół działa od pięciu lat. Grupuje pasjonatów śpiewu chóralnego, profesjonalnych wokalistów, dla których udział w pracach zespołu jest odskocznią od codzienności. Wykonują różne zawody (najczęściej związane z muzyką), bo że śpiewu chóralnego wyżyć trudno, ale w pełni realizują się w Cracow Singers. Jak mówi Karol Kusz: – Wkładamy w to przedsięwzięcie całą energię i cały wolny czas. Wiemy, że musimy dać z siebie wszystko, by to był zespół idealny.

W ramach międzynarodowego projektu „Kantor – anwesend – abwesend” prezentowali utwory opowiadające o zmierzchu dnia i życia, umuzyczniali otwarcie Muzeum im. Ulmów w Markowej, brali udział w festiwalach szkspirowskich w Gdańsku i Erewaniu. Również w Erewaniu koncertowali z tamtejszym Hover Chamber Choir of Armenia, by następnie – kontynuując współpracę artystyczną – już w Krakowie wykonać *Te Deum* Krzysztofa Pendereckiego. Sami Cracow Singers na jubileusz kompozytora dali koncerty w Lusławicach i siedzibie NOSPR. Z Sinfonietą Cracovią zespół śpiewa utwory Arvo Pärta (m.in. na koncercie z okazji 70-lecia Nowej Huty), z Orkiestrą Akademii Beethovenowskiej – utwory Witolda Lutosławskiego w cyklu *Ptasie plotki, czyli rzecz o muzyce*. Regularnie występują na festiwalu L’Orgue Chaource we Francji w regionie Grand Est, zaproszeni również zostali na tegoroczne festiwale muzyki dawnej w Wilnie.

To Cracow Singers w ubiegłym roku we współpracy ze specjalistami ze Schola Cantorum Basiliensis: dr Agnieszką Budzińską-Bennet i prof. Markiem Lewonem nagrali płytę z kompletem zachowanych utworów Wacława z Szamotuł, największego polskie-

go kompozytora doby renesansu, między innymi jego *Lamentacje*, które na ich prośbę Marc Lewon zrekonstruował z rozproszonych po świecie fragmentów. Doprowadzili też do wydania *Lamentacji* drukiem. Wiosną tego roku przygotowali kolejną płytę z utworami Andrzeja Panufnika i jego córki Roxanny Panufnik.

Obecnie zespół pracuje nad płytą z utworami Andrzeja Panufnika i Roxanny Panufnik. Towarzyszył im kwartet smyczkowy korzystający między innymi z instrumentu zbudowanego przez Tomasza Panufnika, słynnego przedwojennego polskiego lutnika, ojca Andrzeja, tak więc na płycie spotkały się trzy pokolenia twórczej rodziny. Koncert promujący płytę *Konjunkcja – Panufnik* odbył się w październiku w Krakowie. Kolejny krążek w wykonaniu Cracow Singers zawierać będzie utwory z tabulatury Jana z Lublina.

Słyszałam krakowskich śpiewaków w różnorodnym repertuarze, od chorału po polskie prawykonanie arcytrudnego utworu 72 *Angels. In splendore lucis* amerykańskiej kompozytorki Lery Auerbach, do współpracy z którą zaprosiło ich wydawnictwo Internationale Musikverlage Hans Sikorski z Hamburga (ta współpraca jest kontynuowana, 17 listopada w Wiedniu zespół wykona II część utworu pod dyktando kompozytorki).

I zawsze Cracow Singers urzekali mnie bogatym, miękkim brzmieniem, perfekcją interpretacji, ale przede wszystkim olbrzymią emocją, z jaką traktują muzyczną materię. Na tę cechę krakowskich śpiewaków zwracali też uwagę inni odbiorcy ich sztuki. Cracow Singers po prostu cieszą się śpiewem i tą radością wyróżniają się pośród podobnych im zespołów. Jak to osiągają? Karol Kusz mówi: – Wierzę w muzykalność ludzi, staram się ją wydobyć. Chórzystów proszę, by posłuchali muzyki, poszli za jej frazę, skupili się na barwie dźwięku, na sensie słowa... Kiedy uruchamiamy wrażliwość, właściwa intonacja znajduje się sama. Pani Katarzyna dorzuca: – Podstawą jest wzajemny szacunek, a my się po prostu lubimy. To owocuje w pracy, bo każdy z członków zespołu czuje się odpowiedzialny za innych. Ten sam duch panuje w prowadzonej przez zespół szkole wokalne. W jej zajęciach uczestniczą ludzie różnych profesji i w różnym wieku, którzy chcą razem śpiewać. Śpiewając w zespole, trzeba dać innym część siebie. A – jak śpiewa Stanisław Soyka – dopiero wtedy się żyje.



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



Kościół Tischnera?

Wstęp: Witold Bereś **Zdjęcie:** Piotr Uss Wąsowicz

Jak co roku w listopadzie staramy się wraz z grupką przyjaciół przypomnieć myślenie księdza Tischnera i jego postawę.

Diś, patrząc na obecność Kościoła w Polsce w ostatnich latach, a zwłaszcza na nieskrywany sojusz infuly z tronem i płynące zeń frukta, na ingerencję w życie polityczne, wreszcie na przestępstwa ujawniane przez film braci Sekielskich i opowiedziane przez Smarzowskiego w *Klerze*, chcielibyśmy się zastanowić nad tym – gdzie jest coś, co dla nas było ważne: Tischner w Kościele?

Jednak już przy określeniu tematu debaty pojawił się problem. Czy mamy się zastanawiać nad tym, „Czy przegrał Kościół ks. Tischnera?” czy też raczej „Jak przegrał Kościół ks. Tischnera?”. A może Tischner był wyjątkiem wśród wyjątków? Dwóch wybitnych publicystów próbuje, każdy na swój sposób, tę sprawę ocenić.

Ja sam coraz częściej myślę jednak, że sprawę Kościoła i ks. Tischnera należy chyba widzieć w dwóch różnych porządkach. Wielki człowiek, duchowny, i Kościół – instytucja, która niekoniecznie kochała Wielebnego.

Chyba właśnie w tym duchu napisał do mnie Leszek Kołakowski, odpowiadając na moją prośbę napisania wstępu do książki *Tischner. Podróż* (jej wznowienie na dniach nakładem wydawnictwa Wielka Literatura).

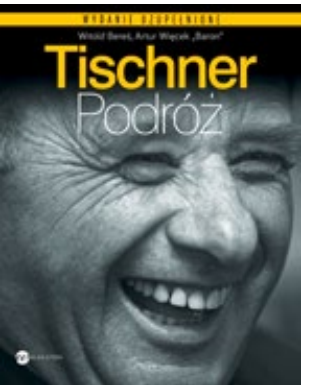
„Kochał Polskę, przy czym, jak wszyscy wielcy Polacy, znał też dobrze okropne strony polskości – nienawiść, zawiść, nadęcie i głupotę – i umiał je bez obawy odśłaniać; kochał wolność jako największy dar boży człowiekowi dany, ale umiał też ujawniać jej nadużycia rozmaite, jej paradoksy i nieszczęścia, które można pod jej przykryciem powodować. Kochał Kościół Chrystusowy, ale nie wahał się odkry-

wać zło, jakie jego wyznawcy produkują, powołując się na chrześcijańskie reguły. Wiedział wszakże, że obok polskości szlachetnej, ożywionej duchem poświęcenia, odwagi i rozumu, istnieje polskość podła, a podobnie obok katolicyzmu natchnionego słowami kazania na górze, istnieje katolicyzm podły, wypełniona nienawiścią i pychą. Wielekroć Józef był ofiarą tej katolicyzmu nikczemnej i nienawidzącej, ale nigdy nie odpłacał jej tą samą monetą.

Bardzo rzadko można chyba spotkać kapłana prawdziwego, Bogu oddanego kapłana z takim jak Tischner zmysłem humoru. Zarówno jego sławne gadki góralskie i porzekadła, jak też reakcje na wszelkiego rodzaju sytuacje ludzkie, kłopoty i zdarzenia pełne były spontanicznego humoru, który czasem samego Pana Boga nie oszczędzał. Łączył ów humor z niezłomną wiarą chrześcijańską, a to, jak wszyscy wiemy, łatwe nie jest. Józef jednak, choć umiał igłą humoru przekłuwać głupotę i samochwalstwo, nie miał w sobie złości. Był życzliwy ludziom i życzliwy światu, widział w bycie całym, choćby złem zatrutym, piękno i blask chwały bożej. Spodziewał się na pewno, że również po przestąpieniu ostatniej przepaści będzie się za nas modlił, nie tylko za przyjaciół.”

Kołakowski zatytułował swój tekst *Józef Tischner – mój przyjaciel, przyjaciel świata*.

I dobrze by było, aby właśnie myślenie o przyjaźni towarzyszyło nam przy myśleniu o Tischnerze.



Czy Kościół ks. Tischnera przegrał?

Tekst: Wojciech Bonowicz

Zadawano mi to pytanie wielokrotnie. Czasem w tej, czasem innej formie. Niekiedy pytano o „Tygodnik Powszechny”, o tak zwany katolicyzm otwarty. Pytali głównie ludzie czujący się częścią środowiska, ludzie, dla których Józef Tischner czy Jerzy Turowicz byli autorytetami. Odpowiadałem rozmaicie, ale nigdy nie była to odpowiedź „tak” lub „nie”.

Samo myślenie w kategoriach wygranej i przegranej wydawało mi się bowiem niewłaściwe. Ci ludzie (Turowicz i Tischner) nigdy tak o sobie nie myśleli – zależało im na ideałach, które wyznawali, uważali, że mają rację i za pomocą argumentów chcieli przekonać do niej innych, ale nie chodziło im o to, żeby za wszelką cenę „postawić na swoim”. Dziś żyjemy w innym kontekście, a może wręcz w innym etosie, w którym pogniębienie przeciwnika jest dowodem na słuszność własnej postawy.

Według Tischnera myślenie w kategoriach wygranej i przegranej wyrasta z tego, jak traktujemy świat i nasze obowiązki wobec niego. W jednym z wywiadów już w połowie lat 80. ubiegłego wieku mówił: „Nie wiem, jak innych, ale mnie szczególnie uderza bezmyślność dzisiejszego świata. (...) Uczymy się, analizujemy, syntetyzujemy... Ale – czy myślimy? Prowadzi-

tak pomyśleć. Ale mam poczucie, że obraz jest niepełny. Więcej: że to, co w Kościele w Polsce żywe, często jest jakoś z tradycją reprezentowaną przez Tischnera powiązane. Tak było choćby w przypadku ks. Jana Kaczkowskiego, który stał się autorytetem, a w wywiadach mówił otwarcie, ile Tischnerowi zawdzięcza (choć nigdy osobiście go nie spotkał). Ludzi podobnych do ks. Jana – duchownych i świeckich – jest całe mnóstwo. Jedni podejmują dzieła miłosierdzia, inni odnajdują się w małych kościelnych wspólnotach, jeszcze inni od wewnątrz próbują wpływać na sytuację w Kościele.

Nie da się o polskim katolicyzmie powiedzieć, że jest wyłącznie nastawiony na opór wobec współczesności i że dominuje w nim retoryka wojenna. Kolejne zakazy nakładane na ks. Adama Bonieckiego zjednują mu sympatię coraz większej liczby wierzących. Kościół demonstrowujący swoją władzę zniechęca, więc przybywa takich, którzy szukają alternatywy.

Z kolei w perspektywie Kościoła wydaje się, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat krok po kroku spełniały się marzenia Świeżawskiego, Turowicza, Tischnera i im podobnych. O wielu wielkich gestach papieża Jana Pawła II już się nie pamięta: wizyta w rzymskiej synagodze, spotkanie międzyreligijne w Asyżu, rachunek sumienia Kościoła. Nie pamięta się o skromnym stylu jego życia, o tym, jak wielką sensacją były jego pielgrzymki i spotkania również z wyznawcami innych religii, a nawet ludźmi wobec Kościoła niechętnymi. Nie pamięta się o Benedykcie XVI i jego „dzieńdzinach pogan” (które w Polsce, co charakterystyczne, stały się „dzieńdzinami dialogu”). Kościół powszechny zmierza – z oporami, ale konsekwentnie – w stronę większej kolegalności, zaproszenia do współodpowiedzialności świeckich, rozliczenia win i zapobieżenia im na przyszłość. Słuchając papieża Franciszka, często mam wrażenie, jakbym słyszał autora *Etyki solidarności*, który mówił, że Kościół nie powinien się troszczyć o władzę, która nie jest mu potrzebna, bo wtedy straci tę, którą rzeczywiście ma.

To są powody do optymizmu. Powodów do pesymizmu znajdziecie pełno, wystarczy otworzyć pierwszą lepszą gazetę czy stację telewizyjną. W takich sytuacjach radzę wziąć głęboki oddech. Może nie jest jeszcze tak źle?



Wojciech Bonowicz – publicysta, poeta, felietonista. Biograf ks. prof. Józefa Tischnera i redaktor jego pism.

Dlaczego Tischner przegrał?

Tekst: Jarosław Makowski

Z księdza Tischnera w polskim Kościele zostało dziś tyle, co kot napłakał. A to dlatego, że mentalnie, duchowo i intelektualnie Tischner był zaprzeczeniem tego wszystkiego, czym jest rodzimy katolicyzm.

Powiada się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Guzik prawda. Są. I najlepszym tego świadectwem jest postać ks. Józefa Tischnera. Tego księdza i filozofa, górala i gawędziarza nikt nie zastąpi. Dlatego jego brak – brak jego mądrych kazań, przenikliwych tekstów, wciągających rozmów i słów, które przywracały właściwe proporce światu, jest tak dojmujący.

Śmiem twierdzić, że przedwcześnie i okrutnie choroba, która odebrała nam ks. Józefa, dla jego przeciwników, których przecież nie brakowało, i to głównie w Kościele, była chwilą ulgi. Bo oto już nie będzie tego heretyka, który miesza prostym ludziom w głowy, tego mądrali, co to dyskutuje jak równy z równym z najwybitniejszymi filozofami – Paulem Ricoeurem czy Charlesem Taylorem – u papieża Wojtyły w Castel Gandolfo, tego ironisty, który swoich polemistów jednym żartem sprowadzał do parteru.

Jaki był więc ten katolicyzm Tischnera, że nie przyjął się w Kościele nad Wisłą? Po pierwsze, łagodny. Miał w sobie ksiądz Tischner jakiś niezwykły dar, który przyciągał do niego ludzi jak pszczoły do kwiatów. Jako student widziałem, że – jak tylko się pojawiał – gromadziły się wokół niego tłumy. Zatwardziali ateści, wrogowie Kościoła i Pana Boga miękli i zamieniali się w pobożne, słuchające go owieczki. Świadectwem choćby prof. Antoni Kępiński, który – gdy Tischner odwiedził go w szpitalu – rzucił do księdza: „Bo wiesz co... Bo ty masz taką uzdrawiającą gębę”.

Po drugie, Tischner pokazywał, co znaczy katolicki personalizizm w praktyce. Kiedy rozmawiałeś z Wielebnym, to odnosiłeś wrażenie, jakbyś nic innego na tym bożym świecie się już nie liczyło, jakbyś w tej chwili rozmowy był najważniejszym człowiekiem na tym łożu padole. Przystawałeś być anonimowy – kolejnym studentem, penitentem czy dziennikarzem proszącym Księdza Profesora o wywiad. Tischner potrafił wydobyć ze swego rozmówcy to, co w nim najlepsze i najszlachetniejsze. Przy nim po prostu człowiek rósł albo dostawał skrzydeł. Ludzie jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki chcieli stawać się lepszymi, niż byli w rzeczywistości. Chcieli być nie tymi, którymi byli, ale tym, którymi mogli być, gdyby tylko „chcieli chcieć”. Tischner, sprawiał, że człowiekowi „chce się chcieć”.

Po trzecie, krakowski ksiądz wojował myślą. Pokazywał, skąd i kim jest, czytając naszych wieszczów: Słowackiego, Wyspiańskiego czy – za ulubionym Norwidem powtarzając – iż „Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek”. Jednak w polskości Tischnera nie było lęków i fobii, a katolicyzm oznaczał dla niego otwarty umysł i czyste serce, chęć twórczego sporu. To Tischner tłumaczył nam – uprzednio prze-

czytawszy i zrozumiawszy – Heideggera czy Levina-sa, by ratować nadzieje. Sama pobożność, wyjaśniał swoje intelektualne zacięcie, jest ważna, ale myślenia nie zastąpi. A jest tak ważna, gdyż bezmyślność – w tym katolików – nie tylko kłuje w oczy, ale pomnaża nieszczęścia tego świata.

Intrygujące jest to, że sam Tischner miał świadomość klęski wizji katolicyzmu, którą z całych sił głosił: katolicyzmu otwartego, gościnnego, dialogującego i rozumiejącego. Przecież mówił jasno, przyglądając się rodzimemu Kościołowi: autentyczne chrześcijaństwo jest wciąż przed nami. Dodawał, że gdy przygląda się codziennej polskiej rzeczywistości – to wydaje mu się ona taką, jakby ludzie nigdy Ewangelii nie przeczytali, jakby ta Ewangelia była dla nas tekstem całkowicie nieznaczącym i w zasadzie obcym.

Dziś owo Tischnerowskie „przed nami”, dziś, kiedy widzimy Kościół zaciśniętej pięści, katolicyzm wszędzie szukający wrogów, biskupów rzucających gromy na bogu ducha winnych ludzi, wczorajszych uczniów Wielebnego, którzy legitymizują bezprawie i moralną degrengoladę, musimy powiedzieć, że

Sam Tischner miał świadomość klęski wizji katolicyzmu, którą z całych sił głosił: katolicyzm otwartego, gościnnego, dialogującego i rozumiejącego

droga do autentycznego chrześcijaństwa w Polsce się wydłużyła. I to pomimo tego, że dobry Bóg dał nam prawdziwego chrześcijanina i przenikliwego filozofa, ks. Józefa Tischnera.

Ale nie pierwszy i pewnie nie ostatni to prorok, który przyszedł do swoich, a swoi nie tylko, że go nie rozpoznali, ale i z premedytacją odrzucili.



Jarosław Makowski jest filozofem i teologiem. Studiował w Krakowie – na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II i Papieskim Wydziale Teologicznym „Bobolanum”. Był redaktorem „Tygodnika Powszechnego” (mawia, że tam od ks. prof. Józefa Tischnera nauczył się odwagi myślenia). Uczył też filo-

zofii w VI Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza. Jest autorem wielu książek, między innymi: *Mistrzowie w krainie życia: rozmowy nie tylko o filozofii*, *Dziesięć ważnych słów*, *Rozmowy o Dekalogu*, *Wariacje Tischnerowskie czy Pobudka Kościele!* Obecnie jest radnym Katowic i dyrektorem Muzeum Ziemi Kozielskiej.



Beata Zuba, *W szarych górach, szary śnieg*, 40 x 50 cm, technika własna na płótnie, 2018

 **Kraków**

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA MIASTA KRAKOWA
JACKA MAJCHROWSKIEGO

Dyrektor artystyczny
Adam Pierończyk

Jazz Juniors

FESTIVAL

27.11 / Cricoteka

Will Vinson Quartet
Mark Turner / Ethan Iverson

28.11 / Cricoteka

Yumi Ito / Szymon Mika Duo
Markus Stockhausen Intuitive Music Orchestra

29.11 / Cricoteka

Gniewomir Tomczyk Project
Soweto Kinch Trio

30.11 / Kościół św. Katarzyny

Ernst Reijseger
Adam Pierończyk / Miroslav Vitous

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE

27.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Przesłuchania konkursowe, cz. 1
27.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Marcin Pater Trio - laureat
Jazz Juniors 2018

28.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Przesłuchania konkursowe, cz. 2
28.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Jam session
29-30.11 / Centrum Kongresowe ICE
Jazz Juniors-Network
Panele, dyskusje, warsztaty

29.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Koncert laureatów Jazz Juniors 2019
30.11 / Piec Art Acoustic Jazz Club
Jam session

jazzjuniors.com.pl

Bilety: 30-120 PLN — eventim.pl, InfoKraków oraz na godzinę przed koncertem



Świat wciąż mnie zdumiewa

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Krzysztof Lis

Beata Szymańska: Czasem odczuwam przemijanie, i to bardzo boleśnie, jeśli nie jest to tylko przemijanie pór roku, w swoim odradzaniu się i pięknie. Nie twierdę, że się ze wszystkim godzę bez problemów, może mój optymizm w wierszach jest dla mnie formą ucieczki przed tym.

Elżbieta Wojnarowska: To zdumienie chyba nie od dziś, pisałaś już przecież w swoim wierszu, że żyjesz przez ciekawość... Skąd to zadziwienie?

Beata Szymańska: Na to pytanie trudno odpowiedzieć jednoznacznie, bo należałoby odpowiedzieć: to świat jest zadziwiający! Począwszy od przyrody, która nieodmiennie budzi moje zdumienie, a skończywszy na właściwościach tego świata, niewytłumaczalnych, często zachwycających, a często przerażających. A może jest w tym też trochę z dzieciństwa, które w każdym z nas tkwi, a którego ja nie tępię w sobie.

Czy to jakaś szczególna Twoja przypadłość?

Może tak, a może to dzięki ojcu, który często zabierał mnie w góry i tak z nim chodziłam po zielonym świecie. Uczył mnie tego zachwyty, bo sam był człowiekiem zadziwionym światem.

Może poeci mają to do siebie, że coś z dziecka w nich zostaje?

Nie sądzę. Myślę, że są też poeci, którzy są starzy od samego urodzenia (śmiech).

Jesteś typem obserwatora? Chodzisz po swoich uliczkach kazimierskich, choć podobno to już nie Kazimierz, tylko Skałka, i obser-

wujesz? A to mury, a to psa lub gołębia czy pana Zdzisia?

Chodzę i obserwuję. Na przykład teraz obserwuję, z zachwytem, gołębie, które się do siebie zalecają i urządzają tańce na trawniku. Ten ich taniec jest naprawdę piękny!

A potem notujesz? Tu wyrósł kwiatek, tam burza błysnęła, słońce zaszło za wieżę, a pani Stasia znów sobie podpiła? I z tego są wiersze?

Tak, bo taki wciąż jeszcze jest świat mojej ulicy, bardzo zresztą malowniczy. Są starzy mieszkańcy, którzy piją wódeczkę i okupu-

Na moje postrzeganie świata miała wpływ nie tyle filozofia, ile raczej kierunki religii wschodnich, szczególnie buddyzm zen, który mnie wiele nauczył i którego praktyki poznałam.

ją swoją ławkę nad Wisłą. To taki folklor tej dzielnicy. Ja też do niego należę, więc piszę, także o sobie (śmiech).

Beata Szymańska – profesor filozofii, tłumaczka i poetka. Absolwentka VII LO w Krakowie oraz studiów polonistycznych i filozoficznych na UJ, kierownik Zakładu Filozofii Wschodu oraz Zakładu Filozofii Kultury UJ. W 2001 roku ukazał się pod jej redakcją podręcznik filozofii Wschodu, obejmujący swym zakresem filozofię Indii, Chin, Tybetu i Japonii. Jako poetka debiutowała cyklem wierszy, w wydanym wspólnie z Mieczysławem Czumą, Wincentem Faberem i Leszkiem Aleksan-

drem Moczulskim zbiorze poetyckim *Próba porównania* (1962). Autorka książek o tematyce filozoficznej, m.in. *Mistycy i pesymiści*, *Chiński buddyzm chan*, *Miedzy Zachodem a Wschodem*, oraz zbiorów poezji, m.in. *Sny o porządku*, *Szttychy reńskie*, *Trzciny*, *Anioły mojej ulicy* (nagroda Krakowska Książka Miesiąca), *Słodkich snów*, *Europo*, *Złota godzina*. Wiceprezes krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek Towarzystwa Filozoficznego oraz Pen Clubu.

**Piszesz nie słowami, lecz uśmiechem, cie-
płem. Skąd się bierze taki własny piecyk
na szczególne dni?**

To nie jest tak do końca. Mnie też zdarza się
widzieć przerażające aspekty naszej rzeczy-
wistości, tylko staram się sobie jakoś z tym
radzić. Nie wiem jak, ale jakoś mi się to uda-
je, nawet w ciężkich chwilach. Straciłam
ojca, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką,
i od razu musiałam się nauczyć z tym bra-
kiem radzić, co było przecież bardzo trudne.

**W swoich wierszach skupiasz się na szcze-
góle, pozornie nic albo niewiele znaczącym,
a urastającym u Ciebie do rangi symbolu by-
cia i mijania, ale nie przemijania, jakby nic
się nie kończyło, tylko pozostawało trwa-
łe. Oto filozofia według Beaty Szymańskiej?**

Nie, myślę, że jeśli odwoływałamby się
do jakiejś filozofii, to raczej do filozofii bud-
dyjskiej, która mówi, że jeżeli chcemy ak-
ceptować świat, to musimy go akceptować
w tym przemijaniu. Czasem więc odczuwam
przemijanie, i to bardzo boleśnie, jeśli nie jest
to tylko przemijanie pór roku, w swoim od-
radzaniu się i pięknie. Nie twierdzę, że się
ze wszystkim godzę bez problemów, może
mój optymizm w wierszach jest dla mnie for-
mą ucieczki przed tym.

**Jesteś filozofem z wykształcenia. Czy to ma
lub miało wpływ na Twoje postrzeganie
świata, sposób jego odczuwania i opisywa-
nia?**

Sądzę, że nie tyle filozofia, ile raczej kierunki
religii wschodnich, szczególnie buddyzm zen,
który mnie wiele nauczył i którego prakty-
ki poznałam. Także chiński taoizm był szko-
łą, którą bardzo się interesowałam, Wschód
zaciekawiał mnie od zawsze, a na pewno
od ogólniaka. Przedtem nie było tylu ksią-
żek z tego zakresu co teraz, więc musiałam
sama jakoś się douczać.

**Chciałaś być polonistką, czemu zrezygno-
wałaś? Czego Ci w tym zabrakło?**

Nie wiem, czy chciałam. Kiedy szłam na stu-
dia, interesowałam się też innymi kierunka-
mi, złożyłam papiery na fizykę, ale wycofa-
łam je, gdyż nie przepadam za matematyką.
Myślałam o biologii, którą bardzo lubiałam,
ale polonistyka kojarzyła mi się z literatu-
rą, wierszami...

Skąd więc filozofia?

To był absolutny przypadek. Na filozofię namó-
wił mnie, jeśli tak można powiedzieć, profesor
Wyka. Zapropował, że poprosi profesora In-
gardena, aby mnie przyjął do siebie na studia,
sądzę, że wyczuł we mnie to zainteresowanie
z dyskusji seminaryjnych. W ten sposób zosta-
łam równolegle studentką filozofii.

Jednak ci wielcy filozofowie w swoich teo-
riach tylko próbują nam objaśniać świat,
i to hipotetycznie, niczego nie tłumaczą.

Starają się tylko uporządkować świat.

Coś Ci się wyjaśniło po tych studiach?

Nie oczekiwałam tego. Wiedziałam, że filozo-
fia niczego mi do końca nie wytłumaczy. Ale

wiele się tam nauczyłam. Miałam znakomi-
tych nauczycieli, takich jak profesor Roman
Ingarden, profesor Izydora Dąbska.

**A filozofia zen, buddyzm, czym Cię wtedy
zafrapowały?**

Swoim szczególnym podejściem do świata,
do przemijania, o czym mówiłyśmy. Pokazy-
waniem, jak sobie z tym radzić, teorią umysłu
i oczyszczania umysłu, medytacją. To mnie
bardzo pociągało, także od strony praktycz-
nej, ćwiczenia prowadził młody doktor Wła-
dysław Stróżewski.

**Jesteś niezwykle otwarta i wyczulona na na-
turę...**

Cóż, jest to świat, w którym żyjemy. Natura,
rozumiana jako przyroda, to jest ta natura
prawdziwa. Nie mówimy o naturze sztucz-
nej, stworzonej przez człowieka, choć uciecz-
ka z niej jest już dla nas prawie niemożliwa.

**Miłość do natury to jedno, ale żeby ho-
dować w domu dzikie zwierzę, to drugie...**

A Ty masz żbika...

Koto-żbika. Ale to on mnie wybrał (śmiech).
Nie wiem, czy wzięłabym takie zwierzę, gdy-
bym wiedziała, co to jest. Po prostu wyszedł
do nas z lasu jako mały, jęczący czarny kociak
i tak został. A że potem wyrosło z tego takie
ogromne, piękne i ukochane zwierzę, trud-
no było przewidzieć. Że to mieszaniec żbika,
dowiedzieliśmy się później od weterynarzy.

**Odczuwasz niezwykłą więź ze swoimi dwo-
ma kotami. Wydałaś o nich tomik wierszy.
Może w poprzednim wcieleniu, od którego
tak się odżegnujesz, byłaś kotem?**

Nie mam poczucia tożsamości z kotami
(śmiech). A wręcz mam poczucie, że nie może-
my się dogadać. Moje koty bardzo starają się
pokazać, co chcą, ale jeśli to nie jest tak proste,
jak na przykład prośba o wyjście na balkon,
to rysuje się poważna bariera. Może kiedyś
nauka doprowadzi do tego, że nauczymy się
odczytywać mowę zwierząt...

**Czy Twoje koty potrafią się obrazić? Jeżeli
tak, to kiedy i o co? I co wtedy robisz?**

Nawet bardzo potrafią się obrazić. Kot wcho-
dzi na szafkę i nie życzy sobie, żeby w ogó-
le z nim rozmawiać. Przepraszam go, jeśli
ma rację, ale jeśli nie, to go ignoruję.

**Nie usiłują Ci wejść na głowę? Stosujesz ja-
kąś dyscyplinę?**

Usiłują. W przenośni i dosłownie. Na gło-
wę wejść sobie nie życzę. Ale nie rozumiem
na przykład, dlaczego kot stale lubi prze-
bywać w fizycznej bliskości z człowiekiem.
Wchodzi na kolana, do łóżka. Wieczorem
przykazuje mu surowo, że ma spać u siebie,
a rano i tak znajduję go przy mnie na po-
duszce.

**Tyle w Tobie empatii i pogody, że starczy-
łoby nie na jedno, ale na kilka żyć. Masz
na to jakąś receptę?**

No nie, czasami też się martwię (śmiech), cho-
ciaż próbuję wciąż się zachwycać. Oczywiście
są rzeczy, na które się z całego serca nie go-
dzę, na przykład, aby malutkie dzieci choro-

Wiersze nowe

Złota godzina

Każdemu powinna się zdarzyć
po południu w środku lata:
złota godzina-
plaster miodu
dymiący ciepłem na talerzu dłoni

Bezdroża

Między jednym a drugim miastem
pola zboża i kukurydzy.
Płasko, pusto i nic nie wiadomo.
Ale zostaw strach dla wrogów:
bezdrożami można zejść daleko!
A jeżeli nie masz własnej drogi,
bez wahania obierz drogę cudzą.

Burza

O piątej rano była wielka burza.
Zabiła dwie jaskółki
i poszła sobie na południe.
Tyle potęgi
na takie małe prawie-nic?

wały i umierały. Nie potrafię się też pogodzić z cierpieniem zwierząt.

Nie do końca akceptujesz zło, które się w świecie dzieje.

Nie. Nie ma we mnie wewnętrznej zgody na sposób, w jaki został stworzony, w jakiej postaci istnieje świat.

Czyli to też Cię zdumiewa, czemu jest tak, a nie inaczej.

Wszystkich to zdumiewa... Pytanie świętego Augustyna nie znalazło do tej pory odpowiedzi...

W swojej książce *Między Zachodem a Wschodem*, która właśnie się ukazała, piszesz w jednym z rozdziałów, że cierpienie może mieć wydźwięk pozytywny, jeżeli jest na przykład elementem treningu sportowego, choć chodziło tu raczej o sztuki walki. Czy uprawiałaś jakieś sporty?

Próbowałam różnych dyscyplin, zawsze zapałem i marnymi rezultatami. Może szczytowym moim osiągnięciem było karate, które świetny trener podjął się prowadzić z grupą moich znajomych, podobnie uzdolnionych jak ja. Po jakimś czasie szczerych trudów, aby nas chociaż trochę czegoś nauczyć, zrozpaczony w końcu z nas zrezygnował (śmiech). A tak na poważnie, mistrz zen faktycznie dopiero po wytrwałym treningu i po długim okresie surowej dyscypliny dochodzi do „dostrzeżenia prawdziwej rzeczywistości”. Ponieważ, jak twierdzi mistrz Suzuki, tylko cała seria doświadczeń może doprowadzić go do źródła życia...

Cisza, piękno i pustka jako dopełnienie pełni, do której dąży każdy artysta, jest jednym z najważniejszych przesłań buddyzmu zen. Czy też tak to odczuwasz? Dużo podróżowałaś. Czy możesz wymienić jakieś miejsce, a może widok, który szczególnie zapadł Ci w pamięć?

Oczywiście było ich wiele. Ale może najbardziej poruszył mnie widok Himalajów dostrzeżonych nagle z ogromnej odległości, z niziny Nepalu. Było to tuż przed zachodem słońca i te ośnieżone szczyty jeszcze w pełni światła to było nie tylko spełnienie moich marzeń, ale i niezapomniane przeżycie estetyczne. Cóż, powiem za Nakamurą: „W Japonii niemal każdy jest poetą”. Coś w tym jest, że człowiek, który podziwia dzieło sztuki czy natury, doznaje uspokojenia umysłu, jak podczas medytacji.

A nastroje, melancholia, czyli to, co dzieła twórców czy natury potrafią w nas wywołać? Też przecież reagujesz na aurę, jaką rozciąga niezwykle pejzaż lub choćby tańczące gołębie i zachwycasz się tym.

Każdy z nas w jakiś sposób postrzega świat, nadaje mu określony koloryt zależnie od swojego nastroju. Jednocześnie świat ma własny koloryt, jak moja ulica, atmosferę, którą emanuje, i to jest rzecz obiektywna. Melancholijna, owszem, jeżeli jest w nas nasza wewnętrzna zgoda na nietrwałość i przemijanie.

Buddyzm zen i jego zgoda na przemijanie...

A czy jest coś takiego, o czym możesz powiedzieć, że tego nie zrobiłaś i teraz żałujesz?

O, na pewno byłoby kilka takich rzeczy. Na przykład żałuję, że nie opanowałam – jakże dziś przydatnej – sztuki prowadzenia samochodu, chociaż kiedyś uzyskałam bez trudu prawo jazdy. Do dziś leży w szufladzie, co jakiś czas odnawiane (optymizmu nigdy nie za dużo). Żałuję też, że nie dość się przykładałam do języków obcych, bo chociaż biernie znam ich kilka i mogę w nich swobodnie czytać, to mówię nie najpiękniej. No, ale w końcu chyba każdy ma poczucie, że coś kiedyś należało zrobić lepiej.

Piszesz o dobru i złu, o sensie i bezsensie cierpienia. I czyta się to z zapartym tchem. Talent pisarski nie bierze się z powietrza. Czy w Twojej rodzinie ktoś zajmował się czynnie literaturą?

Tak. Jednym z moich pradziadków był kiedyś dość znany pisarz (i dyrektor teatru we Lwowie) Marian Gawalewicz. Wiersze pisała też jego córka Gustawa (publikowała je pod pseudonimem Gustawa Toporcanka), ale tragiczna śmierć przerwała jej dobrze zapowiadającą się karierę. W całej tej historii przewija się też nazwisko Gabrieli Zapolskiej, ale o tym w naszej rodzinie się nie mówi.

Masz wspaiałą cechę: unikanie oceniania. W buddyzmie to podstawa, w naszej kulturze zaś trudna do zrealizowania... Można to w sobie wykształcić?

W buddyzmie nawet należy. Wyciszenie pragnień powoduje zaniechanie ocen i *vice versa*. Cóż, nasze pragnienia nas ograniczają i są przyczyną wszystkich problemów emocjonalnych. Poza tym to, co dla kogoś jest dobre, dla innego może być zagrożeniem, a wręcz złem. W dodatku wszystko jest tak nietrwałe i zmienia się z chwili na chwilę, jutro możemy o czymś czy o kimś wydać zupełnie odmienny sąd... A jak oceniać naturę? Lasy czy jeziora nie są przecież same w sobie ani dobre, ani złe... Niesie nas wszystkich, jak twierdzi Bergson, pęd życiowy – *elan vital*, czy tego chcemy czy nie, i to jest w naszej rzeczywistości równie pewne, co zdumiewające...



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.



Beata Zuba, *W stronę światła II*, dyptyk – z cyklu TAM, 150 x 100 cm

Wszystkie adresy „Krakowa”

Tekst: Jacek Balcewicz

Agnostycy powiedzą: do trzech razy sztuka. Wierzący: boh trojcu lubit. Magazyn „Kraków” na krakowskim rynku pojawiał się trzy razy.

1.
Po raz pierwszy kwartalnik „Kraków”, wymyślony i kierowany przez Zbigniewa Reguckiego, ujrzał światło dzienne z początkiem 1984 roku. Łącznie wydano 32 numery, co oznacza, że gościł w kioskach przez pełne 8 lat. Jak na ówczesne czasy był magazynem charakteryzującym się staranną szatą graficzną, nad którą czuwał cały czas malarz i artysta grafik Mściwój Olewicz, oraz dobrym drukiem adekwatnym do merytorycznej zawartości. Redakcja gościła kątem w pomieszczeniach kawiarniano-barowych na parterze narożnej kamienicy Rynku Głównego i ulicy Wiślniej. Można więc był wejść z fasonem poprzez bramę ka-

cie 180 tysięcy starych złotych. Mimo tego drugi numer grudniowo-styczniowy z szopką na okładce okazał się ostatnim. Listopadowy nakład nie sprzedał się tak jak zakładano i zabrakło pieniędzy na wykupienie z drukarni numeru grudniowo-styczniewego. Gdy pieniądze się wreszcie znalazły, było już bliżej Wielkanocy.

I to był koniec na długie lata.

3.

U progu XXI wieku okazało się, że kulturalna stolica Polski, a także Europejska Stolica Kultury – nie ma czasopisma kulturalnego. Idący do wyborów w 2002 roku prof. Majchrowski obiecywał, że jeśli

U progu XXI wieku okazało się, że kulturalna stolica Polski, a także Europejska Stolica Kultury – nie ma czasopisma kulturalnego. Idący do wyborów w 2002 roku prof. Majchrowski obiecywał, że jeśli wygra, doprowadzi do odtworzenia czasopisma społeczno-kulturalnego. Słowo się rzekło i...

mienicy **Rynek Główny 25** albo *incognito* od Wiślniej 2. Wydawcą było Krakowskie Wydawnictwo Prasowe należące do spółdzielczego koncernu RSW. Likwidacja RSW sprawiła, że dwa ostatnie w 1991 roku numery kwartalnika sfinansowała Fundacja „Odnowa Zabytków Krakowa”. Fundacja była organizacją majątną, gdyż prowadziła dwa dewizowe sklepy z atrakcyjnymi towarami, o cenach niższych niż w słynnym Pewexie.

2.

Pod koniec 1992 roku „Kraków” pojawił się w nowej odsłonie. Jako wysokonakładowy miesięcznik, drukowany w Salzburgu, z bardzo nowoczesną szatą graficzną autorstwa Andrzeja Oczkosia i zdjęciami Stanisława Markowskiego. Redaktorem naczelnym został Krzysztof Ślusarczyk, zaś wydawcą pozostała Fundacja „Odnowa Zabytków Krakowa”, która posiadała prawa do tytułu, a do której dołączyła Spółdzielnia Artystów „PLASTYKA-ART”. Ona też użyczyła redakcji siedziby przy **placu Szczepańskim 5**. Miesięcznik wszedł w numerację kwartalnika, co oznaczało kontynuację. Łącznikiem pomiędzy kwartalnikiem a miesięcznikiem pozostała postać sekretarza redakcji Andrzeja Boguni, który w miesięczniku podpisywał się, nie wiedząc czemu, jako Jędrzej Bogunia. Tytuł przedstawiał się jako „miesięcznik ogólnopolski Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa” i miał dość daleko idące plany, gdyż przyjmował zapisy na prenumeratę roczną w kwo-



Ostatni numer magazynu „Kraków”

wygra, doprowadzi do odtworzenia czasopisma społeczno-kulturalnego. Słowo się rzekło i...

Pierwszą osobą desygnowaną do organizacji czasopisma została Maria Malatyńska z „Życia Literackiego”. Ponieważ sprawy zaczęły się przeciągać, do akcji wkroczył Jan Pieszczachowicz.

Z bijącym sercem i podniesioną adrenaliną szedłem na pierwsze spotkanie, dzierżąc kartkę papieru ze swoim pomysłem na nowy „Kraków”. Jan Pieszczachowicz był wtedy redaktorem naczelnym prywatnego wydawnictwa Fogra i urzędował w małym pokoiku na ostatnim piętrze Drukarni Narodowej przy **ul. Piłsudskiego 19**. Można więc napisać, że był

to pierwszy nieoficjalny adres obecnego „Krakowa”. Zaplanowana na godzinę wstępna rozmowa przedłużyła się znacznie. Wyszliśmy razem i nie mogliśmy się rozstać. Krążyliśmy więc wokół Rynku – nawzajem odprowadzając się. Raptem zorientowaliśmy się, że jest to... pierwszy dzień juvenaliów. „Znów nam ubyło lat” – jak zwykli śpiewać Skaldowie. Z politowaniem jednak patrzyliśmy jak ekipy sprząające usuwają z płyty Rynku morze potłuczonego szkła butelkowego. Obaj zgodnie stwierdziliśmy: za naszych czasów byłoby to niemożliwe... A to z prostego powodu, że butelki były zwrotne i przedstawiły konkretną wartość pieniężną. Na wydawcę przyszłego magazynu wyznaczony został Instytut Sztuki – bardzo prężne stowarzyszenie wywodzące się z Akademii Ekonomicznej – prowadzące wtedy Klub Pod Jaszczurami i organizujące Festiwal Piosenki Studenckiej, gdzie pierwsze skrzypce grała Agnieszka Odorowicz współprowadząca z Janiną Paradowską „Salon Polityki Pod Jaszczurami” – późniejsza założycielka Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Tym sposobem „Jaszczury” (**Rynek Główny 8**) stanęły do naszej dys-



Okładka pierwszego numeru miesięcznika „Kraków”, listopad 2004

pozycji. Znów nam ubyło lat. Tu zaczęliśmy się spotykać w nieformalnym jeszcze wtedy gronie założycieli: Jan Pieszczachowicz, Andrzej Ruchałowski, Edward Chudziński, prof. Roman Banaszewski (jako dyrektor artystyczny i kierownik graficzny), Wacław Krupiński, Krzysztof Lisowski, Lesław Peters i ja – Jacek Balcewicz.

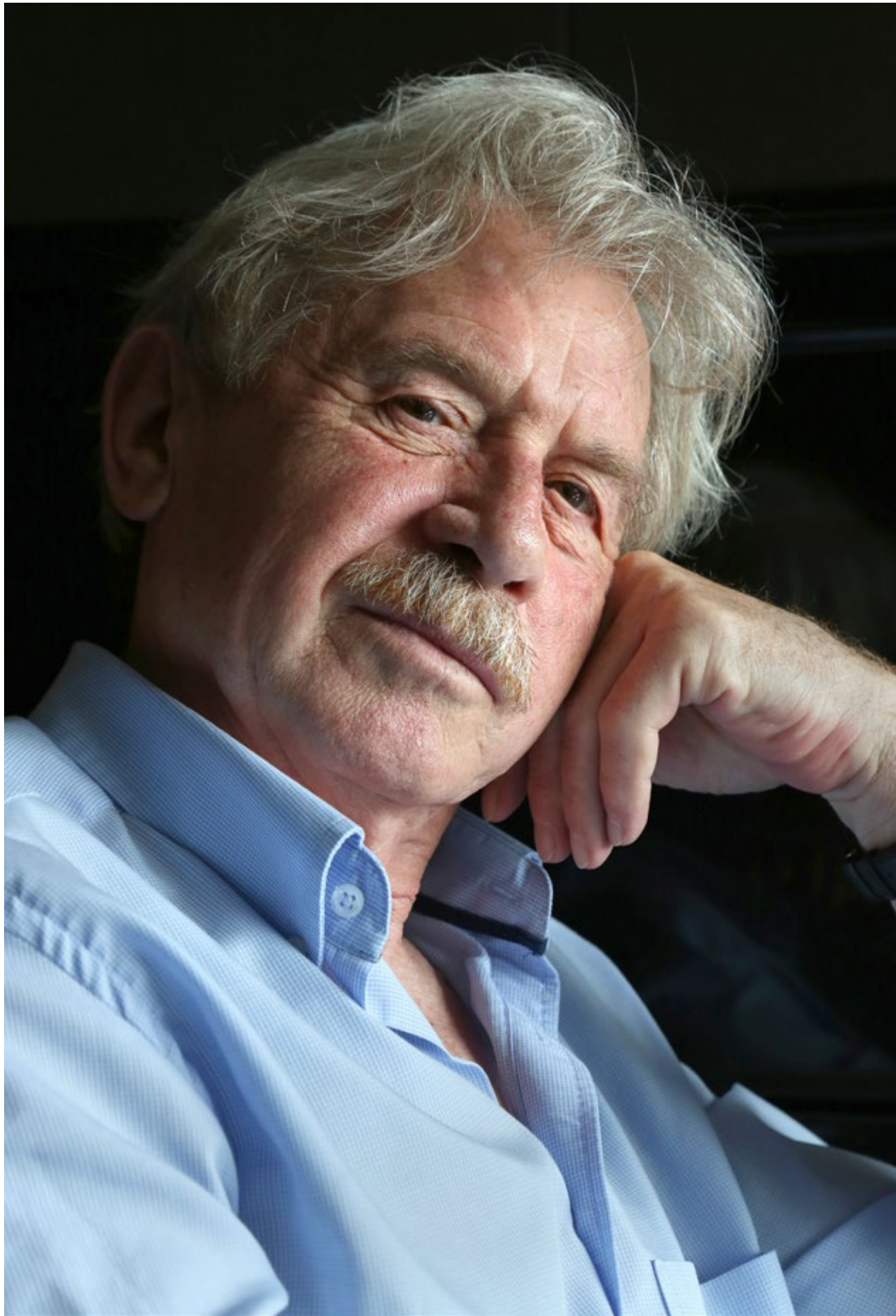
Na początku nie było nic. Nawet chaosu. Ale wkrótce otrzymaliśmy własne lokum. Rektor Akademii Ekonomicznej przydzielił nam pokój wraz z używalnością faksu i telefonu oraz umywalką na ostatnim (bardzo wysokim) piętrze historycznego gmachu Towaroznawstwa przy **ul. Sienkiewicza 4**. A mini-

ster kultury Waldemar Dąbrowski przyznał pieniądze na komputery. W listopadzie 2004 roku ukazał się z pewnym poślizgiem pierwszy, długo oczekiwany numer miesięcznika „Kraków”. Chwila była na tyle wiekopomna, że redakcję wieczorową porą odwiedził sam ojciec chrzestny prof. Jacek Majchrowski, prezydent miasta. Gdy podjechało pod budynek czarne prezydenckie audi A6, zdezorientowany i zaskoczony portier stanął na baczność i zaczął salutować. Prezydent nie przyjechał z pustymi rekami. Przywiózł dużą butelkę mieszanej whisky Johnnie Walker Black Label i w nagrodę zaproponował zbiorowy bruderschaft. Na Sienkiewicza mieszkaliśmy do lata 2011 roku. Nikt nas stamtąd nie wyrzucał, ale piętro szło do remontu i zaproponowano nam pomieszczenie na wyremontowanym poddaszu. Jednak P.T. Koleżeństwo na tyle się ociągało z decyzją, że zgrabny lokal przyjął kto inny, a nam zostało duża (nazbyt duża) sala z filarkami. Wprawdzie wydawca, którym już wtedy było Nowohuckie Centrum Kultury, proponował pokój u siebie (**al. Jana Pawła II 232**), ale dojazdy do Nowej Huty jakoś nie przypadły krakauerom do gustu. Zaczęło się nerwowe poszukiwanie czegoś na mieście. Środek lata nie był sprzyjającą porą. Na oku był Pa-saż Wenecki przy **Długiej 17**, blisko Wydawnictwa Literackiego, w przedwojennej fabryczce kart do gry Piatnika. Zupełnie niespodziewanie okazało się, że jest pokój do wynajęcia w siedzibie Radia Kraków (**al. Słowackiego 22**). Wprawdzie nie był zbyt duży i nie za tani, ale adres był prestiżowy. Z recepcją i całodobową ochroną. Miesięcznik „Kraków” w radiu „Kraków” – to brzmiało intrygująco. Były też nadzieje na obustronną współpracę. Ale jak to w radiu zwykle bywa: na gadaniu się skończyło... Z początkiem 2012 roku wydawcą został Śródmiejski Ośrodek Kultury. Dyrektor Janusz Paluch od razu wybawił nas z objęć radia, proponując lokum u siebie, czyli przy **Mikołajskiej 2**. Bardzo gustowny lokal na I piętrze, funkcjonalnie podzielony na trzy strefy: lokum naczelnego, królestwo sekretarza i szeroko rozumiany sekretariat ze stołem, przy którym Kolegium wzorem Goethego pijało podczas posiedzeń wino (ja w towarzystwie Marii Malatyńskiej i Anny Stafiej – białe, reszta raczej czerwone). W czerwcu 2017 roku rolę wydawcy przejęła nowo utworzona instytucja: BIBLIOTEKA KRAKÓW. I tak wyładowaliśmy na... dworcu. Ścisłej w historycznym budynku dawnego dworca głównego (**plac Jana Nowaka Jeziorańskiego 3**). Z tej okazji pojawił się nawet pomysł, aby zmienić tytuł miesięcznika na: „Kraków Główny” lub „Kraków Główny Osobowy”. Choćby dla odróżnienia od dwutygodnika krakow.pl, z którym jesteśmy nieustannie myleni.

PS Jako jedyny z tego grona miałem okazję publikować swoje teksty we wszystkich trzech odsłonach „Krakowa”.



Jacek Balcewicz – najmłodszy z grona „ojców założycieli” miesięcznika „Kraków”. Z wykształcenia inżynier górnik po AGH, z temperamentu i profesji dziennikarz, publicysta i fotografik. Radny Dzielnicy I Kraków Stare Miasto już czwartą kadencję. Mieszka na Kazimierzu.



Kilka szkiców do portretu miłośnika harmonii

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Kiedy patrzy na siebie w lusterku, widzi mężczyznę w sile wieku, który uśmiecha się do siebie. Mężczyznę, który na pytanie Hamleta „być albo nie być?” zawsze odpowiada „być”. Mężczyznę, któremu czarownica przepowiedziała przyszłość. Oto Bogdan Tosza, dyrektor Filharmonii Krakowskiej.

To jest prawdziwa czarownica. Ona nigdy się nie myli – powiedział Kazimierz Kutza, przedstawiając pracującą z nim na planie charakteryzatorkę. Kobieta spojrzała na Bogdana Toszę i bez słowa sięgnęła po jego rękę. Przypatrywała się przecinającym ją liniom, by po chwili z przekonaniem oświadczyć, iż widzi na niej nagłą zmianę. – Nie rozumiałem tej wróżby. Wprawdzie zostałem w tym czasie dyrektorem Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach, ale od wielu lat tam reżyserowałem, byłem zastępcą dyrektora do spraw artystycznych, więc o gwałtownej zmianie nie było raczej mowy. Dopiero po wielu latach wiem, o co jej chodziło. Wiem także, że to była dobra wróżba – mówi obecny dyrektor Filharmonii Krakowskiej. Dlaczego dobra? Zrozumiem, gdy wspólnie skończymy malować jego portret.

Choć rozmawiamy w Filharmonii, nie towarzyszą nam dźwięki ukochanego Mahlera Bogdana Toszy, ale zdecydowanie mniej subtelne, industrialne odgłosy – uderzenia młotków, huk wiertarki i spadającego gruzu. W budynku, który zwykle jest świadkiem pięknych koncertów, trwa remont. Nie przeszkadza on nam jednak, gdy skupiamy się na lusterku, które podsuwam dyrektorowi przed oczy, prosząc, by się w nim przejrzał. – Kogo widzę? Mężczyznę w sile wieku, który uśmiecha się do siebie. Mężczyznę, który na pytanie Hamleta „być albo nie być?” zawsze odpowiada „być”. Mężczyznę, który nie lubi pracować na kontrze, w sporze, ponieważ woli rozmawiać – mówi, a to dla mnie sygnał, że portret ten będziemy malowali w pogodnych barwach.

Szkic 1: marchewkowy odcień

Niedziela 10 sierpnia 1952 roku, Jaworzno. Janina Toszowa jest zapracowaną kobietą, więc synów rodzi jedynie w dni świąteczne. – Urodziłem się o 7 rano. Tego samego dnia, tyle że o godzinie 6, przyszedł na świat mój kolega ze studiów Jerzy Pilch. Zawsze ze mnie żartował, że jestem dowodem na to, iż protestanci wstają wcześniej od katolików – śmieje się Bogdan Tosza, który w dzieciństwie zo-

stał obdarzony marchewkoworudą fryzurą. To nie są czasy, kiedy piano by z zachwytem nad oryginalnością takiej urody. Wręcz przeciwnie, chłopak słyszy jedynie złośliwe powiedzonka typu „rudy do budy”. Ale nie daje sobie w kaszę dmuchać. Raz po raz toczy zacięte walki na pięści, które – jak dziś nie bez dumy wspomina – kończyły się przeważnie jego zwycięstwem. – Już będąc na studiach, pojechałem z kolegami do Kalwarii Zebrzydowskiej, by zobaczyć Misterium Męki Pańskiej. Jakaś „Szalona Greta” wskazała na mnie palcem i krzyknęła „Judasza”. Cała procesja skierowała wzrok w moją stronę. Nie wiem, czym by się to skończyło, gdybym się nie wycofał – wspomina.

Ale to nie przez kolor włosów zapamiętano go w bibliotece w Jaworznie, tylko przez liczbę wypożyczanych książek, które pochłaniał w błyskawicznym tempie. Mimo to ojciec, z zawodu budowlaniec, widział go w technikum, a w najlepszym przypadku w szkole ekonomicznej. Trzeba było interwencji dyrektora podstawówki, by mógł pójść do liceum. – Tato oglądał później moje spektakle i był ze mnie dumny – wtrąca Bogdan Tosza, który właśnie wtedy zaczynał pisać bakały teatru. A to za sprawą polonistki, która od początku nie miała wątpliwości, że trafiła na nieprzeciętnego ucznia. To ona wysłała go na olimpiadę polonistyczną, a także na zajęcia prowadzone w domu kultury przez historyka sztuki z Krakowa Włodzimierza Hodysa. – Był jedną z najważniejszych osobowości, jakie spotkałem. Odkrył przede mną nowe przestrzenie literatury i sztuk plastycznych. Kiedy później odwiedziłem go w jego mieszkaniu przy ul. Kołetek, nie mogłem oderwać się od jego biblioteki, liczącej tysiące tomów. Wśród nich zobaczyłem po raz pierwszy wydawnictwa paryskiej Kultury.

Szkic 2: wśród „okularników”

To było już w czasach, kiedy Bogdan Tosza przyjechał do Krakowa, by rozpocząć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miał szczęście, że trafił na Wydział Polonistyki w mo-

mencie, kiedy wykładali tu wybitni profesowie. Znalazł się wśród ostatniego rocznika, który słuchał głębokich analiz prof. Kazimierza Wyki. Prof. Jan Błoński na wykładach z literatury współczesnej przybliżył mu nieznane dotąd utwory Paula Celana. Prof. Ewa Miodońska-Brookes zarażała go nieuleczalną chorobą, która nazywa się Stanisław Wyspiański, a prof. Władysław Stróżewski sprawił, że zainteresował się tekstem Freuda o Leonardzie da Vincim.

Prof. Jan Błoński na wykładach z literatury współczesnej przybliżył mu nieznane dotąd utwory Paula Celana. Prof. Ewa Miodońska-Brookes zarażała go nieuleczalną chorobą, która nazywa się Stanisław Wyspiański, a prof. Władysław Stróżewski sprawił, że zainteresował się tekstem Freuda o Leonardzie da Vincim.

No i były przeciągające się długo w noc spotkania z nietuzinkowymi kolegami z roku: Marianem Stalą, Adamem Szostkiewiczem, Jackiem Filkiem, Jerzym Pilchem... – Z Pilchem zbliżyliśmy się najbardziej na boisku. Wszyscy ci „okularnicy” byli ze sportem na bakier, a ja przez lata uprawiałem lekkoatletykę, więc mogliśmy razem grać w piłkę. Problem leżał w tym, że naszym bramkarzem był Marian Stala. Należał on do tego typu wyjątkowych bramkarzy, którzy najczęściej stoją odwróceniem tyłem do boiska – śmieje się Bogdan Tosza i dodaje, że ich męskie przyjaźnie szybko zostały nadwątlone, gdyż w życiu każdego zaczęły pojawiać się kobiety. – Pilch zakochał się po uszy w swojej przyszłej żonie Ance, a ja w Elżuni, mojej – nie boję się tego powiedzieć – pierwszej miłości z liceum, która także była z nami na roku. Parę lat później wzięliśmy ślub i jesteśmy razem do dzisiaj.

Czas studiów to okres absolutnego teatralnego szaleństwa. Teatr młodych polonistów nie miał nazwy, bo przecież byłby to dyshonor dla awangardowej sceny. Za to miał grupę entuzjastów, którzy co rusz zbierali się, by pracować nad kolejnymi etudami albo wyjeżdżali na warsztaty prowadzone przez Jerzego Grotowskiego i jego dwóch aktorów. Mnóstwo czasu spędzali też w Starym Teatrze, gdzie Konrad Swinarski przygotowywał właśnie *Dziady*, a później *Wyzwolenie* i *Hamleta*. – Próby do tych spektakli umocniły mnie w przekonaniu, że chcę studiować reżyserię. Ale nie miały wpływ mieli też na tę decyzję Wajda, Jarocki, Kantor oraz spektakle w Teatrze STU od *Spadania* po *Pacjentów*.

Szkic 3: kurtyna na pierwszym planie

W szkole teatralnej Bogdan Tosza nie czuł się komfortowo. Po śmierci Konrada Swinarskiego krakowska PWST popadła w marazm. Promyk nadziei w mury uczelni wносиła jego koleżanka z roku Anna Polony, która, choć sama już uczyła w szkole, to równocześnie zaczęła studiować reżyserię. – Bez Anki byłoby jeszcze ciężiej. To ona zdecydowała, że zostanę starostą roku. Gdy ktoś zadał pytanie „dlaczego Tosza?”, odpowiedziała: „Bo on będzie dyrektorem teatru”. Później, gdy prowadziłem Teatr Wyspiańskiego w Katowicach, wyreżyserowała u mnie *Śluby panieńskie* i *Wesele*.

Na razie Bogdan Tosza jako młody reżyser musi zapłacić frycowe na prowincji. Debiutuje więc w Częstochowie *Domem Bernardy Alba*, by za chwilę pojechać do Tarnowa i zrobić tam prapremierowy tekst Ireneusza Iredyńskiego *Strach i zachwyt*. A potem przyszedł czas na Kalisz. Romana Próchnicka zaprosiła tam młodych artystów, wśród nich Tadeusza Słobodzianka, Janusza Stokłosę, Dorotę Kolak. Bogdan Tosza razem z Rudolfem Ziolo dostaje etat reżysera i przeżywa karnawał „Solidarności”, przygotowując między innymi *Mizantropa*. Po 13 grudnia nie godzi się na przeniesienie tego spektaklu do Teatru Telewizji. Bierze udział w bojkocie.

Niebawem wiąże się też z Teatrem im. Wyspiańskiego w Katowicach, gdzie dyrektorem jest znany mu z PWST prof. Jerzy Zegalski. – To za jego dyrekcji wyreżyserowałem tam prapremierę *Marmuru*, jednej z dwóch sztuk Josifa Brodskiego. Byłem na stypendium w Hamburgu, gdy Brodski dostał Nagrodę Nobla. W Bibliotece Polskiej Emigracji rzuciłem się na jego teksty i zatonałem w nich po uszy. Kiedy *Marmur* miał mieć premierę, dowiedziałem się, że pisarz przyjeżdża do Krakowa na zaproszenie Czesława Miłosza. Nie mogłem zmarnować okazji spotkania z nim. Gdzieś na korytarzu uniwersytetu zostałem mu przedstawiony. Powiedział, że strasznie chce mu się kawy. Zaproponowałem, żeby poszedł do Krzysztoforów. Nie przypuszczałem, że będzie chciał pójść tam ze mną. Spędziliśmy trzy fantastyczne godziny. Kiedy zostałem już dyrektorem w Katowicach, postarałem się, by Uniwersytet Śląski przyznał mu doktorat *honoris causa*. Mogłem go znowu gościć.

Szkic 4: nieco minorowy

To moment, kiedy do portretu wkradają się nieco ciemniejsze barwy. Bogdan Tosza bardzo boleśnie przeżywa rozłąkę z teatrem. W 2009 roku reżyseruje najważniejszy dla niego spektakl, oparty na *Widnokręgu* Wiesława Myślińskiego. – Był on dla mnie niezwykle istotny. Ale w Polsce przedstawienie to miało słaby rezonans, mimo że w Lublinie uznano je za historyczne wydarzenie. Ale to był moment, kiedy teatr zmieniał się,



Bogdan Tosza (ur. 10 sierpnia 1952 w Jaworznie) – reżyser teatralny, publicysta, eseista. Dyrektor Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. Poza reżyserowaniem mnóstwa sztuk był także inicjatorem wielu spotkań literackich (m.in. współorganizator wizyty Josifa Brodskiego w Katowicach czy Miłosza, Barańczaka i Venclovy). Przy okazji niejako wykład-

owcą Wydziału Radia i Telewizji im. K. Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego. A potem pisuje do „Teatru”, „Dialogu”, „Zeszytów Literackich”, „Tygodnika Powszechnego”, kieruje Teatrem Polskim we Wrocławiu, współtworzy Festiwal Czterech Kultur w Łodzi. Od października 2012 roku dyrektor naczelny Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie.

przestała być w nim ważna dramaturgia. Czułem, że nie ma dla mnie już w nim miejsca – mówi z perspektywy czasu.

Jednak po chwili minorowy ton zastępuje pogodna opowieść o Festiwalu Czterech Kultur, który przez kolejnych kilka lat przygotowywał w Łodzi. Sprowadził tam najwybitniejszych artystów, od pisarzy – Edgara Kereta, Wiesława Myślińskiego, Bronisława Maja, Ryszarda Krynickiego, po malarzy – Jacka Sempolińskiego, Jacka Waltosia i muzyków z Kwartetu Śląskiego. Festiwal miał być sposobem na prywatny kryzys, a okazał się niezwykłą, odświeżającą przygodą, która stała się preludium do powrotu do Krakowa i objęcia Filharmonii.

Szkic 5: zdecydowanie muzyczny

– Muzyka zawsze była moją wielką miłością. Może dlatego tak ważne, jeszcze w czasie studiów reżyserskich, stało się dla mnie spotkanie z Józefem Opalskim, przesiadywanie u niego na kanapie i słuchanie utworów z jego olbrzymiej płytytutki. To tam po raz pierwszy usłyszałem symfonie Gustawa Mahlera – mówi dyrektor Filharmonii, którą objął 7 lat temu i którą wprowadził w sezon rocznicowych obchodów 70-lecia.

Ich zwieńczeniem będzie remont budynku, bo dyrektor Tosza, kiedy znowu stawiam

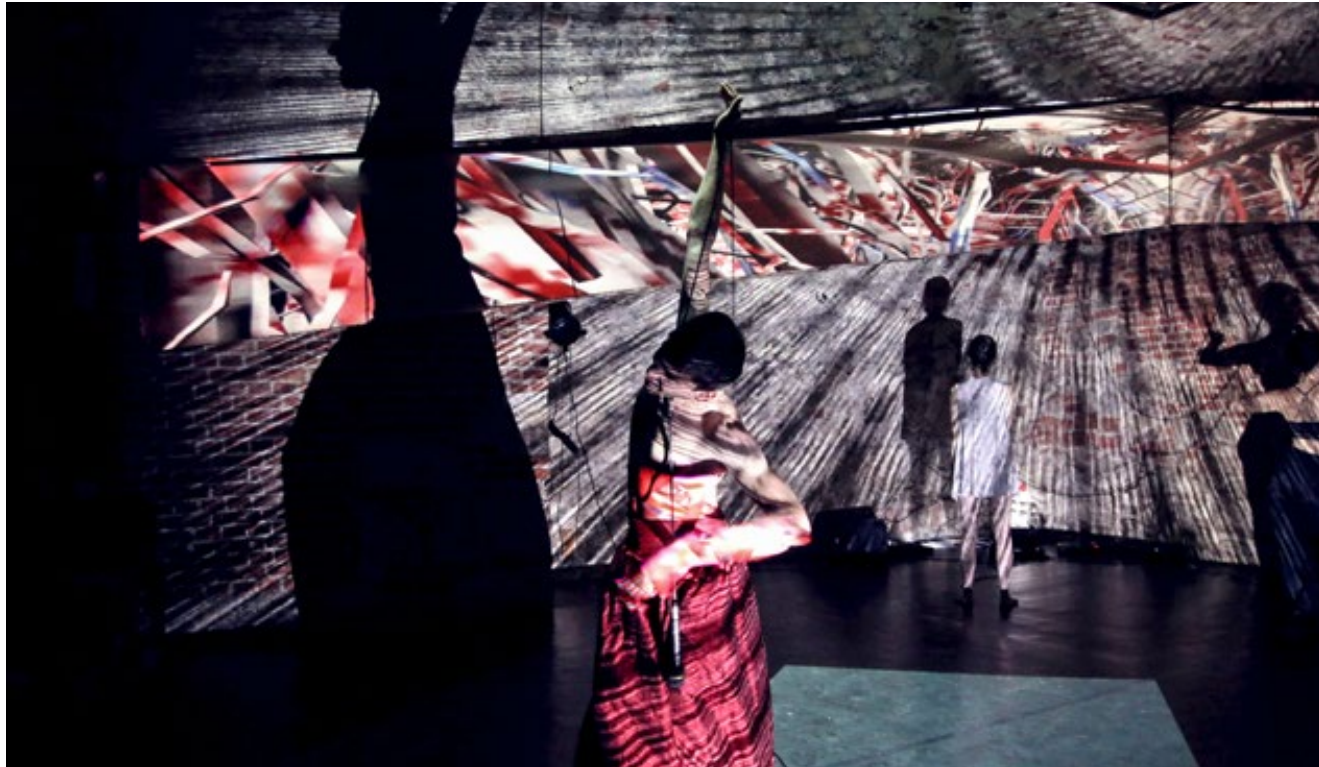
mu przed oczami lusterko, by domalował jeszcze kilka kresek do swojego portretu, odpowiada, że chce zobaczyć na nim człowieka, który coś po sobie zostawił. Chciałby, żeby tym czymś był nie tylko wyremontowany budynek Filharmonii, ale i podjęta wreszcie decyzja o budowie na Grzegórkach Centrum Muzyki, a także pięknie rozwijający się Festiwal Szymanowski/Polska/Świat.

*

Czarownica miała rację, wróżąc gwałtowną zmianę w życiu Bogdana Toszy. Przecież nigdy wcześniej człowiekowi teatru z krwi i kości nawet nie przyśniło się, że stanie na czele instytucji muzycznej. Teraz jest jednak przekonany, że była w tym jakaś logika, być może związana z jego usposobieniem. – Filharmonia to miejsce, które gromadzi miłośników harmonii – mówi pogodnie, stawiając ostatnią kreskę na swoim portrecie.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Świat widziany do góry nogami

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Patrycja Budzyk/archiwum: Teatr Odwrócony

Sezon zaczęli ostro, aż dwoma premierami. I choć ich najnowsze teatralne opowieści stoją na różnych biegunach tematycznych, to jednak spektakle *Zobacz ciało* i *Sowa, córka piekarza* mają ze sobą coś wspólnego. Obydwa dotyczą spraw, którymi żyją twórcy Teatru Odwróconego.

– W pierwszym przedstawieniu podjęliśmy temat niedostrzegania ciała, zepchniętego na bok przez ogrom technologii, która nas otacza. Bez wątpienia wiąże się to zagrożeniami wynikającymi z rozwoju naszej cywilizacji, w tym ze zmianami klimatycznymi, smogiem czy nieprawdopodobnymi ilościami plastiku pływającego w oceanach – mówi Karolina Fortuna, która zajęła się dramaturgią przedstawienia.

Zobacz ciało składa się z dwóch części. W pierwszej aktorzy, sprowokowani działaniami Carla Gustawa Junga, Georgija Gurdżijewa, Józefa Szajny i James’a Joyce’a, generują obrazy nawiązujące do drzemających w nas pierwotnych archetypów; w drugiej przechodzą do konkretnych przykładów zagrożeń. Wszystko to odbywa się w formie eksperymentalnej, łączącej teatr, taniec, multimedia, z elementami tradycyjnych pieśni wykonywanych na żywo. Reżyserem spektaklu jest Szymon Budzyk, a występują w nim Julia Dyga, Natalia Maczyta-Cokan, Maciej Cymorek, Łukasz Gawroński.

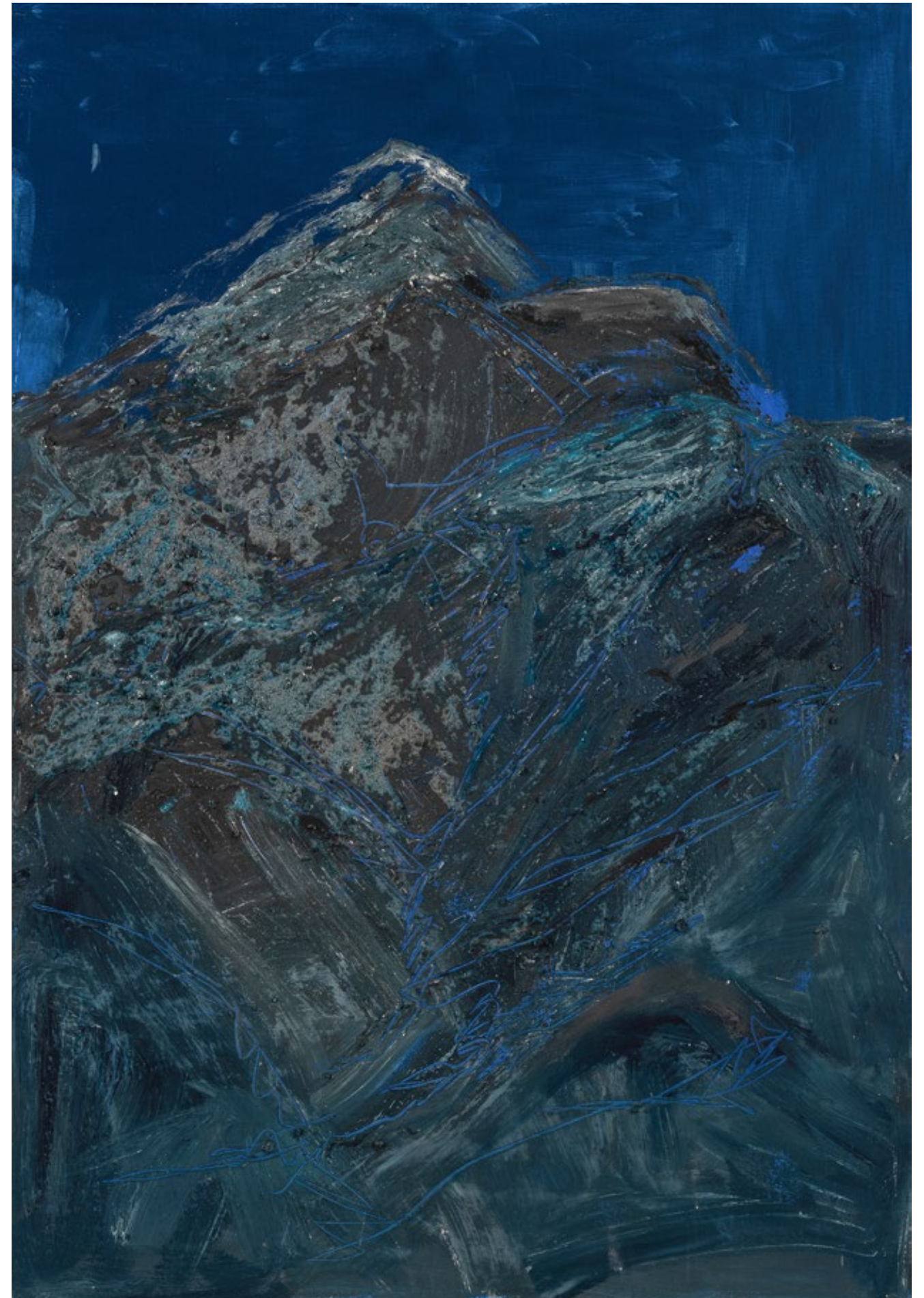
W kolejnym przedstawieniu artyści Teatru Odwróconego powracają do bardziej tradycyjnej inscenizacji, opartej na powieści Marka Hłaski *Sowa, córka piekarza*. – Ten tekst długo chodził nam po głowie, aż w końcu okazało się, że właśnie przypada 50. rocznica śmierci autora. Kiedy więc sięgnąć

po niego, jak nie teraz? Tym bardziej że poruszane w nim problemy zawikłanej relacji między mężczyzną a kobietą, niespełnionych namiętności, gry z pamięcią, jakkolwiek górnolotnie to brzmi, targają także nami – wyznaje Karolina Fortuna.

Dzięki temu możemy wziąć udział w kameralnym przedstawieniu, rozgrywającym się w przestrzeni warsztatu samochodowego, gdzie Weronika (Magdalena Woleńska) zostawia swoje auto. Pracujący w warsztacie Grzegorz (Karol Śmiałek), od zawsze marzący, by zostać aktorem, zaczyna wcielać się w rolę jej zaginionego na wojnie męża. Całość widowiska, podobnie jak w spektaklu *Zobacz ciało*, pozostaje w stu procentach w rękach aktorów, którzy ze sceny sterują światłem, obrazem i dźwiękiem.

A mogą sobie pozwolić na różne rzeczy, ponieważ działająca przy ul. Sławkowskiej 14 scena jest przedsięwzięciem niezależnym, wyrosłym z buntu artystów przeciwko zasadom rządzącym teatrami instytucjonalnymi. – Nazwa Teatr Odwrócony wzięła się stąd, że odwróciliśmy się od utartych schematów, rzuciliśmy się na głęboką wodę głowami w dół, przez co mogliśmy sobie pozwolić na zobaczenie świata do góry nogami – dodaje Karolina Fortuna.

Zobacz ciało, spektakle 8–10, 22–24 listopada i 6–8 grudnia; *Sowa, córka piekarza* 13–15 grudnia.



Beata Zuba, *W granatowych oczach nieba góry odbijają swoje oblicze*, 100 x 70 cm, technika własna, 2018



Kobieta, która rozlicza się z górami

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Andrzej Osuchowski

Beata Zuba stworzyła cykl górskich obrazów będący intymną opowieścią o niej samej i bli- skich jej ludziach.

Górska kolejka pnie się na szczyt. Opuszczający ją narciarze na moment zamierają na widok piękna ośnieżonych grani, błękitu nieba i promieni słońca pa- dających na gładką powierzchnię skrzącego się na nim puchu. Innym razem stają porażeni ponurym widokiem surowych skał i oblodzonych kamieni, pokrytych zwa- łami śniegu, zatopionych w gęstej mgle.

Ale to wszystko dzieje się później, w pracowni. Na razie Beata zapina narty, zza pleców dochodzi do niej dźwięk uderzających o siebie metalowych części wy- ciągu. Ma przed sobą przestrzeń, czuje pęd powietrza, prędkość, która powoduje, że jest tu i teraz. – Góry dają mi wolność. Lecz nigdy nie podejmowałam ich w moim malarstwie. Góry, ich klimat i siła, które są w nich zak- łęte, są trudne do oddania na płótnie, trzeba uważać, aby podejmując ten temat, nie otrzeć się o banał... i nie stworzyć landschaftów. Góry zawsze i wszędzie wyma- gają szacunku, dla mnie są miejscami mocy. Aż przy- szedł taki dzień, który zmienił wszystko. Świat rozpadł się na przed i po – mówi Beata.

Życie potrafi nas postawić przed najtrudniejszą pró- bą w najmniej oczekiwanych momentach. W przypad- ku Beaty stało się to wówczas, kiedy najbliższa jej oso- ba doznała w górach poważnego wypadku. Rokowania były bardzo poważne, a lekarze nie wykluczali najgor- szego. Czas mijał, a życie, wbrew wcześniejszym prze- rażającym diagnozom, powoli wracało do normy. I wła- śnie wtedy Beata została zaproszona przez kuratorkę Joannę Gościej-Lewińską do przygotowania wysta- wy swoich obrazów w Galerii Centrum Nowohuckie- go Centrum Kultury. Jednak z zastrzeżeniem, że ma pokazać całkiem nowe prace. – Nadszedł czas, kiedy postanowiłam rozliczyć się z górami. Byłam na to go- towa. Przez pół roku namalowałam 70 szkiców i obra- zów. Zawarte są w nich wszystkie emocje, które się we mnie skumulowały. Bo moje malarstwo jest bardzo in- tymne, autobiograficzne. Za każdym obrazem kryją się moje przeżycia, ważni dla mnie ludzie – opowiada Beata.

Góry, ich klimat i siła, która jest w nich zakłęta, są trudne do oddania na płótnie, trzeba uważać, aby podejmując ten temat, nie otrzeć się o banał... i nie stworzyć landschaftów.

Twarze przedstawionych na nich postaci w większo- ści ukryte są za narciarskimi goglami. Trzeba wysilić wyobraźnię, by dostrzec to coś, co chowa się głębiej, a czasami odbija tylko w lustrze szkiele.

Skupienia i wrażliwości wymagają także przedsta- wione na obrazach Beaty góry. Szczególnie te nama- lowane na wielkoformatowych płótnach, układające się w tryptyki, dyptyki. Najlepiej oglądać je na żywo, w odpowiednim świetle, które wyciąga z nich głębię, przestrzeń, powodując, że patrzący czuje, jakby wcho- dził do wnętrza dzieła. Jest wtedy bliżej świata artystki, odnosi wrażenie, że ociera się o surową, nieraz chropo- watą jak życie fakturę obrazu, poddając się emocjom ukrytym w świetle i kolorach, od najczarniejszej czerni rozpacz, przez szarości brudnego, wiosennego śniegu, po niebieskość bezchmurnego nieba i światło, które staje się też częścią tej opowieści. – Postrzegam świat poprzez pryzmat światła, światłocienia. Ale światło w moich górskich obrazach jest zupełnie inne niż na płótnach przedstawiających ulice Bolonii czy Lizbony. Tam zamykają je mury miasta, tu ma przestrzeń, która pozwala mu oddychać – mówi.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, te- atrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redak- torka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Beata Zuba – absolwentka Wydziału Malarstwa Aka- demii Sztuk Pięknych w Krakowie. Uzyskała dyplom w pracowni prof. Leszka Misiaka oraz prof. Teresy Kot- kowskiej-Rzepeckiej, a aneks do dyplomu w I Pracowni Interdyscyplinarnej pod kierunkiem prof. Zbigniewa Bajki. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem i fotografią, działa czynnie w Stowarzyszeniu Psychiatria i Sztuka.

Członek Związku Artystów Polskich. Swoje projek- ty prezentuje na konferencjach międzynarodowych w Polsce (m.in. w MOCAK-u) i za granicą (Światowy Zjazd Arteterapii w Tuluzie). Obrazy z cyklu „Szero- ko zamknięte” wystąpiły w filmie dokumentalnym *Bezimienny* Urszuli Sochacki na temat eksterminacji osób chorych psychicznie podczas II wojny światowej.

Kiedyś ponoć odpowiadał na dziwne pytania Marcel Proust. Później był to rodzaj gry towarzyskiej. Dziś z naszą zabawą mierzy się Beata Zuba.

Główna cecha mojego charakteru?

Jestem zodiakalnym Baranem, czyli upartą i konsekwentną osobą... najbardziej w dążeniu do obranego celu.

Rzeczy, których się najbardziej boję?

Że nie zdążę.

Największe marzenie, do którego dążę?

... i do którego zawsze dążyłam, to móc być sobą.

Moja główna wada?

Wbrew pozorom jestem nieśmiała.

Moje ulubione zajęcie?

Uwielbiam malować.

Dzieła sztuki, bez których nie umiem żyć?

Moje własne.

Najciekawsze muzea, które odwiedziłam?

Trudno mi się na któreś zdecydować, bo kocham muzea i uwielbiam oglądać obrazy. Jest to mój dialog z twórcą, jedynie możliwy, gdyż żadna, nawet najlepsza reprodukcja nie oddaje w pełni charakteru dzieła. A dla mnie ważna jest nie tylko faktura i kolor, ale i format. Stojąc przed oglądaną pracą, można się w niej zanurzyć, poczuć ją, stać się jej częścią, próbować zrozumieć. Bezcenne doświadczenie.

Kim lub czym chciałabym być, gdybym nie była tym, kim jestem?

Najtrudniej jest być sobą. Zbyt długo o to walczyłam, dlatego nie chcę być już nikim innym.

Ulubieni bohaterowie literaccy?

Lubię czytać życiorysy twórców, pamiętniki i autobiografie. Lubię wiedzieć, co stoi

za danym dziełem, jakie emocje, nieodkryte historie. To jest pasjonujące. To tak jakby wejść w myśli danej osoby, uchylić rąbka jej tajemnicy.

Ulubieni bohaterowie filmowi?

Maria Altman grana przez Helen Mirren w *Złotej damie*.

Ulubieni bohaterowie życia codziennego?

Moi najbliżsi, to od nich każdego dnia uczę się, jak żyć.

Kogo zabrałabym ze sobą w podróż dookoła świata?

A, to trochę moja tajemnica. Jestem osobą towarzyską, więc pewnie byłoby to kilka osób. No i zwierzaki, bez których nie potrafię żyć. Mój dom jest ich pełen.

Czego nie cierpię ponad wszystko?

Braku tolerancji.

Dar natury, który chciałbym posiadać?

Chciałabym umieć rozdawać uśmiech i szczęście. Wiem, że to może naiwne, ale jeżeli możemy pomarzyć, to dlaczego nie?

Błędy, które najczęściej wybaczam?

Staram się zrozumieć intencje i rozmawiać. Uważam, że w rozmowie można sobie wiele wyjaśnić. Ale przede wszystkim trzeba być otwartym i słuchać. Nie zawsze jest to łatwe, ale warto próbować.

Obecny stan mojego umysłu?

Życie bywa nieprzewidywalne, czego nie raz doświadczyłam. Żyję tu i teraz – jestem szczęśliwa.

Z „Krakowem” po krakowsku

Tekst: Katarzyna Siwiec Zdjęcia: Jan Zych

„O, bo Kraków, to nie płoche / Dziewczę, skore do swawoli

Kraków, by go poznać trochę / Trzeba w nim zjeść beczkę soli”.

(Tadeusz Boy-Żeleński)

Kończymy 15 lat! To niewiele, żałośnie mało, by poczuć się wielkim, spełnionym i poważnym na miarę tych kilku stuleci, które stuknęły miastu. Tadeusz Boy-Żeleński (*nota bene* urodzony w dużo młodszej Warszawie) z pewnością uśmiełby się z tak skromnego wiekiem jubilata. Cóż, do całej beczki soli, o której mówi, jeszcze bardzo, bardzo daleko. Od 15 lat próbujemy jednak przybliżyć Wam, drodzy Czytelnicy, smak naszego miasta, smak niepowtarzalny, wyjątkowy. Trochę beczelnie – z uwagi na młody wiek – pragniemy stać się jego wizytówką. Rozpiera nas przy tym rodzaj dumy, bo przyznacie, że nasze miasto (z otwartą bramą w herbie) osobowość ma barwną i przebogatą. Cieszy nas, że dzisiaj do grona Czytelników dołączają ci, którzy z chwilą pojawienia się naszego pisma (listopad, 2004 r.) pozna-

wali dopiero litery albo nawet nie było ich jeszcze na świecie.

Redakcja

A oto, co na nasz temat sądzą znani krakowianie:

Krystyna Zachwatowicz-Wajda, scenografka, aktorka, prof. krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych

Oczywiście, że czytam „Kraków”. Jestem krakowianką, można powiedzieć, z przekonania. Warszawa jest moim miastem z urodzenia, a Kraków z wyboru. Warszawa to całe moje dzieciństwo, tam przeżyłam wojnę, brałam udział w powstaniu, tam są pochowani moi rodzice. Zatem dla mnie Warszawa to sprawa przede wszystkim sentymalna. Ale Kraków to jedno z tych miast, które mają swoje wyraźne centrum,



Spotkanie z udziałem współpracowników (Janina Paradowska, Jan Widacki – drugi od prawej) i przyjaciół (m.in. Krzysztof Kozłowski – w środku) pisma. Pierwszy od prawej – redaktor naczelny Jan Pieszcachowicz, pierwszy od lewej Edward Chudziński, październik 2005 roku, fot. Jan Zych



Kolejna dyskusja współpracowników (Andrzej Romanowski – trzeci od lewej, Jan Widacki) i przyjaciół (Jan Woleński – pierwszy od lewej, ks. Grzegorz Ryś – drugi od lewej i Krzysztof Kozłowski) „Krakowa”, rok 2007, fot. Jan Zych

a tego, niestety, pozbawiona jest stolica. Rynek Główny w Krakowie to najukochańsze z moich miejsc. Wszystko to, co daje mi jakiegokolwiek informacje o Krakowie, mam na myśli zwłaszcza wydarzenia z dziedziny kultury, zawsze jest dla mnie niezmiernie inspirujące i ciekawe. Ale istotne są też kwestie społeczne, od których redakcja miesięcznika nie stroni. To w końcu pismo społeczno-kulturalne, a te dwie sfery wiążą się przecież ze sobą dosyć mocno. Wydaje mi się też, że macie dość szeroki przekrój odbiorców, a wasi czytelnicy mają prawo do różnych gustów. Ja również nie do końca się zgadzam ze wszystkim, co prezentujecie, ale cieszy mnie, że proponujecie jakąś dyskusję. Co bym zarzuciła pismu? Może to, że jest mało widoczne, że jest trochę „spod lady” jak ostatnio „Gazeta Wyborcza” (macie dobre towarzystwo). Miesięcznik „Kraków” to dla mnie pismo niezwykle ważne.

Jerzy Stuhr, aktor i reżyser
Czytam, czytam! Regularnie dostarcza mi pismo Marysia Malatyńska, z którą co miesiąc spotykam się w sprawie moich felietonów dla „Gazety Krakowskiej”. Nowy numer „Krakowa” zawsze u mnie jest. To jedno z niewielu już pism, które nie zajmują się polityką. U was liczy się życie towarzyskie i kulturalne. W Krakowie bywam ostatnio trochę rzadziej, dzielę swój czas między Kraków, Warszawę i jeszcze... Rabę Wyżną, gdzie odpoczywam. Dzięki miesięcznikowi dowiaduję się o nowych wystawach, nowych spektaklach; tego

wszystkiego zawsze jestem ciekaw. Kiedyś dużo pracowałem za granicą. W chwilach zwątpienia, zastanawiania się nad rozwiązaniem jakiegoś problemu (czy idę dobrą drogą w pracy z aktorem w teatrze albo w filmie) pojawiał się we mnie pytanie, jakby w Krakowie to ocenili. Zawsze przyjmowałem miarę kryteriów krakowskich. A nie były one płażliwe! To były surowe kryteria krakowskich elit, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (jeszcze z czasów prof. Kazimierza Wyki), ze szkoły teatralnej, kryteria kolegów aktorów. To była moja miara, choć fizycznie znajdowałem się w Buenos Aires, we Florencji czy w Palermo. Z tematów, które widziałbym na Waszych łamach, wskazałbym temat nawału turystów w mieście. Napiszcie coś o tym, jak Kraków radzi sobie z coraz większą ich liczbą.

Jerzy Sułowski, redaktor naczelny „Dziennika Polskiego” i „Gazety Krakowskiej”
15 lat „Krakowa” to akurat w Krakowie wiek dziecięcy. Ale mam wrażenie, że „Kraków” – historia jak w *Ciekawym przypadku Benjamina Buttona* – urodził się stateczny, by nie powiedzieć stary. Widać było jak z szacunkiem, ale i pewnym mozołem poruszał się po stołeczno-królewskim trotuarze, starając się pokazywać znanych ludzi, historię miasta i jego przebogatą kulturę. „Kraków” robił to piórem znakomitych i zasłużonych pod Wawellem dziennikarzy. I chwała mu za to.

Od jakiegoś czasu nabrał jednak wigoru, zrzucił niepotrzebny patos, wpuścił na łamy



Wręczenie medalu „Za mądrość obywatelską” prof. Ewie Łętowskiej, maj 2015 roku, fot. Jan Zych

także młodsze pokolenie dziennikarzy (wraz z nowymi tematami) i stworzył miks tematyczny, bliższy moim zdaniem temu czym żyje miasto.

Życzę zespołowi „Krakowa” i jego naczelnemu, żeby stając się coraz młodszy duchem, opowiadał zajmujące historie o ludziach i o miejscach, o radości życia i smutku śmierci, o nadziei i zagrożeniu, o *genius loci* Krakowa. A przy tym, żeby oparł się zdziennieniu, jakie dotyka – niestety – dziennikarstwo naszych czasów.

Andrzej Kozioł, dziennikarz, pisarz, autor książek o dawnym Krakowie
Kraków – to temat nie do wyczerpania, nie tylko z powodu historii. Owszem – przez nieomal tysiąc lat mnóstwo się tu działo, ale jeszcze coś decyduje o wyjątkowości tego miasta. Wprawdzie chętnie na nie narzekamy, ale jednocześnie jesteśmy dumni z krakowskiej mentalnej formacji, odrębnej od tego, co charakteryzuje Warszawę, co typowe jest dla Poznania. Profesor Kazimierz Wyka nazywał Kraków suką, która rodzi dobre szczenięta. I miał rację, bo przecież Kraków co rusz czymś zadziwia. A do krakowskich szczeniąt należy też miesięcznik „Kraków”, któremu oby ciągle dopisywał apetyt na dobre tematy, bystry wąż do ich wyszukiwania i ostre zęby, które...

Zbigniew Regucki, twórca i redaktor naczelny kwartalnika „Kraków” (1984–1991), były naczelny „Gazety Krakowskiej” i „Zdania”

Kierowałem pismem o tym samym tytule, ale w czasach określanych przez niektórych jako szarobure. Tworzyłem go za to z grotem osób, które miasto, jego historię znali najlepiej. Byli to między innymi Teresa Stanisławska, Krystyna Zbijewska, Jan Adamczewski, Michał Rożek, Tadeusz Kwiatkowski, Tadeusz Śliwiak, Mściwój Olewicz. Na łamach pojawiali się też Piotr Skrzynecki i Andrzej Mleczko. W ciągu 8 lat wydaliśmy 31 numerów kwartalnika. 15 lat temu z radością powitałem nowy „Kraków”, którego redaktor naczelny Jan Pieszczachowicz odniósł się do „mojego” Krakowa we wstępie do pierwszego numeru pisma. 15-letniemu „Krakowowi” gratuluję wytwornej szaty graficznej i różnorodności tematyki. Moje uznanie dla coraz większego grona młodych i kompetentnych autorów. W warstwie prezentującej kulturę „Kraków” jest pismem znakomitym. Ale czy tylko tym żyje miasto? Życzyłbym redakcji (i sobie jako wiernemu czytelnikowi pisma), aby nie unikała również tematów, które wywołują wśród mieszkańców spore kontrowersje. Zastanówcie się też, czy to właściwa droga, by zupełnie eliminować tematykę polityczną.



Katarzyna Siwiec – autorka i współautorka książek o Krakowie (m.in. *Idzie, idzie, bajoku... rzecz o krakowskim Zwierzyńcu*). Na zdjęciu z asystentem.

Bliscy, którzy odeszli (2018-2019)

Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz



LISTOPAD

Jerzy Wyrozumski (1930)

W Zaduszkach 2018, w piątkowy wieczór zmarł profesor Jerzy Wyrozumski. Wspomina się go jako znakomitego uczonego, wraz z którym odeszła pewna epoka w polskiej mediewistyce, poza tym osobą niezwykle skromną, krystalicznie uczciwą i delikatną. Dla życia naukowego i kulturalnego Krakowa był człowiekiem instytucją.

Urodził się w dalekiej Trembowli, a powojenne losy rzuciły go wraz z rodziną do Koźla. Tam ukończył liceum ogólnokształcące, a do Krakowa przeniósł się w 1950 roku, by studiować historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od tej pory związał się z tym miastem.

Specjalizował się w dziejach polskiego średniowiecza, zwłaszcza bliska mu była problematyka gospodarczo-społeczna i ustrojowa, był też znawcą średniowiecznego Krakowa. W latach 80. XX wieku pełnił funkcję dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego i prorektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, stając niejednokrotnie w obronie pracowników i studentów prześladowanych za działalność opozycyjną. Wybrany w 1994 roku sekretarzem generalnym Polskiej Akademii Umiejętności pozostał na tym stanowisku do 2015 roku, a przez 35 lat był prezesem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

Poza licznymi nagrodami, medalami i doktoratami *honoris causa* jakie otrzymał, był także laureatem Nagrody Miasta Krakowa w 2010 roku za szczególne osiągnięcia w zakresie badań mediewistycznych, zwłaszcza nad dziejami miasta, które pokochał.

Minął już rok, jak w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności już nigdy nie pojawi się elegancka, niewysoka postać Profesora – zawsze uprzejmego, życzliwego, otoczonego zasłużonym szacunkiem.

(Ewa Danowska)

STYCZEŃ

Paweł Adamowicz (1965)

„Będąc samorządowcem czy politykiem, warto i trzeba mieć marzenia”, napisał w swej książce *Gdańsk jako wyzwanie*. Właśnie z marzeniami najbardziej Paweł mi się kojarzy. Bo był marzycielem, był wizjonerem. Ale miał też to rzadkie szczęście, że udawało mu się te marzenia wcielać w życie. A więc o marzeniach będzie. A właściwie o jednym.

W roku 1997 nie był jeszcze prezydentem. Był przewodniczącym rady miasta. Młodym przewodniczącym, miał bowiem zaledwie 32 lata. I właśnie wtedy zaświtał mu pomysł utworzenia Europejskiego Centrum Solidarności.

Odwiedzał moźnych tego kraju i próbował zrobić z nich sojuszników projektu. Średnio to wyszło, bo większość z nich twierdziła, że pomysł świetny, ale nierealny.

Ale Adamowicz był uparty. Nie zrażał się niepowodzeniami. I dzięki temu w sierpniu 2014 roku okazały budynek Europejskiego Centrum Solidarności został uroczystie otwarty.

Krążyłem wśród tłumu zwiedzających. Nagle zauważyłem prezydenta. Stał samotnie na skraju ogrodu zimowego. Miał trochę nieobecny wzrok. Podszedłem do niego. „Pawle, to najszczęśliwszy dzień twojego życia...”. Spojrzał pytająco. „Lata temu wymarzyłeś sobie ECS. I jest. Zarówno instytucja, jak i budynek”. „A wiesz, masz rację. Warto mieć marzenia” – powiedział i zanurzył się w tłumie.

(Antoni Pawlak)

Maria Małgorzata Szulada (1948)

25 stycznia 2019 roku, tuż przed godziną 20, na OIOM-ie Szpitala Wojskowego przy Wrocławskiej zmarła Maria Małgorzata Szulada z d. Szperlik, rodowita poznanianka, wieloletnia, wierna i uważna czytelniczka „Krakowa”, pensjonariuszka Domu Pomocy Społecznej im. Helclów. Żona, matka, babcia – zwykła i niezwykła kobieta, która przez 20 lat walczyła z rakiem. Można powiedzieć, że go pokonała, bo to nie on był bezpośrednią przyczyną jej zgonu. Nie zdołał odebrać intelektu. Zapisywała każdy swój dzień – o której wstawiała, jaki lek i o której brała, jak się czuła. Pisała także rzeczy z pozoru banalne, które pokazują, że umiała cieszyć się z drobiazgów: „po kąpeli nowe poduszki b. duże, b. puchate”, „pomalowałam paznokcie różowym lakierem, niektóre dwa razy”, „kawa i ciasto makowiec, bardzo smaczne”... A gdy starszy syn kupił jej tablet, zawzięcie grała w „kulki”. Krakowianką z meldunku stała się dokładnie w Święto Niepodległości 11 listopada 2017 roku, co dla osoby wywodzącej się z rodziny powstańców wielkopolskich miało znaczenie symboliczne. Przez całe lata opiekował się nią mąż Andrzej, germanista na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, wraz z dwoma synami. Gdy on zaniemógł, a Małgosia – bo tak mówili do niej najbliżsi – nieszczęśliwie złamała nogę, trafiła do Hospicjum Palium na os. Rusa. Ale pobyt w hospicjum nie może być bezterminowy. Gdy skończył się, trzeba było szukać ośrodka pomocy innej kategorii. Poznań nie był w stanie zaoferować miejsca w obrębie granic administracyjnych miasta. Do akcji wkroczył młodszy syn Krzysztof, ożeniony z krakowianką i tu mieszkający, który sobie tylko wiadomym sposobem uruchomił gorącą linię na trasie Poznań-Kraków. Do akcji wkroczyły instytucje oraz odrobina ludzkiej życzliwości i współczucia, co zaowocowało miejscem „U Helclów”. Takim sposobem Kraków przygarnął Małgosię na ostatnie miesiące życia. Ostatnie Boże Narodzenie spędziła z wnukami w starej czynszowej kamienicy w Podgórzu. Opowiadała im różne historie, robiła piekło-niebo... Gdy przyszła wiadomość, że nie żyje, 5-letni Maciek zapytał retorycznie swojej 2-letniej siostry Janki: – I kto nam teraz będzie robił czapki i szaliki...

(Jacek Balcewicz)

MARZEC

Piotr Nycz (1967)

Wybitny lekarz. Menedżer kultury. Wizjoner służby zdrowia. Nasz przyjaciel. Doktor Nycz to opowieść



warta samej siebie. Do Poznania trafił jako przyjezdny z legendarnych Wilamowic, leżących niby na Śląsku, ale jednak kompletnie innych od Śląska, z własnym językiem i ciekawą kulturą. Piotr był dumny z własnych korzeni. Ale choć podkpiwał zawsze z bambrów poznańskich („Tu do spowiedzi idzie się z grzechami spisany na kartce, bo musi być porządnie” – żartował), to jednak z Poznaniem związał się na dobre i złe.

Pod koniec komuny jako student Akademii Medycznej działał w opozycyjnym Niezależnym Zrzeszeniu Studenckim. Potem, w wolnej Polsce prowadził kultowy klub kultury studenckiej Eskulap i bardzo szybko stał się jednym z głównych animatorów jazzu. To jego dziełem jest festiwal Poznań Jazz Fair, podówczas największy w Polsce po Jazz Jamboree.

Kochał Wilamowice, Poznań i Kraków, gdzie bywał, kiedy tylko mógł.

(Witold Bereś, Krzysztof Burnetko)

Stanisław Dąbrowa-Kostka (1924)

Porucznik Armii Krajowej, podpułkownik Wojska Polskiego. Jego życiorys starczyłby – jak to się zwykle mawia – na kilka filmów. Już w 1941 roku zostaje żołnierzem Związku Walki Zbrojnej w Przemyślu, a potem jest oficerem propagandy AK i żołnierzem Kedywu (Kierownictwa Dywersji). To w tej funkcji dowodzi tylną strażą w brawurowej akcji rozbicia więzienia w Jaśle w nocy z 5 na 6 sierpnia 1943 roku. Po zajęciu Rzeszowa przez Sowietów w sierpniu 1944 jest aresztowany przez NKWD – ale ucieka. Organizuje komórkę tworzącą fałszywe dokumenty. Od grudnia 1944 do sierpnia 1945 odtwarza struktury rozbite przez aresztowania. Potem trafia do Krakowa na stanowisko szefa zespołów ochrony WiN, Zrzeszenia „Wolność i Niepodległość”, który obejmował całe województwo krakowskie. 5 marca 1946 roku wpada w ubowską zasadzkę... Wyszedł, cudem, po amnestii i kilku latach spędzonych w Rawiczu i Wronkach.

Ale wcześniej zdążył być dowódcą mojego Taty w AK na Rzeszowszczyźnie, a jego przyjaciel – a mój Dziadek – kolportując jego ulotki, trafił do łagru pod Archangielskiem na ładnych parę lat.

(Witold Bereś)

MAJ

Witold Jan Kajstura (1942)

Witek zmarł 12 maja w sytuacji, kiedy wydawało się, że wszystko co najgorsze ma już za sobą. Na przełomie roku przeszedł skomplikowaną operację neurologiczno-ortopedyczną kręgosłupa. Na nowo musiał nauczyć się chodzić. I zrobił to z taką skutecznością, że gdy rozkopano Krakowską, a żadna taksówka nie chciała podjechać pod jego dom, na posiedzenie Komisji Rewizyjnej, której przewodził, do Rady Dzielnicy I przyszedł z Kazimierza na Rynek Kleparski... piechotą. Nie miał łatwego życia, nie dlatego że był wojennym rocznikiem. Los sprawił, że musiał samotnie wychowywać synów. I to w warunkach, gdy jeden był kibicem Cracovii, drugi Wisły, a on sam Ruchu Chorzów. W nowej Polsce policjant potrafił go samochodem na przejściu dla pieszych z takim skutkiem, że został inwalidą I grupy. A nabyte wtedy kontuzje odnawiały mu się co jakiś czas do końca życia. Nigdy jednak na nic nie narzekał. Paradoksalnie kalectwo, z którym nigdy się nie obnosił, sprawiło, że rzucił się

w wir pracy odrodzonego samorządu lokalnego najniższego szczebla. Był radnym wielu kadencji Rady Dzielnicy I Stare Miasto. Ostatnie wybory wygrał, leżąc na szpitalnym łóżku. Nie lepił plakatów, nie rozdawał ulotek, nie wieszał na słupach dykt ze swoją podobizną, a jednak mieszkańcy tak zwanego chrześcijańskiego Kazimierza głosowali właśnie na niego – czego nie mogli mu darować działacze grupy „Nic o nas bez nas”. Choć był z wykształcenia inżynierem hydrogeologiem – na Kazimierzu znał każdy kamień i jego historię. A także umiał o tym przepięknie pisać. Działał w parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej, gdzie był lektorem. Przez wiele lat współorganizował Święto Ulicy Skątecznej wraz z mszą św. odprawianą wprost na trotuarze, bo wierzył szczególnie w słowa z Ewangelii wg św. Mateusza, że „Gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w Moje imię, tam jestem pośród nich”.

(Jacek Balcewicz)

CZERWIEC

Maciej Parowski (1946)

O śmierci Maćka dowiedziałem się ze sporym opóźnieniem i przypadkowo, gdy dostałem zaproszenie na obchody urodzin Stanisława Lema do kina Kijów. Tknęło mnie złe przeczucie, gdy przeczytałem tam o nim w czasie przeszłym. Dla pewności wpisałem imię i nazwisko w wyszukiwarkę i... od tej wiadomości nie było już odwrotu. W wieku 72 lat po ciężkiej chorobie zmarł ten pisarz, krytyk i wieloletni redaktor naczelny „Nowej Fantastyki”. Był autorem powieści takich jak *Twarzą ku ziemi* i *Burza. Ucieczka z Warszawy '40* oraz scenariuszy komiksowych między innymi *Funky Koval* i *Wiedźmin*. „Funky Koval” i Geralt w żałobie. Zmarł Maciej Parowski, ojciec polskiej fantastyki” – grzmiał tytuł z „Wyborczej”. „Zmarł Maciej Parowski – serce polskiej fantastyki”, potwierdzała „Polityka”.

Maćka poznałem w „Tygodniku Studenckim Politechnik”. „Politechnika” wydawał rektor Politechniki Warszawskiej, ale miał on swoje oddziały we wszystkich ośrodkach akademickich, więc pod tym względem był czasopismem ogólnopolskim, potężniejszym od Polskiej Agencji Prasowej. Maciek był tam kierownikiem działu kulturalnego, a mnie w zastępstwie wysłano z Krakowa na comiesięczną odprawę. Ponieważ wszyscy początkujący dziennikarze chcieli pisać o kulturze, więc kolejka do Maćka była najdłuższa. Ale też trzeba przypomnieć, że wtedy kultura studencka była awangardą kultury polskiej, więc było o czym pisać. Później Maciek był sekretarzem redakcji i chyba ostatnim przed stanem wojennym jego naczelnym. Mimo że sam był płodnym autorem, to kochał redagować i umiał to robić. Jeśli skracał teksty to z wdziękiem i w taki sposób, że sens stawał się widoczny od razu, gołym okiem. Później zajął się tym, co najbardziej lubił, czyli fantastyką. „O Boże, jak to się ładnie zaczynał”, miał wykrzyknąć, czytając młodzieżcze opowiadanie Sapkowskiego. Bagińskiemu dał ponoć numer telefonu do Dukaja i tym sposobem powstała nominowana do Oskara *Katedra*. Spod jego ręki wyszło wielu znakomitych autorów uprawiających fantastykę. Pracował nad leksykonem swoich autorów. To było jego ostatnie dzieło.

(Jacek Balcewicz)

LIPIEC

Jacek Baluch (1940).

To w Krakowie (i w Pradze) uczył się ukochanego czeskiego, a potem w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim, przez lata wykładał czeski i czeską kulturę, zaś na praskim Uniwersytecie Karola – polską. W Krakowie też tłumaczył z czeskiego na polski i z polskiego na czeski. Był zresztą specem także od historycznych polsko-czeskich relacji oraz, szerzej, fenomenowi Europy Środkowej. W bloku wschodnim ludzie takiej natury i takich zdolności często kończyli w opozycji – z więzieniem łącznie. I on trafił w grudniu 1981 roku do obozu internowania (skądinąd pod całą wymyślił wiele fraz jednej z popularniejszych piosek więziennych stanu wojennego, *Zielonej WRON-y*). Po wyjściu działał w solidarnościowym podziemiu, a polską wiosną 1989 roku koordynował kampanię wyborczą Komitetu Obywatelskiego w Śródmieściu Krakowa.

W wolnej Polsce dopadła go wielka polityka: został ambasadorem RP – oczywiście w Pradze. Wszak wtedy Polskę reprezentowali w świecie ludzie z klasą: zarówno intelektualną, jak etyczną i towarzyską. Kiedy skończył przygodę z dyplomacją, wrócił do Krakowa, by nadal zajmować się Czechami – ale i Krakowem właśnie. I miał multum pomysłów. Kiedyś kreślił mi choćby wizję, jak to pięknie by było, gdyby betonowy parking przed byłym Pewexem przy ul. 18 stycznia (dziś Królewska) zastąpić deptakiem czy też może dzielnicowym rynkiem – z zielenią, kawiarniami, dyskusjami. Dlaczegoż każda dzielnica Krakowa nie mogłaby mieć swojego rynku? – przekonywał jak zawsze z zaangażowaniem i wielkim przejęciem.

(Krzysztof Burnetko)

Barbara Czuma (1936)

Kiedy z początkiem lipca miałam zaszczyt poznać panią Barbarę na szpitalnym korytarzu, gdzie siedziała w towarzystwie męża i córki Kasi, pomyślałam, jaka to miła, życzliwa i pełna życia kobieta. Nie przypuszczałam, że ta znajomość będzie taka krótka... Już 16 lipca ogromne grono przyjaciół i znajomych żegnało Ją na cmentarzu Salwatorskim.

Pogodna, przedsiębiorcza, otwarta, tolerancyjna – tak scharakteryzował swoją Żonę Mieczysław Czuma w wywiadzie dla naszego pisma. I jeszcze dodał, że świetnie gotuje!, a poza tym okrasila jego nazwisko tytułem inżyniera. Tu trzeba dodać, że dość niezwyklej specjalności, bo studiowała na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym AGH, a wybrała specjalność sejsmika.

Po studiach z charakterystyczną dla siebie pasją kierowała grupą sejsmiczną w krakowskim Przedsiębiorstwie Geofizyki Przemysłu Naftowego, co było wówczas dla kobiety wyzwaniem prawie nieosiągalnym. I znakomicie sobie radziła na kierowniczym stanowisku dzięki talentowi, świetnej organizacji, ale także dzięki temu, że potrafiła wytworzyć wokół siebie atmosferę życzliwości i serdeczności. Umiejętnie łączyła pracę zawodową z obowiązkami rodzinnymi, bo rodzina zawsze była najważniejsza. Miała też swoje pasje, takie jak brydż, zimowe wypadu w góry na narty czy turystyka górska. Namiętnie oglądała też mecze siatkówki i kibicowała naszym skoczkom narciarskim.

Anna Stafiej

SIERPIEŃ

Małgorzata Ignaszak (1979)

Piękna, młoda, przedsiębiorcza, zakochana. I wakacje na jednej wysp greckich. Uwielbiała życie z wzajemnością. Na dzień przed śmiercią mówi do swojej miłości: jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa. A potem kąpiel w morzu... Zostawia swoją Kasię, Grzegorza i nas, wielu jej serdecznych przyjaciół.

(Witold Bereś)

Marek Kaczor (1953)

Piękne, słoneczne, sierpniowe popołudnie, pełnia lata, jezioro Pluszne na Warmii, chyba najpiękniejsze miejsce na Ziemi... I ten błękit nieba, to niebo zazdrosne o odcień błękitu Twoich oczu. Na zawsze. Razem z Twoim uśmiechem, który wtedy zgasł. W jednej chwili. Na zawsze. I to miejsce na cmentarzu Salwatorskim, z widokiem na błękit nieba, od teraz nareszcie z niepodrabialną barwą Twoich oczu. To wszystko zostanie na zawsze w naszej pamięci. Twój zawadiacki śmiech, gdy z Pawłem wymykaliście się z Nowodworku na wagary, wasze wygłupy, chmurne i durne, Twoja muzyka, która od tej pory stale gra, wszędzie ją słysząc, dźwięki Twojej gitary... Palce na strunach wciąż się poruszają wśród gałęzi drzew rozchwianych na wietrze... Architekt, projektant wspaniale rysujący, z niezwykłą wyobraźnią, pozostawiłeś w Krakowie tyle miejsc, które wraz z zespołem architektonicznym stworzyłeś, gdziekolwiek się przejść... Jedno z ostatnich Twoich (waszych) wielkich przedsięwzięć w Krakowie – Galeria Bronowice, której budowę nadzorowałeś. I tyle innych, można wymienić przez cały dzień... A Kuwejt, gdzie spędziłeś wiele lat, projektując, nadzorując i tworząc wspaniałe budowle? Ale stworzyłeś coś jeszcze, coś znacznie bardziej wartościowego i trwałego niż najpiękniejsze i najtrwalsze budowle: naszą przyjaźń, z Wojtkiem, Pawłem, Piotrkim, Zosią, Anią... I tyle wspólnych koncertów, jak chociażby ten niezapomniany w Alchemii... Byłeś moim pierwszym akompaniatorem (w Studiu Piosenki „Przedsiomek” Andrzeja Jakóbca z Old Metropolitan Band przy Jaszczurach), zanim zastąpił Cię potem Wojtek, mój późniejszy mąż. I akompaniatorem ostatnim, na koncertach w Klubie pod Gruszką, w SPP na Kanoniczej, w Rynku Podgórskim, też można wyliczać bez końca... Poliglota, faktyczny, bo nawiązywałeś błyskawicznie kontakt z każdym, ale przede wszystkim poliglota serc, do których docierałeś przez swój niezaprzeczalny urok, zjednywałeś sobie natychmiast każdego, nikt nie mógł się oprzeć Twojej subtelnej, ciepłej ironii, która bawiła, nigdy raniła. A Twój śpiew, cały ten jazz, bebop, swing, istny majstersztyk, nie do uwierzenia, że byłeś muzycznym samoukiem...

Kraków czeka na Twoje projekty, a my na Twoje dowcipy, na Twoją muzykę... którą zabrała nam Wieczność, czymkolwiek jest...

Paweł pożegnał Cię słowami Jonasza Kofty: „Śmierć się ludziom przytrafia potocznie, umiemy uśmiechem ją zbyć. Teraz po prostu odpoczniesz, tylko nam będzie trudniej żyć...”.

(Elżbieta Wojnarowska)

Listopad 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 listopada.** Anons zamieszczony w „Czasie”: „Administracja poleca miłosierdziu zubożałą szlachciankę, która haftowała kościelne roboty, ale obecnie skutek złego wzroku nie może zarobić na utrzymanie. Jest w wielkim niedostatku. Datki przyjmuje Administracja »Czasu«”.

✂ **2 listopada.** „Zarząd schroniska ubogich przy ul. Warszawskiej 1, przy zbliżającym się Dniu Zadusznym, poleca dobroczynności publicznej ten Zakład, w którym wobec braku funduszów staruszki i dzieci są wprost zagrożone głodem” – alarmował „IKC”. *Schronisko dla ubogich i bezdomnych powstało z końcem wojny w domu probostwa św. Floriana przeniesionego do sąsiedniej wikarówki. Przetrwało do chwili, kiedy probostwo podjęło decyzję o budowie dużej dochodowej kamienicy (ul. Warszawska 1), wzniesionej w 1929 roku według projektu Józefa Gałęzowskiego.*

✂ **3 listopada.** W prasie ukazały się liczne relacje z celebrowanych dzień wcześniej obchodów rocznicy wyzwolenia Krakowa. Po mszy w kościele Mariackim pod odwach przeszedł pochód z udziałem wojska, weteranów z 1863 roku oraz uczestników tamtych wydarzeń. Przed odwachem odbyła się deflada i symboliczna zmiana warty.

✂ **4 listopada.** Anons z „Głosu Narodu”: „Panna biurowa z praktyką, władająca językiem niemieckim lub francuskim, pisząca na maszynie, znajdzie zaraz całodzienne zajęcie”.

✂ **4-5 listopada.** Dzienniki obszernie relacjonowały pożegnanie gen. Józefa Hallera i jego wojsk, skierowanych na Pomorze. Odbyło się uroczyste posiedzenie rady miasta z udziałem między innymi biskupów Adama Sapiehy i Anatola Nowaka. Uroczystości kontynuowano w gmachu „Sokoła”, następnie tłum z pochodniami odprowadził generała na dworzec. ✂ **4 listopada.** W kilku kolejnych numerach „Czasu” ukazało się wezwanie: „Pana Józefa Heydę, zam. Floriańska 32 III p., wzywam do zapłacenia dłużnej mi kwoty. I.K.”.

✂ **5 listopada.** „Czas” zamieścił oświadczenie: „Osobnikowi I.K. oświadczam, że na anonimowe wezwania w dziennikach, identyczne z wymuszeniem, nie reaguję. Natomiast od-

Takie to czasy, że zmiany atmosferyczne odbijają się niekorzystnie na ludności.

Jest mróz źle, bo nie ma węgla, jest odwilż źle, bo toniemy w oceanach błota, a wojenne buciki chętnie i skwapliwie przepuszczają wodę.

powiadam za moje zobowiązania na drodze prawnocywilnej. Józef Heyda”.

✂ **7 listopada.** Prasa – nie tylko krakowska – rozpisywała się o samobójczej śmierci (otrąła się gazem) Róży Łuszczkiewicz, cenionej artystki Teatru im. J. Słowackiego, od niedawna żony reżysera i scenografa Iwo Galla. Zaskoczenie było tym większe, że jeszcze w dniu śmierci artystka grała Marylę w przedstawieniu *Dziadów*.

✂ **7-10 listopada.** Na skutek dotkliwego braku węgla elektrownia miejska ograniczyła przesył energii. Stały tramwaje, zamknięto większość szkół, skrócono do godz. 18 działalność sklepów, a do godz. 20 zakładów gastronomicznych. Sytuację relacjonowały w krytycznym tonie wszystkie dzienniki.

✂ **7 listopada.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „W środę przewieziono na stację ratunkową 17-letniego Józefa Tarnowskiego z Balic, który bawiąc się szrapnelem, przez nieostrożność spowodował eksplozję. Szrapnel pękając, urwał mu lewą dłoń oraz poranił ciężko twarz. Po zaopatrzeniu pogotowie odwiozło Tarnowskiego do Szpitala św. Łazarza”.

✂ **8 listopada.** Prasa relacjonowała demonstracje głodowe urzędników sądowych. Dzień wcześniej przerwano prace we wszystkich sądach krakowskich, zawieszono rozprawy i zorganizowano wiec, po którym delegaci protestujących udali się do magistratu na rozmowy z władzami miasta.

✂ **10 listopada.** „Czas” zamieścił komunikat: „Magistrat krakowski wezwał właścicieli nieruchomości, aby w sieniach swych domów umieścili, względnie uporządkowali tablice z dokładnym spisem lokatorów”.



Architekt Jan Zawiejski, fot. ok. 1890, archiwum autora



Właściciel kawiarni Esplanada Karol Wołkowski, fot. ok. 1910, archiwum rodzinne Ewy Ławrusiewicz



Jasny Dom Jana Zawiejskiego przy ul. Biskupiej 2, fot. ok. 1912, archiwum autora



Kawiarnia Esplanada u zbiegu ulic Podwale i Krupniczej, widokówka 1913, archiwum autora

✂ **11 listopada.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Onegdaj około godz. 11 w nocy niejaka Zofia Gołęberska, przechodząc ul. Kurniki, poślizgnęła się i upadła na bruk, wskutek czego nastąpił u niej krwotok. Po chwili Gołęberska zmarła. Podobny wypadek zaszedł wczoraj przy ul. św. Jakuba, gdzie 60-letnia staruszka Wiktoria Nałek wywróciła się i wskutek wybuchu krwi nastąpił nagły zgon”.

✂ **12 listopada.** „Donoszą nam, że w niedzielę o godz. 4 po południu automobil osobowy najechał na wóz tramwajowy nr 4, na skrzyżowaniu ulic św. Anny i Podwale. Zderzenie było tak silne, że w wozie wszystkie szyby wyleciały, a odłamki szkła zraniły kilka osób. Samochód jechał z szybkością, jaką widzieć można tylko... w kinematografach” – relacjonował malowniczo reporter „Głosu Narodu”.

✂ **18 listopada.** Redakcja „IKC” rozpoczęła akcję zbierania 10 tys. paczek z ciepłą odzieżą, bielizną, papierosami i słodyczami dla żołnierzy walczących na froncie wschodnim.

✂ **19 listopada.** Anons z „Głosu Narodu”: „W centrum miasta Krakowa, na najruchliwszej ulicy mamy do sprzedania dom z oficyną. Dochód brutto 17 tys. koron, cena 470 tys. koron. Nabyć może tylko Polak chrześcijanin”.

✂ **19 listopada.** Wiadomość z tego samego numeru „Głosu Narodu”: „W poniedziałek o godz. 7 wieczorem wezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Krakowską, gdzie w bramie jednej z kamienic leżał do nieprzytomności pijany człowiek, lat około 40. Jak opowiadali świadkowie, wioził on do Krakowa spirytus, którego większą ilość wypił w drodze. Wnieiony do karetki zmarł tamże po upływie kilku minut. Zwłoki odstawiono do Zakładu Medycyny Sądowej”.

✂ **22 listopada.** „Po dłuższych mrozach przyszła naprawdę niepożądana, zwłaszcza w Krakowie, odwilż. Termometr wskazywał wczoraj w południe +20 w cieniu. Takie to czasy, że zmiany atmosferyczne odbijają się niekorzystnie na ludności. Jest mróz źle, bo nie ma węgla, jest odwilż źle, bo toniemy w oceanach błota, a wojenne buciki chętnie i skwapliwie przepuszczają wodę. Z dwojga złego lepszy już katar od zapalenia płuc czy odmrożenia” – utyskiwał „IKC”.

✂ **22 listopada.** Z kroniki „Czasu”: „Przy czyszczeniu kanału w obozie jeńców w Dąbiu znaleziono zwłoki noworodka, które, jak orzekł lekarz, leżały około 6 miesięcy w kanale. Zwłoki odwieziono do Zakładu Medycyny Sądowej, a za matką wszczęto dochodzenie”.

✂ **23 listopada.** Jak donosił „Czas”: „Wczoraj o godz. 7 wieczorem wszyscy restauratorzy i kawiarze zamknęli demonstracyjnie swe lokale z powodu braku opału”.

✂ **24 listopada.** „IKC” zamieścił takie oto oświadczenie: „Skradziono mi tego roku, z mego mieszkania ul. Biskupia 2, z pokoju mej nieobecnej córki następujące przedmioty: 1 poduszkę czarną owalną z kanapy, jedwabiem czarnym obszytą, ozdobioną ręcz-

nie włóczką czarną w czerwone róże, cztery kryształowe puszki z toalety, okrągłe i owalne, rżnięte i szlifowane, jeden mały zegarek pulpituowy z biurka, w brązie złożonym. Jeżeli ktoś te przedmioty nabył lub otrzymał je w podarunku, niech je sobie zatrzyma. Chodzi mi tylko o wykrycie osoby nie szanującej cudzej własności. Architekt Jan Zawiejski, ul. Biskupia 2”.

✂ **29 listopada.** „W »Sokole« pojawi się 5 grudnia o godz. 5 po południu św. Mikołaj z podarkami dla dzieci. Muzyka wojskowa, zabawy, niespodzianki. Czysty dochód na Dom Rodzinny im. Kościuszki dla sierot po legio-

Wczoraj o godz. 7 wieczorem wszyscy restauratorzy i kawiarze zamknęli demonstracyjnie swe lokale z powodu braku opału.

nistach” – anonsował „Czas”.

✂ **30 listopada.** Dzienniki donosiły o aresztowaniu Karola Wołkowskiego, właściciela kawiarni Esplanada, i Bernarda Vorzimerę, dzierżawcy kawiarni hotelu Royal. Zarzucano im uprawianie lichwy żywnościowej.

W tym przypadku „lichwa” była tylko pretekstem, a sprawa aresztowania miała niejako drugie dno, bowiem obaj przedsiębiorcy byli przywódcami zbiorowego wystąpienia gastronomików celem wywarcia nacisku na magistrat, by odwołano ustalone ceny maksymalne. Służyło temu między innymi czasowe zamykanie lokali.

✂ **30 listopada.** Wczoraj odbyło się pod kierownictwem wiceprezydenta Sarego posiedzenie miejskiej komisji gruntowej. Uchwalono w interesie uruchomienia przemysłu budowlanego w mieście sprzedaż oferentom prywatnym, którzy zgłosili się do licytacji ogłoszonej w czerwcu br., resztę parcel z gruntów pofortecznych między przedłużoną ul. Długą i Krowoderską oraz między ul. Zwierzyniecką i Smoleńsk. Wielu z oferentów wykazało gotowość przystąpienia do budowy domów na wiosnę 1920 roku” – relacjonowała „Nowa Reforma”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Jesienny spacer po Krupówkach

Tekst: Paweł Kopeć **Zdjęcia:** Zakopiańskie Centrum Kultury

Zakopane to – jak pierwszy powiedział Rafał Malczewski, syn słynnego malarza – Peppek Świata. To Polacy wiedzieli już na początku ubiegłego stulecia. Kurort z ulubionego miejsca artystów zmienił się w najpopularniejszy wakacyjny kierunek rodaków – zarówno w lecie, jak i zimie. A miasto ma sporo do zaoferowania także po sezonie – zwłaszcza dla tych, którzy nie są zainteresowani szlifowaniem Krupówek razem z tłumem turystów.

W Zakopanem sezon trwa cały rok. Czasy, kiedy halny hulał po pustych Krupówkach od początku września do końca listopada, dawno się skończyły! – słyszę w Zakopiańskim Centrum Kultury. Próbuję wytłumaczyć się z mojego założenia: Zakopane, służące w pierwszej kolejności jako baza noclegowa do wypadów w Tatry, po sezonie traci na atrakcyjności, kiedy zmiana aury może pokrzyżować plany związane z wyjściem w góry; trudniej o piękny widok ze szczytu, a ulewne deszcze mogą uniemożliwić wędrówkę. A śniegu wciąż za mało, aby móc wybrać się na narty. W ubiegłym roku, w wakacje (lipiec – sierpień) bilety wstępu do Tatrzańskiego Parku Narodowego wykupiło prawie 1,5 mln osób. Natomiast w październiku i listopadzie odwiedzających park było około 300

Jak wygląda Zakopane wtedy, gdy sezon – nazwijmy to – nie jest w pełni? Można tu poczuć klimat legendarnego kurortu w bardziej komfortowych warunkach!

tysięcy. To, co z pewnością boli zakopiańskich hotelarzy, może być atutem dla tych, którzy piękno tatrzańskiej przyrody wolą kontemlować samotnie.

Spacerując po górach...

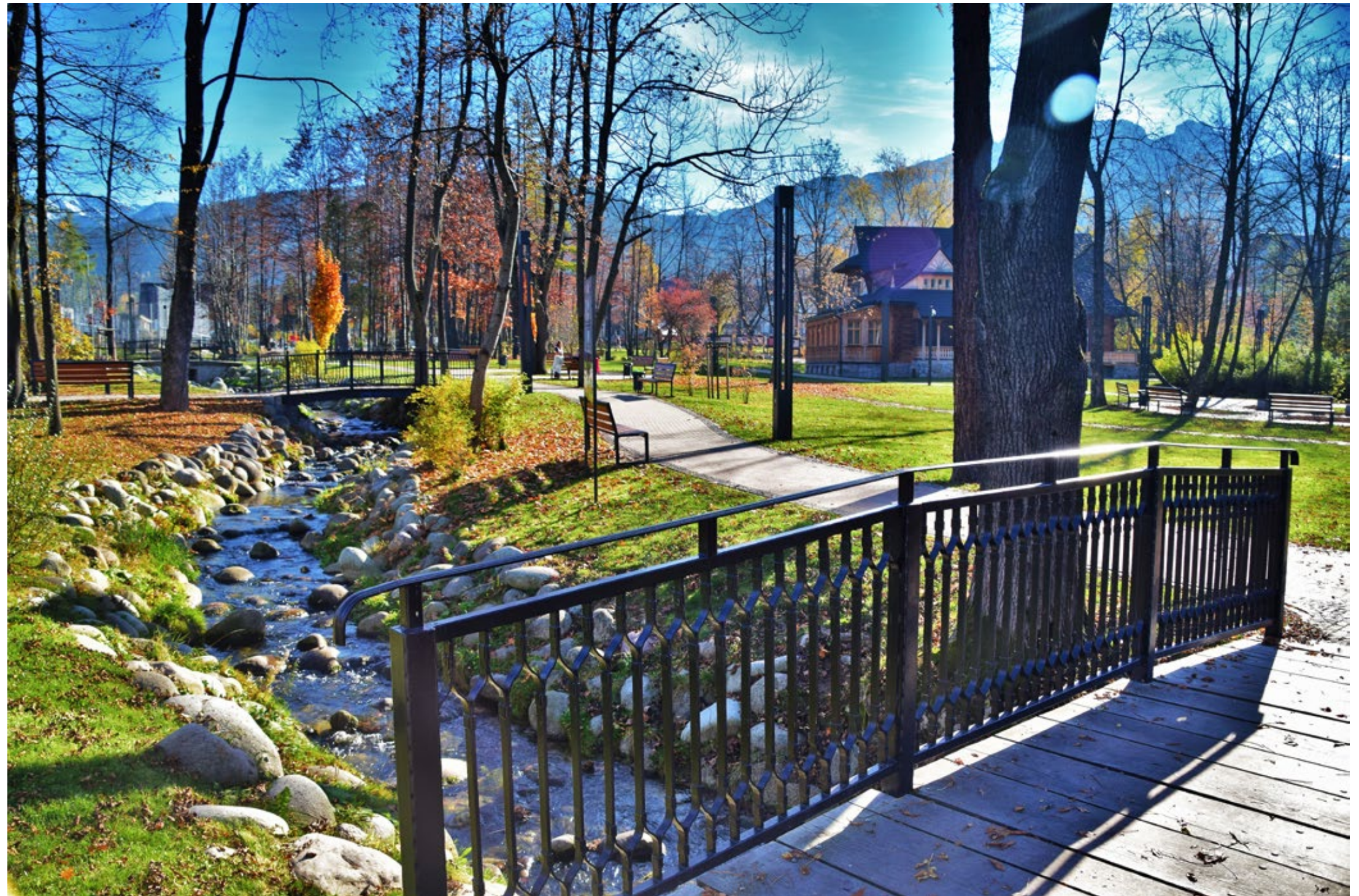
Harpaganów, których ulubionym sposobem na wypoczynek jest wyprawa na Czerwone Wierchy i zmaganie się z wiatrem przekraczającym prędkość 100 km/h, do jesiennych wypraw nie trzeba zachęcać. Jednak także ci, którzy nie poszukują tak ekstremalnych wrażeń, znajdą trasy odpowiednie dla swoich możliwości i potrzeb. W tym roku, ze względu na remont kolejki na Kasprowy Wierch, a także naprawę trasy prowadzącej na Halę Gąsienicową, nie uda się skorzystać z jednej z najpopularniejszych tras u podnóża Tatr Wysokich. Zakopiańskie Centrum Kultury w swoim spacerowniku proponuje jako alternatywę doliny reglowe. Trasy prowadzą

nas od podnóża Wielkiej Krokwi aż pod grań Giewontu. Do wyboru mamy trzy sąsiadujące ze sobą doliny. Trasa w Dolinie Białej prowadzi wzdłuż Białego Potoku i obok sztolni, w której w latach 50. radzieccy naukowcy próbowali znaleźć uran – aż na Kalatówki. Dolina Strążyńska oferuje nam doskonałe widoki na wapienno-dolomitowe skałki z Trzema Kominami ma czele, a trasa prowadzi dalej na Polanę Strążyńską, skąd możemy iść aż do wodospadu Siklawca. Trzecia w kolejności jest Dolina za Bramką. Najkrótsza i najbardziej kameralna z tras, prowadzi nas wąską drogą wcinającą się w masyw Łysanek,

wzdłuż potoku Zza Bramki, z pięknym widokiem na Jasiołkę Turnie. Wycieczkę można skończyć na ulicy Stare Krzeptówki, zwiedzając Chałupę Sabały – pierwszego przewodnika tatrzańskiego.

po mieście...

Od czerwca tego roku miasto wzbogaciło się o jeszcze jedną atrakcję: multimedialne ławeczki, opowiadające o najsłynniejszych osobistościach związanych z Zakopanem. To jeszcze jedna okazja na spacer, a jednocześnie szansa, aby dowiedzieć się czegoś nowego o osobistościach życia kulturalnego okresu



Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego. Mamy więc ławeczkę poety Jana Kasprowicza, kompozytora Mieczysława Karłowicza, ławkę Kornela Makuszyńskiego, Karola Szymanowskiego, no i oczywiście Stanisława Ignacego Witkiewicza. Trasy wzdłuż ławeczek zaplanowane są tak, aby przy okazji znaleźć się przy budynkach związanych z danymi osobistościami – a więc ławkę Szymanowskiego znajdziemy nieopodal Willi Atma – miejsca, gdzie sławny kompozytor mieszkał pod koniec swojego życia, i gdzie od ponad 40 lat działa poświęcone mu muzeum. Podobnie: ławeczkę Jana Kasprowicza znajdziemy obok Muzeum Jana Kasprowicza, a Makuszyńskiego – obok muzeum Makuszyńskiego (filie Muzeum Tatrzańskiego). Ze wzoru tradycyjnie wyłamywać się musi oczywiście Witkacy – jego ławeczki próżno szukać obok teatru jego imienia – znajdziemy ją w parku miejskim. Podobnie jak

w przypadku dolin reglowych – i tutaj specjalny spacerownik przygotowało ZCK.

Kontemplując historię...

Te muzea to doskonała alternatywa dla spacerów – zwłaszcza jeżeli zakopiańska aura postanowi wpisać się w najkrótszą charakterystykę miasta autorstwa Kornela Makuszyńskiego: „Z lewej Giewont, z prawej Gubałówka, a w środku leje”. W pierwszej kolejności należy wymienić Muzeum Tatrzańskie i jego filie. Muzeum, początki swojego istnienia datujące na rok 1889, próbuje udokumentować pełne spektrum charakterystycznych dla regionu zagadnień, znajdziemy więc tu działy przyrodniczy, etnograficzny oraz sztuki. W listopadzie nastąpi ponowne otwarcie filii muzeum w Wilii Koliba poświęconego stylowi zakopiańskiemu w architekturze: pierwszemu rodzimemu stylowi wiejskiemu, jaki powstał na ziemiach

polskich, a którego autorstwo przypisuje się Stanisławowi Witkiewiczowi.

Warto zajrzeć także do oddziałów ZCK: Willi Czerwony Dwór oraz Miejskiej Galerii Sztuki. Czerwony Dwór, a właściwie Centrum Sztuki Rodzimej, u swego zarania było popularną willą wypoczynkową: tutaj przemieszkiwał Artur Rubinstein, tu zatrzymywała się Helena Modrzejewska, tutaj wreszcie Stefan Żeromski proklamował powstanie Rzeczypospolitej Zakopiańskiej. Od 2018 roku miejsce to służy jako forum spotkań oraz przestrzeń ekspozycyjna dla rzemieślników i artystów rodzimych: malunki na szkle, tradycyjny haft podhalański, ludowe instrumenty czy wyroby ludwisarskie. Do końca listopada w Dworze odbywają się warsztaty z cyklu „popularyzacja zakopiańskiego dziedzictwa kulturowego”, na których można nauczyć się któregoś z wymienionych wcześniej rzemiosł.

... i sztukę.

Lidia Rosińska-Podlesny, kierująca Miejską Galerią Sztuki im. Wł. Hr. Zamoyskiego, zwraca uwagę na rolę, jaką Zakopane przez lata pełniło w polskim świecie artystycznym. – Dlatego w naszej galerii pokazujemy miłośnikom sztuki najciekawsze dzieła twórców z całego kraju, jednocześnie starając się dopieścić środowisko lokalnych artystów.

Tu wystawę pokonkursową 2. Ogólnopolskiego Konkursu Malarskiego „Moje Zakopane” można było oglądać przez cały październik – rywalizujący artyści odpowiadali na pytanie, czy Zakopane jest nadal motywem inspirującym kolejne pokolenia artystów. W listopadzie w galerii oglądać będzie można wystawę wypożyczoną z warszawskiej Zachęty. *Bardzo różnie i bardzo dobrze* to wybór 200 grafik autorstwa 75 artystów, które warszawska galeria zebrała w latach 1956-71. Wystawa zakopiańska to tylko pół ekspozycji – drugą część *Bardzo różnie* można podziwiać w... Tarnowie.

Ostatnim miejscem, którego nie można ominąć, jest Teatr Witkacego. W małym mieście, jakim bez wątpienia jest Zakopane, zazwyczaj trudno utrzymać stałą profesjonalną scenę teatralną, jednak tak jak Zakopane nie jest typowym małym miasteczkiem, tak również Teatr Witkacego jest miejscem szczególnym. Znajdujący się w budynku dawnego Zakładu Wodoleczniczego dr. Andrzeja Chramca teatr przez cały rok wystawia sztuki napisane przez Witkacego bądź w jakiś sposób nawiązujące do jego twórczości lub koncepcji filozoficznych. W tej chwili w repertuarze znajdziemy między innymi *Metafizykę dwugłowego cielęcia* Witkacego, *Na niby – naprawdę* Lope de Vegi czy serię „Z cyklu: Tatrzańskie” wraz z najnowszą produkcją teatru *Część III: Spiski – Hej! Według Wojciecha Kuczoka*. Wszystkie spektakle w reżyserii Andrzeja Dziuka.

*

Jak wygląda więc Zakopane wtedy, gdy sezon – nazwijmy to – nie jest w pełni? – Można tu poczuć klimat legendarnego kurortu w bardziej komfortowych warunkach. To czas, kiedy spacerując Krupówkami, nie trzeba przeciskać się przez tłum turystów, można odetchnąć tam pełną piersią i może nawet dostrzec którąś z pięknych elewacji, którą w lecie wspomniany tłum po prostu zasłoni – słyszę na odchodnym w ZCK. Nic, tylko przekonać się samemu!

Dziękuję Zakopiańskiemu Centrum Kultury za pomoc w przygotowaniu materiału.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na powieście, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.



Kilka starych ukłuć

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Piotr Kubic/Teatr Bagatela

Środa

Teatr Bagatela był jeszcze radosnym nastolatkiem, być może wyrośniętym, lecz jednak wciąż chłopcem, gdy pewnego wiosennego dnia lub wiosennej nocy Tadeusz Boy-Żeleński zapisał na górze kartki: *W stronę Swanna*, a poniżej tę dziś już sławetną frazę: „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”. Rozpoczął tworzenie polszczyzny Marcela Prousta. Ledwie kilka miesięcy trwał rok 1936, uroczyscie poświęcony 25 października 1919 Teatr Bagatela miał niecałe 17 lat, oficyna Rój, która zamówiła u Boya tłumaczenie 7 tomów *W poszukiwaniu straconego czasu*, zamarła, zakuta w najtęższą na świecie zbroję cierpliwości, i nawet jeśli komuś szalonemu przyśniło się, że wiele, wiele lat później, w roku 1972, Teatrowi Bagatela nadane zostanie imię Tadeusza Boya-Żeleńskiego – to nie uwierzył, biedak małej wiary, w ziszczenie się swych rojeń nocnych. A Boy? Po chwili przerwy wrócił do labiryntu Prousta. Pisał...

Piątek

„Przez długi czas kładłem się spać wcześniej. Niekiedy, ledwie zgasił świecę, oczy zamykały mi się tak prędko, że nie zdążyłem powie-

pomiędzy światami opowieści Pedra Calderóna de la Barca *Życie jest snem*.

William Szekspir wciąż wraca do niepokojącej metafory losu onirycznego i świata jako teatru, wraca, lecz zawsze na mgnienie jedynie. Niewiele lat po Szekspirze, w roku 1635, Calderon robi z tego niepokoju całą opowieść, puls-

jący labirynt, gdzie, całkiem jak na pierwszych kilkudziesięciu stronicach *W poszukiwaniu straconego czasu*, sen z jawą tańczy i do końca nie wiadomo, czy sen prowadzi jawę czy jawa sen. Inaczej, o wiele celniej sedno bajki Calderona ujmując, sen i jawa, niepewność i pewność, tańczą – istotę teatru, która nawet o jotę nie zmieniała się od zarania teatru... Streszczać teraz *Życie jest snem*?

Wtorek

Fabułą dzieł naprawdę potężnych, czyli trwających poza jakąkolwiek teraźniejszością, w ostatecznym rachunku zawsze jest tajemna fabu-

ła języka, więc sprowadzanie tajemnicy takiej do dziecinnej kwestii, kto mianowicie zwinął bądź nie zwinął oraz dlaczego, jest żałosne. Niech tedy wystarczy ledwie kilka kostek szkieletu. Oto Segismundo uwięziony w litej samotności, poza światem oficjalnym. Oto władca Basilio przywraca go papuziemu dworskiemu życiu. Oto z samotności jak z martwych powstały Segismundo łączywie kąsa odzyskane cudem cudzej litości życie. Oto za karę, bo zbyt łączywy, wraca do jaskini. Ale oto na powrót jest przeniesiony do życia pełnego... I tak wędruje nie z własnej woli tam i sam, a po drodze błyskają romanse, intrygi, dwor-

Wielkie bajki opowiadają nam – nas. Trzeba tylko nie przeszkadzać im w powtarzaniu klucza.

dzieć sobie: »Zasypiam«. I w pół godziny potem myśl, że czas byłby zasnąć, budziła mnie: chciałem odłożyć książkę, którą, zdawało mi się, że trzymam jeszcze w ręce, i zgasić światło; nie przestałem, śpiąc, zastanawiać się nad tym, com przeczytał; ale te refleksje przybierały charakter nieco szczególny; zdawało mi się, że to ja sam byłem tym, o czym mówiła książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją Franciszka I z Karolem V. Przeświadczenie to trwało jeszcze kilka sekund po przebudzeniu”...

Sobota

Tak, gdy Boy tworzył polszczyznę labiryntu Prousta, w którym, zupełnie zawieszając wszelką ludzką pewność, nicują się wzajem sen z jawą, złudzenie z realnością, iluzja z prawdą, widmo świata ze światem rzeczywistym – nikomu się nie przyśniło, że Boy zostanie patronem Teatru Bagatela. I nikt też w żadnym śnie nie dostrzegł niedawnego wieczoru w naszych czasach, kiedy z okazji setnej rocznicy istnienia Teatr Bagatela pokazał premierę błąkającej się



skie knucia, tudzież filozoficzne monologi. Tak, niech starczy tych kilka kostek.

Czwartek

Wędruje Segismundo pomiędzy światami, wędruje nie z własnej woli, próbując ocalić własną wolną wolę, ale coś może, skoro nie wie, który z jego światów, zwierzęca samotność czy płasanie w barwnym stadzie, jest prawdą jawy, który zaś prawdą snu. A nie wie, gdyż otulające go, z ust wielu postaci padające słowa Calderona, nieuchronnie i bezpowrotnie rozmywają granicę między jawą a snem. „Czasami, tak jak Ewa urodziła się z żebra Ada-

ma, kobieta rodziła się w czasie snu z niewłaściwej pozycji mego uda”, wyznaje u Prousta narrator Marcel. Segismundo podobnie rodzi z siebie marzenia, rodzi i ufa ich realności tak długo, jak długo nikt mu nie powie, że tylko śnił. To z reguły są ukłucia bolesne. I jedynie błazenek Clarin jest delikatny, kiedy mówi: „Tu będziesz się budził / ale jeszcze / nie budź się principe / bo zbudzony ujrzysz / tylko cień życia / tylko światło śmierci / i tyle masz z chwały / i tyle z losu / gdy los się odmienił”. Mówi to, gdy Segismundo pierwszy raz wrócił do więzienia. Tak. Lecz ta liryka nieuchronnej ludzkiej niepewności prawdzi-

wie by brzmiała w każdym punkcie wahadłowej wędrowniki Segismunda.

Piątek

Trzy godziny trwający, przez Gintarasa Varnasa wyreżyserowany labirynt Calderona jest seansem majestatycznym, w dostojnym starym stylu, operowym bez mała. Boga chwalić – nie wstydzi się własnej sztuczności. Więzienna samotność Segismunda to krajobraz zimny, szary, pusty. Życie zaś – jest pełną bibliotecznym regałów komnatą zamkową z wielkim globusem w centrum, zaludnioną infantkami Velazqueza i dworakami w papuzich przyodziewkach, tymi

człękokształtnymi figurkami, brzęczącymi intonacją cokolwiek parcianej, jakby martwej retoryki. Owszem, widok skomponowanego przez Varnasa życia dworskiego ma kłopotliwe punkty. Choćby ten wiszący nad sceną, sklecony z monstrualnych piszczeli, byczych kręgów kręgosłupa i innych totalnych żeber kandelabr, co każe myśleć o dryfującym w powietrzu szkielecie dinozaura. Podobnym kłopotem dla oka i myśli są czaszki o wymiarach małych beczek do piwa, którymi aktorzy i aktorki czasem przystrajają swe głowy. Z drugiej strony, gdy regały odwracają się do nas plecami – błyskają lustra. Plecy wszystkich ksiąg świata jako zwierciadła niedokładnie, zwodniczo, szyderczo powtarzające twoją twarz – to piękna, czy sta metafora dna literatury. Nie inaczej z aktorami. Czyli – różnie. Jedni istnieją nawet wtedy, gdy nic nie mówią. Inni znikają, mimo że są dziarscy szalenie i brzęczą intensywnie. Ale też seans Varnasa to opowieść z gatunku tych, których niezręczności – w istocie nie wadzą.

Niedziela

Nie wadzi kandelabr-dinozaur, bo słysząc wszystkie słowa Calderona. Trwa fabuła starych zdań. Dawne przygody wersów – po bez mała czterech stuleciach powtarzają się w Bagateli jasno, bez współczesnych wtrętów. Tak, Bagatela powtarza. Na stulecie swoje, powtarzając labirynt Calderona – powtarza tańiec istoty teatru. Przypomina mechanizm odwiecznych wizyt, składanych nam przez omszałych gości. Powtarza jak Borges w opowiadaniu *Spotkanie*.

Poniedziałek

Oto faceci grają w pokera, rzecz jasna – w ich teraźniejszości. Naraz – nerwy i kłótnia. Jest tak źle, że dwóch, Uriarte i Duncan, chwytają za dwa stare sztylety – wieki temu własność dwóch kolosalnych gauczów, wrogów śmiertelnych. Tryska krew, pada trup. Lecz nie to jest sednem. „To, co widzieliśmy – powiada Borges – to był finał innej, dawniejszej sprawy. Uriarte nie zabił Duncana. Noże tu walczyły, nie ludzie. Spały obok siebie, w szklanej gablotce, dopóki nie obudziły ich dłonie. One umiały walczyć – one, a nie ich narzędzia, ludzie – i dobrze walczyły. Długo się szukały, po długich drogach, i wreszcie się znalazły, kiedy ich gauczowie byli już prochem”. I dodaje Borges: „Rzeczy trwają dłużej niż ludzie. Któż wie, czy nie spotkają się znowu, czy to już koniec historii”. Identycznie jest ze słowami Calderona. Wielkie bajki opowiadają nam – nas. Trzeba tylko nie przeszkadzać im w powtarzaniu klucza.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Lutosławski i elsowie

Tekst: Ewa Danowska Ilustracje: Archiwum Nauki PAN i PAU

Wincenty Lutosławski zdobył pozycję czołowego polskiego filozofa. Znany był nie tylko w Krakowie z erudycji, licznych dziwactw, ale także jako założyciel i ideolog towarzystwa Eleusis.

Urodził się w 1863 roku w Warszawie. Podjęte na politechnice w Rydze studia chemiczne kontynuował na uniwersytecie w Dorpacie. Tam też rozpoczął naukę filozofii, z której doktorat obronił w 1898 roku w Hel-sinkach. Miało się okazać, że wbrew życzeniu ojca nigdy nie przejął po nim zarządzania bro-warem, chociaż zyski z rodzinnej firmy czer-pał przez długie lata.

Wiele podróżował w celu kształcenia się. Pracował w Moskwie, Londynie i Kaza-niu oraz w Hiszpanii, gdzie poślubił poetkę

Istnienie narodu i jego potęgą zależy nie od ilości ciał, lecz od wartości dusz.

Wincenty Lutosławski, Nowa wiara

i pisarkę Sofię Pérez Eguia y Casanowa, za-mieszkując z nią przez pewien czas w rybac-kiej wiosce.

Podczas studiów nad filozofią Platona w Anglii zetknął się z Zakonem Dobrych Templariuszy i Armią Zbawienia, krzewią-cymi ideę abstynencji. Od tej pory został jej gorliwym propagatorem.

W 1899 roku na kilka lat osiedlił się wraz z rodziną w Krakowie, gdzie wykładał filo-zofię na Uniwersytecie Jagiellońskim jako docent prywatny. Już jednak w następnym roku zajęcia zostały zawieszone z powodu za-targu z władzami uczelni dotyczącymi treści wykładów, a także jego ekscentrycznego za-chowania. Przez kilka lat Lutosławski utrzy-mywał założone przez siebie prywatne semi-narium filozofii narodowej.

Sympatyzował z Ligą Narodową, spoty-kając się z jej czołowymi działaczami – Zygmuntem Balickim, Janem Popławskim i Ro-manem Dmowskim. Do grona znajomych małżeństwa Lutosławskich zaliczał się Sta-nisław Wyspiański, Stanisław Przybyszewski, Władysław Reymont czy Tadeusz Miciński.

Na początku 1902 roku Lutosławski za-łożył Eleuterię – towarzystwo do walki z alkoholizmem. Skupiała głównie młodzież protestującą przeciw narastającej fali deka-dentyzmu, w tym studentów oraz słuchaczy jego odczytów. Kilka miesięcy później w Kra-kowie i Lwowie powstała na tej bazie organi-zacja Eleusis, której celem było odrodzenie narodowe, wypracowanie nowego typu Po-

laka poprzez pogłębione praktyki religijne i poczwórną wstrzemięźliwość: od alkoholu, hazardu, tytoniu i rozpusty. Dużą rolę w ideo-logii Eleusis, odgrywał kult trzech wieszczów. W dniu czterdziestej rocznicy wybuchu po-wstania styczniowego, 22 stycznia 1903 roku w Krakowie dwanaście osób złożyło na ręce Lutosławskiego uroczystą przysięgę doży-wotniego zachowania poczwórnej wstrze-mięźliwości. Członkowie Eleusis nazywali się elsami, co stanowiło skrót od greckich słów *Eleutheroi laon soteres* – „wolni wybawicie-lami ludów”. Mieli stanowić elitę, od której zacznie się odnowa polskiego narodu. Poza zachowaniem poczwórnej wstrzemięźli-wości, w celu doskonalenia się dzień rozpocy-nali o piątej rano zimną kąpielą, zagłębia-li się w studia nad filozofią Platona, filozofią indyjską i między innymi interpretacją dzieł Mickiewicza. Ponadto mieli za zadanie kul-tywować katolicką pobożność, propagować braterstwo i karność, zachowywać posty krótkie lub długotrwałe oraz przestrzegać diety wegetariańskiej. Els miał być czysty, wzniosły i mężny.

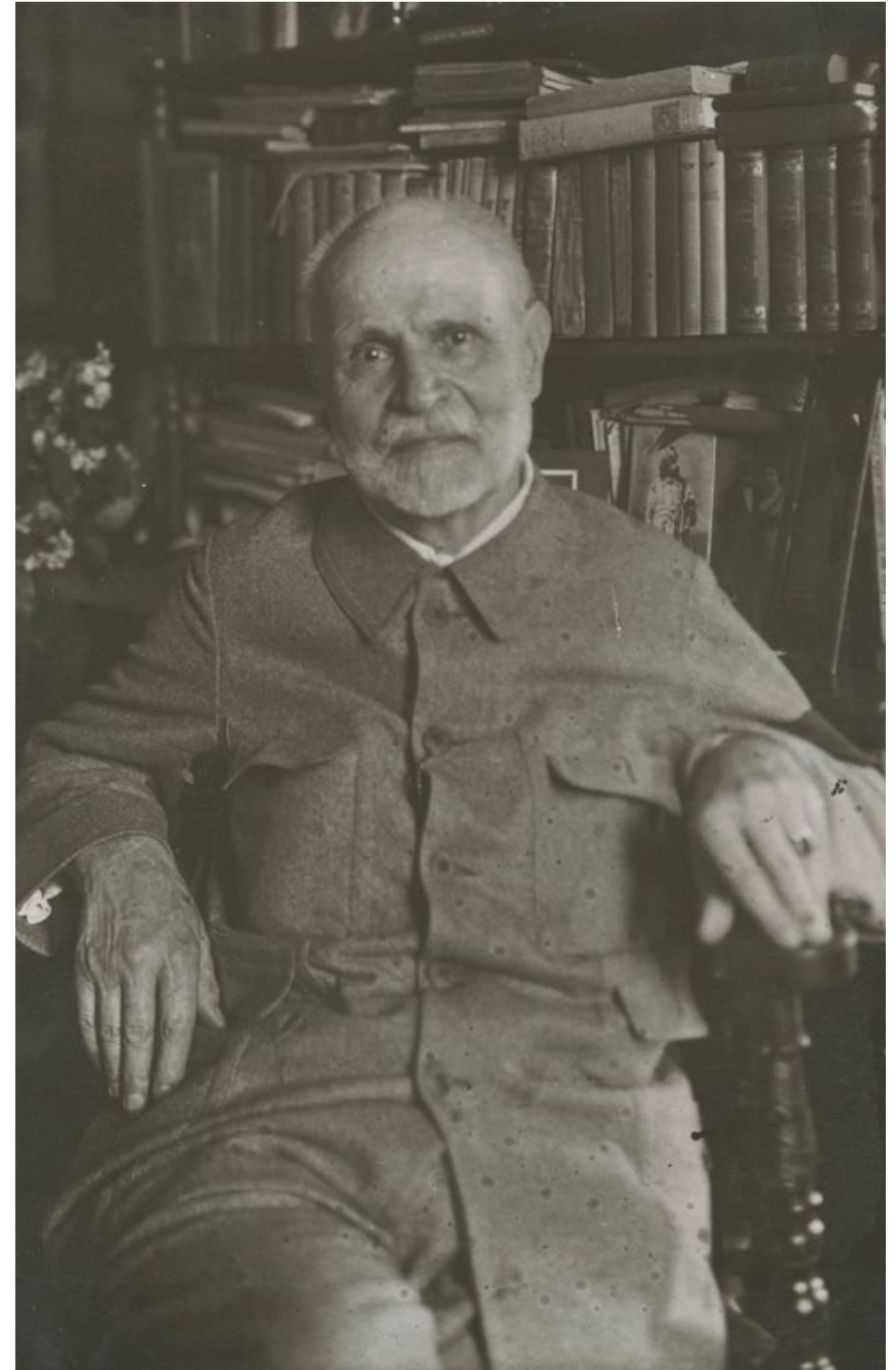
Należy zauważyć, iż Lutosławski był pio-nierem jogi na ziemiach polskich, opisując zbawienny wpływ intensywnych i systema-tycznych ćwiczeń, utrzymując, że dzięki jo-dze wyleczył się z ciężkiej nerwicy i depresji.

Przyjaźnił się ze słynnym doktorem Apo-linarem Tarnawskim, właścicielem zakładu przyrodoleczniczego w Kosowie na Huculsz-czyźnie. Tam odbywały się coroczne „eleuzy-nia”, czyli zjazdy elsów.

Należy dodać, że Lutosławski w pełni po-pierał metody kuracji stosowanej przez Tar-nawskiego, polegającej na dietetycznym ży-wieniu i zażywaniu ruchu, przejawiającym się często jako opieka nad grządkami w przyza-kładowym ogrodzie.

Lutosławski wobec członków Eleusis peł-nił funkcję porównywalną do roli guru. Wraz ze wzrostem liczebności elsów funkcje po-mocnicze spełniali „starsi bracia”, choć nad całokształtem bezwzględnie górowała jego silna osobowość. Do najważniejszych w Kra-kowie członków Eleusis należeli Stanisław Cywiński, Józef Kostrzewski, Tadeusz Stru-miło, czy Adam Wodziczko. Autorką *Hymnu Eleatów*, swego rodzaju pieśni bojowej, była Maria Konopnicka, osoba stroniąca od trun-ków i sympatyzująca z elsami.

W 1903 roku Lutosławski założył organ prasowy „Eleusis. Czasopismo Elsów”, rocz-





nik przeznaczony dla elitarnego grona odbiorców, finansowany ze składek. Pod adresem tego pisma nie brakło słów krytyki, a niektórzy, na czele z psychiatrą Antonim Mikulskim, twierdzili, że redaguje go „literacki zespół psychopatów”. Redakcja znajdowała się w Krakowie przy ul. Batorego 1, a wszyscy zainteresowani współpracą mogli tam się zgłaszać w niedziele po południu. Autorem niemal wszystkich artykułów był sam Lutosławski, piszący przez sześć lat trwania pisma pod około czterdziestoma pseudonimami.

Z biegiem czasu w gronie elsów pojawiło się dążenie nie tylko do osobistego udoskonalenia drogą poczwórnej wstrzeźliwości, lecz zajęcia się konkretną pracą społeczną. To między innymi stało się to przyczyną rozdzwisku między Lutosławskim, niejednokrotnie krytykowanym za dyktatorskie skłonności, a pozostałymi elsami. W 1913 roku organizacja odcięła się od niego, a jedną z przyczyn był fakt, że Lutosławski związany ślubem kościelnym z Sofią Casanową, wziął sobie z grona elsów drugą żonę – Wandę Peszyńską.

W czasie dwudziestolecia międzywojennego przez 10 lat wykładał na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Okres drugiej wojny światowej spędził w Krakowie, gdzie osiadł na stałe. Żył spokojnie, chociaż głównie z powodu wojennych niedostatków nie cieszył się dobrym zdrowiem.

W roku akademickim 1946/47 wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim metafizykę, a w 1947/48 – filozofię. Latem 1948 roku pomagał porządkować bibliotekę Seminarium Filozoficznego, co zapewniało mu dodatkowe dochody. Zarówno ówczesny rektor, jak i dziekan życzliwie wydawali mu odpowiednie zaświadczenia do Urzędu Kwaterunkowego, by ocalić willę wraz z bogatą biblioteką przed umieszczeniem tam lokatorów.

W Krakowie nie mógł narzekać na ubóstwo intelektualne swego otoczenia i brak rozrywek na odpowiednim poziomie. Większość czasu spędzał w domu, czytając i pisząc. Sędziwy filozof chętnie nawiązywał kontakty z młodymi ludźmi, a w jego willi na Dębnikach spotykali się studenci zainteresowani literaturą i szeroko pojmowaną filozofią. Dzięki niezwyklej erudycji był świetnym źródłem wiedzy, zmuszał rozmówców do intelektualnego wysiłku i dyskusji, uważając, że zgodność poglądów jest nudna.

Zawsze cechowały go różne dziwactwa, o których szeroko rozmawiano. Na przykład, opowiadano o nim, że chcąc przyzwyczaić hiszpańską małżonkę Sofię do ostrego klimatu, którego nie znosiła, zawiózł ją do Rosji i długo woził saniami po zaśnieżonych stepach, aż ciężko się zaziębiła. Rozstał się z nią – mimo zapewnień, że bardzo ją kocha – tłumacząc, że z tego małżeństwa ma tylko córki (Marię, Izabelę, Halinę; Jadwi-

ga zmarła w dzieciństwie), jednak ożenić się musi ponownie, by mieć męskiego potomka, co jest niezbędne dla jego karmy. I rzeczywiście, z drugą żoną, wspomnianą Wandą Peszyńską, miał syna Tadeusza i córkę Janinę.

Wincenty Lutosławski przeżył 95 lat, a niektórzy sądzili, że tak sędziwy wiek zawdzięcza wdychaniu „prany”, co zalecali jogowie, i wyrzeczeniu się alkoholu. Jednakże ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli, że idee, które tak usilnie propagował wśród swych wyznawców – „elsów”, niekoniecznie sam stosował. Lubił bowiem napić się wina. Wincenty Lutosławski przebywając w Krakowie – jak wspomina Magdalena Samozwaniec – często przesiadywał w Kossakówce. Zjawiał się przyodziany w pelerynę, w porze obiadowej, a siadając do stołu, życzył sobie tylko szklankę gorącej wody i garść migdałów. Gościnnie Maria Kossakowa spełniała to życzenie, równocześnie stawiając przed nim mięso lub rybę, co Mistrz, zaabsorbowany rozmową, bezwiednie zjadał. Gorąca woda i migdały były na deser.

Roman Dmowski uważał Lutosławskiego za człowieka zwariowanego i przez to niebezpiecznego. Jeszcze ostrzej oceniał go publicysta i myśliciel, profesor UJ Jan Baudouin de Courtenay, uważając że jest nieuleczalnie chory umysłowo, z manią wielkości i najrozmaitszymi dziwacznymi pomysłami, do których należało paradowanie po Krakowie w góralskim stroju czy wygłaszanie mów na kopcu Kościuszki.

Po wielu latach Wincenty Lutosławski zweryfikował swoje poglądy na temat poczwórnej wstrzeźliwości. Zauważył bowiem, że poczwórny abstynent może być równocześnie oszustem, oszczercą, łajdakiem i złodziejem. Jakkolwiek rozpusta jest ciężkim grzechem, to picie alkoholu i palenie tytoniu tylko „błędem higienicznym”, a gra hazardowa „błędem moralnym”. Szeroko rozwinął swe nowe poglądy, pisząc w swych wspomnieniach *Jeden łatwy żywot*, że na drodze do doskonałości ważniejsza jest wstrzeźliwość od krzywdzenia bliźnich niż szkodliwe nałogi. Motywem abstynencji może być pycha – chęć ukazania się lepszym niż inni.

Wincenty Lutosławski przed śmiercią przyjął wiatyk i zadeklarował, że urodził się i umrze jako katolik. Zmarł w Krakowie 28 grudnia 1954 roku. Jednak, jak wspominała jego córka Janina, odchodził z absolutną pewnością, że po wiekiustym czasie narodzi się na nowo, by w nowym wcieleniu kontynuować żywot.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Lekcja listopadowa

Tekst: Maria Malatyńska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Smutek po wspaniałym reżyserze Ryszardzie Bugajskim... Zmarł trzy miesiące temu, ale wciąż myślę, że ten rok i ten listopad powinny być poświęcone właśnie wspomnieniu o Nim.

Dlaczego? Pewnie także ze względu na sytuację w polskiej kinematografii, która pierwszy raz od lat musi zacząć kolejną walkę z rozporządzeniami oficjalnej władzy. A w takiej materii Jego pierwsze słynne dzieło i rzeczywisty debiut, czyli *Przesłuchanie*, pojawia się w pamięci, bo jest do dziś symbolem podobnej potrzeby oporu. Nie tylko ze względu na treść tego obrazu, ale przez pamięć gehenny, którą zafundowały temu tytułowi ówczesne władze polityczne, a jeszcze bardziej we wspomnieniu legendy, którą obrósł ten film.

Teraz jest spokój. Na razie władze ministerialne zaczęły zmieniać strukturę kinematografii, zamykając wytwórnie i rozwiązując nam inne jednostki produkcyjne. Ingerencja w tematykę nastąpi pewnie później. I może dobrze, że Ryszard Bugajski nie musi na to patrzeć. Choć rodząca się również teraz, przy tej okazji, naturalna konsolidacja środowiska, od której wiele może zależeć, próby dyskusji, do których oficjalne czynniki nigdy nie chciały i teraz również nie chcą dopuścić – staje się cenną i ponadczasową wartością.

Ryszard Bugajski i jego wspomniany pierwszy, najważniejszy film też był przykładem walki. Reżyser przypłacił ją załamaniem normalnej drogi twórczej, ponieważ za sugestią władz musiał się udać na emigrację. Z tej niespodziewanej improwizacji życiowej w gruncie rzeczy wyszedł zwycięsko, ale jakim nakładem kosztów własnych! Dobrze więc, że chociaż przyczynił się do powstania największej jak dotąd legendy w polskim kinie. A to jest coś bezcennego zarówno dla polskiej kinematografii, jak i dla filmografii samego reżysera. Pomógł mu też czas powstania tego obrazu.

Przesłuchanie, najbardziej okrutny film o polskim okresie stalinowskim, kręcony był jesienią 1981 roku. Zdjęcia realizowane w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie, bo właśnie w więzieniu rozgrywał się film, zakończone zostały w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Nic dziwnego, że taki tytuł natychmiast został skazany na unicestwienie. Jego dalsza obróbka odbywała się niemal prywatnie i niemal podziemnie. A przecież obraz opisywał pierwszą połowę lat 50.!

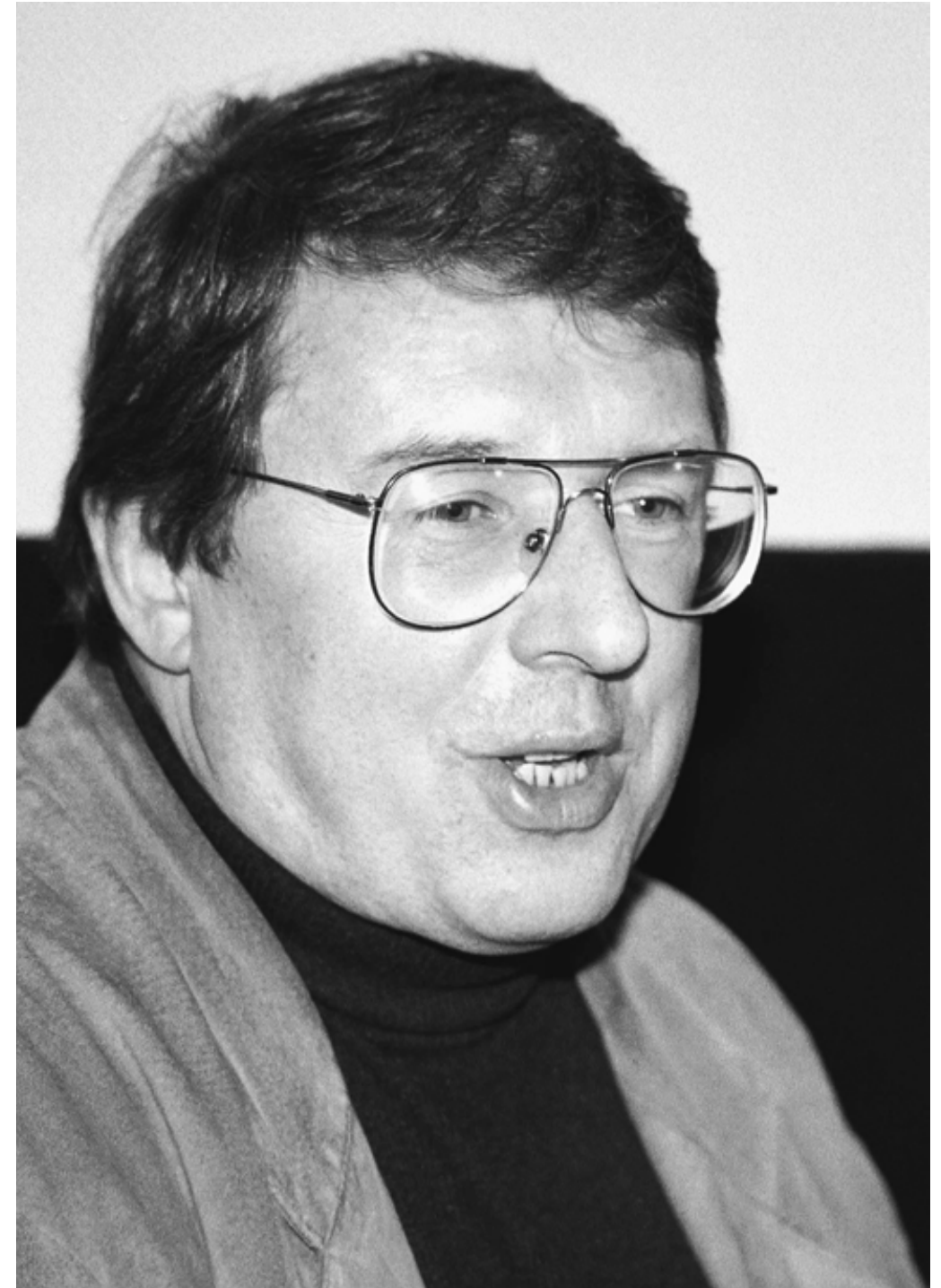
Tym, co zadecydowało o jego niepowtarzalności i najgłębszym krytycyzmie wobec stalinowskiego państwa, a nawet co zbudowało najmocniejszą aurę protestu politycznego jako takiego, było spojrzenie na ten okres i na więzienie z perspektywy jednostki. Przypadkowej, niewinnej, niezajmującej się polityką prowincjonalnej piosenkarki, która aresztowana, poddana jest brutalnym przesłuchaniom i fizycznym oraz psychicznym torturom. Na naszych oczach budzi się również świadomy protest jednostki wobec systemu i obrona własnej godności. Piosenkarka Antonina Dziwisz w znakomitym wykonaniu Krystyny Jandy stała się tak przekonująca, że władzom stanu wojennego natychmiast źle się skojarzyła. Film, którego oficjalnie nie było, zaczęto prześladować: nie dopuszczono do jego rozpowszechniania, rozwiązano Zespół Filmowy „X” Andrzeja Wajdy, w którym powstał, samemu Bugajskiemu zaś utrudniono pracę, zmuszając go do emigracji. Na szczęście udało się ukryć „kopię-matkę” i reżyser zdążył jeszcze wykonać cichcem kilka kopii na kasetach. Wyjechał, a w kraju zaczęło się podziemne życie tego filmu. Droga do widza, wybranego i wtajemniczonego, okazała się buntowniczą atrakcją. Projekcje odbywały się jak w katakumbach, w jakichś kaplicach (sama oglądałam film chyba u dominikanów w Gdańsku), bez oficjalnych informacji – równoległe niejako do wznowionego po stanie wojennym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Krążyły też w odpisach, kopiowanych na maszynach do pisania (komputerów jeszcze nie było) same dialogi.

Ta rosnąca legenda stała się niespodziewanie hymnem w obronie człowieka, który chciał być wolny! Nigdy wcześniej i nigdy później nie było w polskim kinie takiego ideologicznego i tak podniosłego szaleństwa!

Sam film premierę miał dopiero w 1989 roku. I to po wyborach. Prezentowany w 1990 roku na MFF w Cannes przyniósł Krystynie Jandzie Złotą Palmę za pierwszoplanową rolę kobiecą.

*

Ryszard Bugajski przebywał w tym czasie w Kanadzie, tam też próbował sporo reali-



zować: a to odcinki miejscowych seriali, a to filmy. Jeden z tych filmów warto i dzisiaj u nas pokazać – *Clearcut*. To opowieść o adwokacie z hippisowską przeszłością, który występuje w obronie wycinanych lasów! Pokazywał różnice kulturowe w Kanadzie między Indianami i białymi. Ciekawe, czy obecnym naszym władzom z czymś by się wycinane lasy skojarzyły?

Gdy reżyser wrócił do Polski, realizował serie telewizyjne (*Na Wspólnej*, *Samo życie* i inne), wystawiał spektakle Teatru TV, kręcił filmy. Aż trzydzieści razy był scenarzystą i reżyserem, czasem autorem tekstu, jak choćby przy okazji *Śmierci Rotmistrza Pileckiego* (2006 r.). Pokazał wtedy, że nigdy nie zrezygnował z tematyki historycznej i politycznej. W tym spektaklu wybrał z bujnego i tragicznego życia swojego bohatera trzy ostatnie lata. Miejszem akcji uczynił więzienie i salę sądową. I podobnie jak w *Przesłuchaniu* znalazł się znowu w pomieszczeniach na Rakowieckiej, w pokojach przesłuchań, odtworzył okrucieństwo, zderzył swojego bohatera z oprawcami (m.in. z pułkownikiem Różańskim). Doprowadził akcję do skazania rotmistrza na śmierć w 1948 roku, do wykończenia wyroku, wspominał o milczeniu na jego temat propagandystów okresu socjalistycznego i o rehabilitacji w roku 1990.

Dziesięć lat temu zajął się także przywracaniem pamięci o innej postaci w słynnym i pięknym filmie *Generał Nil*. Stworzył portret Emila Augusta Fieldorfa, jednego z najwyższych dowódców AK, twórcy Kedywu, organizatora największych zamachów na Niemców w czasie okupacji (m.in. na Kutscherę). Polskie władze komunistyczne, które po groteskowym procesie (obecnym na ekranie) powiesiły generała w 1953 roku, równocześnie próbowały wykreślić go z narodowej świadomości.

Do dziś film zaskakuje czystością portretu swojego bohatera w genialnym wykonaniu Olgierda Łukaszczyka. Wydaje się poważny i wolny od jakiegokolwiek propagandy. Ale przy okazji tego portretu, w tle jego ideowej jednoznaczności udało się pokazać tragedię ówczesnych polskich wyborów. Obraz narodu, który z jednej okupacji został wrzucony w zależność nazywaną „przyjaźnią” i „wyzwoleniem”, a wzmacnianą polską nadgorliwością własnych aparatczyków. I ta nadgor-

liwość jest tu osobnym zjawiskiem. Jakże gorzkim!

Zaćma, ostatni film Bugajskiego, w którym znów powrócił do niedających mu spokoju lat 50. ubiegłego wieku, znowu był portretem. Opowiadał o ostatnich latach życia Julii Brystigerowej, „Krwawej Luny” – jak ją wówczas ze zgrozą nazywano, znanej z okrucieństwa funkcjonariuszki Urzędu Bezpieczeństwa. Na naszych oczach odbywa się tu coś w rodzaju spowiedzi. Brystigerowa zaczyna odwiedzać Zakład dla Niewidomych w Laskach. W jej wspomnieniach pojawiają się krwawe sceny tortur, jakie zadawała więźniom, ale jako grzech, za który przeprasza. Rozmawia dużo z księdzem (znakomita rola Janusza Gajosa). Z historii wiemy, że pod koniec życia wróciła do religii i przeżyła swój ostatni czas jako pokutę i oczyszczenie. Gdyby nie ten specyficzny rodzaj ściszenia portretów i dyskrecji w patrzeniu, do których doszedł Bugajski w filmach, to ten akurat obraz byłby nieprawdopodobny. Ale miał on tu także znakomitą aktorkę głównej roli: to Maria Mamona. Za późno chyba odkrył Bugajski talent własnej żony, aktorki, którą znaliśmy przed laty z jej młodzieżowych ról. Dopiero w tej dorosłej kreacji oddała niejednoznaczność reakcji człowieka, który chce naprawić zło swojego życia.

To tylko kilka filmów Ryszarda Bugajskiego. Był dyskretny, cichy, rzetelny w historyczno-politycznych portretach, które u niego były raczej czymś w rodzaju moralnych rozważań o zło, jakie niesie polityka i historia. A przecież miał w swoim dorobku także i inne rachunki sumienia, wśród nich także taki, który rozgrywał się z Krakowem w tle. To *Układ zamknięty*, współczesny, polityczny moralitet, całkowicie niepublicystyczny obraz. Okrutna opowieść o zło, które tkwi w ludzkiej naturze, w sprzyjających okolicznościach zawsze się ujawnia i niszczy wszystko i wszystkich wokół, z czystej chciwości i dla pokazania władzy. Rzecz oparta jest na dziejach trzech młodych właścicieli firmy Krak-Meat, którzy przeszli gehennę fałszywych oskarżeń, aresztu bez procesu, rozwalenia firmy i – po latach – słabutkich przeprosin ze strony prokuratury i śmiesznego odszkodowania.

To już temat na inne opowiadanie. Ale jak za czasów dawnego kina moralnego niepokoju, z którego wyszedł, Bugajski w swoich filmach czuwał i był. Warto więc do tych filmów wracać.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

KONCERT SYMFONICZNY

ORKIESTRA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Paweł **KAPUŁA** dyrygent

Jan **KALINOWSKI** wiolonczela

Marek **SZLEZER** fortepian



instytut muzyki i tańca



22.11.2019
piątek, godz. 19.30

MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO

foto: G. Mart

w programie:

Mieczysław WEINBERG – *Melodie polskie*

Marta PTASZYŃSKA – Koncert podwójny na wiolonczelę i fortepian z orkiestrą (prawykonanie)*

Antonin DVOŘÁK – V Symfonia

* Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie”, realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

KONCERT SYMFONICZNY

ORKIESTRA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Charles **OLIVIERI-MUNROE** dyrygent

Esther **YOO** skrzypce

w programie:

Grażyna BACEWICZ – Uwertura na orkiestrę symfoniczną

Samuel BARBER – Koncert skrzypcowy

Siergiej PROKOFIEW – V Symfonia B-dur

7.12.2019
sobota, godz. 18.00

ZPSM im. M. KARŁOWICZA

foto: M. Borggreve



Podróże (2)

Tekst: Jan Pieszczachowicz

To była moja jedyna rekompensata, jeśli tak to traktować, za pracę społeczną – więc jeździłem po świecie sporo. Podróże do ZSRR nie były pozbawione niespodzianek.

Pewnego razu udałem się do Moskwy z Wilhelmem Szewczykiem, który mówił, że zna rosyjski. Po wylądowaniu na pytanie pogranicznika o cel podróży Wilek przedstawił się „pasoł”, co po rosyjsku znaczy „ambasador”. Urzędnicy wpadli w popłoch – niezapowiadany polski ambasador, a tu nikt nic nie wie! Zaprowadzili nas do pomieszczenia dla VIP-ów, gdzie dzwonili, wreszcie udało mi się wytłumaczyć, że to nie ambasador, a deputowany do polskiego parlamentu. Odwieźli nas do hotelu Pekin przeznaczonego głównie dla cudzoziemców. Wilek wypatrzył w lotniskowym sklepie kubańskie cygara, których był miłośnikiem, i kupił kilka opakowań. – Będę miał do Polski – sapnął z zadowoleniem. – Na drogę powrotną nie miał już ani jednego cygara, a ja padłem ofiarą jego nałogowej namiętności.

W Pekinie mieliśmy apartament z obszernym małżeńskim łóżem. Pewnego razu Szewczyk wrócił z jakiejś służbowej kolacji. Ja już spałem, ułożył się grzecznie w łóżu – i nagle po czułem piekielne pieczenie w uchu. Zerwa-

ładowate powietrze. Obok mnie siedziała żywna niewiasta z koszykiem nakrytym chustą. Okazało się, że była w Moskwie na zakupach. W koszyku miała cebulę, bo na Syberii o nią trudno.

Za Uralem zwróciłem uwagę Abramowa, że lecimy nad czymś, co jego ojciec nazwał „leśnym morzem” w powieści pod tym tytułem. Był zafascynowany, jeszcze bardziej chyba, gdy gościnni Sybiracy zawieźli nas w tajgę dżipem, po drodze piekielnie nierównej, najeżonej pniakami. Przystanęliśmy nad jakimś bagnem, gdzie gospodarze narwali dzikiego czosnku, uchodzącego tu za zakąskowy przysmak. W myśliwskiej chacie odbyło się polsko-rosyjskie zbratanie. To byli naprawdę serdeczni ludzie. Zawieźli nas też nad Bajkał i poczęstowali rybami zwanymi omul, na łowienie których trzeba było mieć specjalne zezwolenie. Kiedy dowiedzieli się, że ojciec Jarka napisał przełożoną na rosyjski opowieść o tajdze, niemal nosili go na rękach.

By jeszcze bardziej okazać swoją sympatię i zaufanie, w tajemnicy zaprosili nas na stary cmentarz, gdzie pochowano dzieci polskich wygnańców.

*

Trzeba też wspomnieć o przyczynach wizyt w Związku Radzieckim. Moją nauczycielką w Sandomierzu była pani Bakalarska, rodowita Rosjanka. Umiałem znaczne fragmenty *Eugeniusza Oniegina* Puszkina po rosyjsku. Do dziś mogę napisać list po rosyjsku. W ramach wymiany ze Związkiem Radzieckim byłem delegowany przez ZG ZLP z bardzo prostej przyczyny: nikt tam nie mówił po rosyjsku. Wszyscy woleli – ja też bym wolał – jechać z delegacją, gdziekolwiek na Zachód, no ale przyszło mi jeździć do ZSRR i wygłaszać „dakłady”, czyli przemówienia.

Ale nie narzekam.

Byłem tam zawsze szalenie przyjaźnie witany.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika

„Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

Kraków i jego Nagroda A.D. 2019

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Wiesław Majka/UMK

Leszek Wójtowicz, Andrzej Franaszek, Andrzej Nowakowski... Dla miesięcznika pieczętującego się kulturą i Krakowem tegoroczni laureaci Nagrody Miasta Krakowa w dziedzinie kultury i sztuk to nie tylko powód do domy z bogactwa miasta, ale i do osobistej radości, jako że każdego z nich znamy, cenimy i od zawsze trzymamy za nich kciuki.

Wójtowicz (rocznik 1954) jako powód otrzymania nagrody wpisany ma „całokształt działalności artystycznej”. Nie wiem, czy to właściwe określenie, bo w jego przypadku można mówić o artystowskiej duszy miasta. Dzięki niemu wszyscy choć przez chwilę mogą się poczuć jak bohaterowie Grottgera, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego lub przynajmniej serialu *Polskie drogi*. A co powiedzieć, gdy słyszymy Wójtowicza śpiewającego o czymś, o czym każdy by chętnie pewnie powiedział, ale dotychczas nie miał okazji: „Nie pragnę wcale byś była wielka / Zbrojna po zęby od morza do morza / I nie chcę także by cię uważano / Za perłę świata i wybraną Bogą”? Więc? Może: jak to czasy dziwnie się nie zmieniły od czterdziestu lat?

Franaszek (rocznik 1971) nagrodę dostaje za „znaczący wkład w krytykę literacką”. Słusznie ze wszech miar, choć wolałbym mówić o okazałym wkładzie w mądrą biografistykę – jego dwutomowa biografia Herberta jest świetna, a Miłosza – doskonała! A jeśli dodać do tego Franaszkową współpracę przy kilku ważnych filmach dokumentalnych, to jasne się staje, że nagroda w zacne ręce idzie.

Nowakowski (rocznik 1952) uhonorowany został za wszechstronną działalność wydawniczą i artystyczną. Tak, Andrzej to człek-omnibus. Doktor filologii polskiej, nauczyciel akademicki, prezes Stowarzyszenia Autorów i Wydawców „Polska Książka”. Niegdysiejszy pełnomocnik ministra kultury do spraw wszelakich, dyrektor Instytutu Książki, a na koniec prezes Polskiej Izby Książki. Ale do historii polskiej kultury przejdzie dwiema swoimi aktywnościami – fotografią „krakowską” oraz prowadzeniem wydawnictwa Universitas.

Jego zdjęcia opublikowane w takich albumach jak *Skarb. Kopalnia Soli „Wieliczka”* (2013), *Blask. Ołtarz Mariacki Wita Stwosza* (2011) czy *Planty* (2018) to więcej niż piękny obraz – to duch miejsc.

A już dorobek wydawnictwa jest powalający – zwłaszcza że wiele tych książek siłą rzeczy by się nie ukazało jako zbyt mało rynkowe i komercyjne. A przecież nie sposób sobie wyobrazić współczesnej kultury polskiej bez trzytomowej, potężnej antologii *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009* czy bez *Pism wybranych* Jerzego Turowicza.

Miesięcznikowi w naturalny sposób najbliżej do nagród dla ludzi kultury i sztuki. Lecz nie zapominać, że równie ważne są nagrody dla autorów prac dyplomowych. W tym roku wyróżniono: Natalię Czumę (z AGH) za pracę doktorską *Zastosowanie modyfikowanych popiołów lotnych do wychwytywania ditlenku węgla*, Krzysztofa Petrusa (PK) za pracę



doktorską *Garbary w latach 1850–1939*, Marcelinę Smolarczyk (PK) za pracę magisterską *Krakowski Greenway Wschód. Koncepcja systemu zieleni integrującego nowohuckie parki*, Wiolettę Marię Nowak (KA) za pracę inżynierską *Muzeum Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie* i Macieja Górza (UEK) za pracę inżynierską *Certyfikat urbanistyczny miasta Krakowa jako zachęta do zrównoważonej urbanistyki w nowych osiedlach*.

*

Nagroda Miasta Krakowa, ma tradycje sięgające jeszcze w wiek XVI, by – po zaborach – powrócić w międzywojniu. Ale dzisiejszy, rozbudowany kształt przyjęła dopiero w 1994 roku.

Pisaliśmy kiedyś, że w Krakowie jeśli coś liczy mniej niż lat dwieście, to trzeba poczekać, aż czas zweryfikuje wartość tego zjawiska, dzieła czy budowli. Nagroda Miasta Krakowa za piętnaście lat będzie obchodziła pięćsetlecie istnienia.

Gratulując zatem laureatom, trzeba im przypominać: Szanowni, wieki na Was patrzają...



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora, rys. Andrzej Zaręba

Jubileuszowo!

Tekst: Mieczysław Czuma

Nie jeden raz dane mi było przypominać, że Rzymowi do Krakowa daleko. Oj, daleko. Oni tam nad Tybrem w swoich dobrych cesarskich czasach urzędowo jubileuszowali tylko i wyłącznie co sto lat. Na końcu uświęconej daty zawsze musiały być dwa zera. My nie dbamy o takie detale.

My tu, nad Wisłą i Rudawą, pławimy się w rocznicowych rozkoszach nawet wtedy, kiedy stosowne okoliczności naznaczone są także i liczbą 15. Te nasze piętnaście lat to tylko mały przystanek w tysiącletnich dziejach miasta. Ale to czas szczególny, okraszony obecnością „Krakowa” w Krakowie, co pozwala mniemać, że lepszych chwil dla każdej ze stron nigdy jeszcze nie było. Niech się o tym nadal co miesiąc dowiaduje cała reszta świata. Panu Bogu dzwony też są potrzebne.

Aby jednak nie być posądzanym o kumoterską wazelinę (od lat gniazduję w tym piśmie), podaję do publicznej wiadomości, że w czasie tego redakcyjnego piętnastolecia z własnego wyrafinowanego wyboru świętuję także jeszcze i inne rocznice. Jedne napawają mnie dumą, inne przyprawiają o wstyd. Oto i moje prywatne jubileuszowanie.

801 lat temu (rok 1218) stało się coś, czego jako późniejszy absolwent wpisanych w maltańskie tradycje Szkół Nowodworskich absolutnie pojąć nie mogę. Leszek Biały, władarz dzielnicy krakowskiej i sandomierskiej, odmawia papieżowi Honoriuszowi III udziału w kolejnej (piątej) wyprawie krzyżowej. Uzasadnia to brakiem piwa w Ziemi Świętej. To, że pozbawił nas chlubnego tytułu krzyżowców, to jeszcze małe piwo. Aby okupić swoją rejteradę, jako chrześcijanin zadeklarował się podjąć walkę z pogańskimi Prusami, gdzie piwa był dostatek. I wsparł swojego brata – Konrada Mazowieckiego – w jego zamiarach sprowadzenia i osiedlenia na piastowskich dziedzinach rycerzy Zakonu Krzyżowego. Co było dalej, wiadomo. Odsyłam do Sienkiewicza.

504 lata temu (rok 1515) bramy miasta przekracza, wabiący się prawdopodobnie Kupido, pierwszy jamnik. Na dwór Zygmunta I (po koronacji dziesięcioletniego syna nazwanego Starym) przywozi tego przedstawiciela psiej arystokracji biskup wrocławski Jan Thurzon. Wawelskie obrady dostojnych mężów dotyczyły małżeństwa księcia legnickiego Fryderyka z siostrą Zygmunta I, księżniczką Elżbietą. Rolę Kupida w tych przegaduchach dyskretnie się przemilcza. Wiadomo natomiast, że jego potomstwo skutecznie podporządkowało sobie całe zastępy krakowian. Kiedy w roku 1973 organizowałem pierwszą w świecie paradę tych wytwornych longdogów, byłem natchniony głębokim przekonaniem, że te przegubowce na czterech krzywych łapach to nic innego, tylko skarłowaciałe wawelskie smoki. Dzisiaj zresztą nadal wierzę w to głęboko. Niech ich więc przybywa z każdą kolejną paradą.

116 lat temu (rok 1903) w należącej do Wincentego Kondolewicza kawiarni w Sukiennicach (od 1910 roku do Jana Noworolskiego) zamontowany zostaje sprowadzony z Triestu pierwszy na ziemiach pol-

skich ciśnieniowy ekspres do kawy. Czyni to z krakowian pionierów w odkrywaniu nieznanych dotąd smaków i aromatów małej czarnej. Jest to także kolejny dowód na naszą przynależność do kręgu kultury śródziemnomorskiej. Zwłaszcza że wtedy

Te 15 lat to mały przystanek w tysiącletnich dziejach miasta. Ale to czas okraszony obecnością „Krakowa” w Krakowie, co pozwala mniemać, że lepszych chwil dla każdej ze stron nigdy jeszcze nie było. Niech się o tym nadal dowiaduje cała reszta świata. Panu Bogu dzwony też są potrzebne.

stosowne urzędowe dokumenty, a i turystyczne przewodniki podawały bezdyskusyjnie, że Kraków położony jest 210 metrów nad poziomem Morza Adriatyckiego. Warto też przypomnieć o czymś jeszcze. W roku 1846, po upadku powstania, Rzeczpospolita Krakowska została inkorporowana do cesarstwa, a w roku 1866 Garibaldi wyjął Wenecję Habsburgom i przyłączył ją do Królestwa Włoch. Przez dwadzieścia lat Kraków i Wenecja były więc obok siebie, w jednym państwie. Czy mając takie papiery, można mieć jakąkolwiek wątpliwość, że to my, krakusy, jesteśmy spadkobiercami tradycji grecko-rzymskich? Ja nie mam.

No, ale dość wypominków. Pora powrócić do jubileuszowego piętnastolecia. Panie Redaktorze Naczelny i wszyscy Redaktorzy Przyboczni, takie rocznicowe okazje (sto lat, sto lat i toasty) kończą się różnie. Najczęściej jednak pospolitym kacem i niepospolitym bólem głowy. W takich niełatwych chwilach wychodzę potrzebującym naprzeciw. Otóż informuję, że w wyniku podziału niebiańskich powinności do leczenia kaca oddelegowana została św. Bibiana i to do niej wznosić należy stosowne modły. W skrajnych przypadkach można odbyć pielgrzymkę do jej przybytku, to jedna z najstarszych rzymskich świątyń. Podaję adres: via Giovanni Giolitti, tuż obok dworca kolejowego Roma Termini. Chętnie będę towarzyszył.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Na filmową jesień

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Złamałam palec. Niby mały, ale jednak u ręki. I to prawej. Żadne aktywności tej jesieni nie dla mnie, okazuje się, że mały palec potrzebny jest do wszystkiego. W grę wchodzi więc sztuka, która nie wymaga przeciskania się w kolejkach.

Jakiś żartowniś mógłby zapytać jednak, czy istnieje w ogóle jakaś inna? Sztuka widza szturmującego wejście, aby móc zobaczyć i posłuchać? Istnieje. Jest nią wciąż, na przykład, kino. Pamiętam sprzed roku niekończące się kolejki przed seansami Kleru Wojtka Smarzowskiego, takie zawijające się za rogiem. Wspaniały widok. Filmom tegorocznym i mającym premiery jesienią również tego życzę. Zwłaszcza że poza fascynującymi historiami wiele z nich łączy jeszcze Kraków.

Miasto wyrosło na poważnego partnera polskich filmowców. Dostojnego, elastycznego (może,

Kraków wyrósł na poważnego partnera polskich filmowców. Dostojnego, elastycznego (może, jak trzeba, udawać inne miasta i wcale się tego nie wstydzi), mającego wiele do zaproponowania i szalenie adaptowalnego.

jak trzeba, udawać inne miasta i wcale się tego nie wstydzi), mającego wiele do zaproponowania i szalenie adaptowalnego. Chyba warto przypomnieć, że jednym z pierwszych, który w ostatnich latach ten Kraków odkrył dla wielkiego kina (ba, największego), był Steven Spielberg. Wiosną minęło 25 lat od premiery *Listy Schindlera*, kręconej tutaj i z udziałem wielu krakowskich aktorów oraz artystów.

Spielberg trafił na krakowski Kazimierz i Podgórze w czasie, kiedy przygotowanie ich do zdjęć nie wymagało wielkiego wysiłku. Dzielnice nie były odnawiane, wszędzie naturalna patyna i atmosfera, którą dziś próbuje się podtrzymać. Kraków był też wiele razy miejscem cudów. Na przykład wtedy, gdy Spielberg, dla którego nie było rzeczy niemożliwych, dopisał sceny w aptece „Pod Orłem” w getcie krakowskim i postawił przed Alanem Starskim i Ewą Braun bardzo trudne zadanie znalezienia odpowiedniego miejsca i wyposażenia go. Laureatka Oscara Ewa Braun przeszukała wszystkie apteki w mieście i okolicach, szukając zespołu mebli aptecznych, rzadkiego, ale niezbędnego do tych zdjęć. I poddała się. Cud wydarzył się na korytarzu jakiegoś urzędu, gdzie przyszła w sprawie dokumentów, i meble, których szukała, zobaczyła stojące tam spokojnie, bo złożone jako depozyt sądowy.

Ćwierć wieku i wiele, wiele produkcji później Kraków jedzie na Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni jako poważny aktor. Gra drugie i pierwsze plany, czasem epizody. Filmowcy wracają do niego po bankietach, bo trwają kolejne zdjęcia. W dwóch ważnych i kompletnie różnych od siebie filmach po-

jawiają się Oleandry – w *Piłsudskim* i *Legionach*, choć odtworzone, ale jednak krakowskie.

I wreszcie – Złote i Srebrne Lwy także się Krakowowi (z okolicami) należą. Bo także tu kręcono *Obywatela Jonesa* Agnieszki Holland, poruszającą opowieść o walijskim dziennikarzu, który jako jeden z pierwszych informował o wielkim głodzie na Ukrainie i któremu nikt nie wierzył. Ekipa pracowała przy Wielopolu, w sali sesyjnej Urzędu Miasta Krakowa, na ulicy Zyblikiewicza, a także w niedalekim i imponującym Pałacu Goetzwów w Brzesku. *Obywatel Jones*, pierwszy raz pokazany na festiwalu w Berlinie, został uznany przez gdyńskie jury za najlepszy film roku.

A srebro dało Ikarowi. *Legendzie Mietka Kosza*. Znany z portretowania niezwykłych bohaterów Maciej Pieprzyca opowiedział nam historię wybitnego pianisty jazzowego, który w dzieciństwie stracił wzrok i zmarł w wieku 29 lat, zostawiając muzykę i sporo tajemnic. Można śmiało szukać w tej pięknie sfilmowanej opowieści (nagroda za zdjęcia w Gdyni!) podkrakowskich okolic. Między innymi wsi Leszczyna czy Sadek z gminie Jodłownik. No i szpitala w Witkowicach!

Miłe są potem podwójne premiery, w Warszawie i Krakowie, coraz większe zainteresowanie i sprawność, z jaką się w Krakowie kręci. Szczególnie że nawet kostiumowe sceny realizowane na dzisiejszych na ulicach nikogo tu nie dziwią. Kapelusze, długie suknie, dorożki? Sama kiedyś widziałam na Reformackiej filmowców, którzy nie zwracali niemal niczyjej uwagi, jakby kreowanie magicznego świata było tutaj na porządku dziennym. Cóż, może rzeczywiście jest.

W chwili, gdy ukazuje się ten numer „Krakowa”, oba nagrodzone Lwami filmy są na ekranach. Oba widziałam i na oba chętnie pójść jeszcze raz. Jak trzeba, to będę się przeciskać. Miłych seansów!



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Miłość pierwszoklasisty

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Dobrze pamiętam dzień, w którym Stanisław Ignacy zakochał się po raz pierwszy.

Dla matki to moment przełomu – świat zewnętrzny woła małego człowieka i nie daje skleić się z nią zbyt mocno. Guzik włączony, teraz ten stan i tęsknota za nim już do końca będą go nieść przez życie.

Stanisław Ignacy ma pięć i lat. Jedziemy autem przez Warszawę. Siedzi w grubej kurtce, szczególnie przypięty do fotelika. Coś jest nie tak, bo uparcie milczy. W lusterku łowię ten nieobecny wzrok, który odmalował Renoir w *Śniadaniu wioślarzy*. Pamiętacie kobietę z drugiego planu, która przechyla szklankę z napojem? Właśnie. Na góskim tarasie z pewnością nie ma osoby, o której myśli, a zgiełk i rwetes poranka tylko pogłębiają poczucie straty. Stanisław patrzy w ten sam sposób – mglisty i nieco bezbarwny, nie rejestruje ani jednego koloru umykających ulic.

– O czym myślisz, Stasiu? – pytam.
– Długo dziś na kogoś patrzyłem... – odpowiada syn szeptem, choć jesteśmy sami.
– Na kogo?
– Nie mogę powiedzieć.
– Na ciocię w przedszkolu?
– Nie.
– Na kolegę?
– Nie.
– Na koleżankę?
(Pauza)
– Tak. Patrzyłem na nią, jak spała.
– A jak ma na imię ta koleżanka?
– Amelia... (pauza). Ładne imię, co nie?

Stanisław ma dopiero pięć lat i już czuje, że miłość to tajemnica, o której trzeba mówić szeptem. Skąd wie, że imieniem ukochanej osoby, które wczoraj było jednym z tysiąca zwykłych i nic nieznaczących imion, dziś nazwalibyśmy najważniejsze miejskie place, mosty, budynki i arterie? Nowe uczucie, którego nie znał przecież wcześniej, wzbiera w nim i opada falą, a słowo na „A” to jednocześnie jej imię i *aloe vera* – syn zamyśla się, a potem zbyt głośno się śmieje, by znów zawisnąć spojrzeniem gdzieś tam w oddali.

We wrześniu Stanisław poszedł do pierwszej klasy. W pierwszy dzień szkoły był bardzo dzielny, za to jego matka nawaliła po całości. Jeszcze przed wakacjami można było dopisać dziecko do listy uczniów tak, by było w klasie z kolegami i koleżankami znanymi z przedszkola. Matka zapomniała i tak Stanisław trafił do klasy, gdzie patrzyły na niego 24 pary obcych oczu. Smutek był potężny. Nic nie pomagało, a w oczach Stasia było tyle wyrzutu, że matka niemal udławiła się poczuciem winy gorszym niż to niemieckie.

Wchodzimy do klasy. Wśród dzieci jedno jest z Ukrainy, a dwoje ma skośne oczy.

– Zobacz, Stasiu, jak wiele nowych twarzy i jak dużo różnorodności! Są tu dzieci z różnych krajów – powiedziałam zachęcająco. A pod nosem dodałam: (A nie tylko biała Europa).

Jakiś czas później Staś przyszedł do domu ze szkoły i oznajmił, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

– Mamo, dostałem dziś plusik za zachowanie!
– A dlaczego?
– Nikt nie chciał siedzieć w ławce z Benem, bo on nie mówi po polsku. I ja zgłosiłem się, że będę z nim siedział.
– Brawo!
– Zostawiłem też karteczkę Wiktorii z napisem „Love. Staś”.

– I co ona na to?
– Najpierw myślała, że to ten drugi Staś, ale powiedziałem, że to ja. Była zdziwiona.

Stanisław ma dopiero pięć lat i już czuje, że miłość to tajemnica, o której trzeba mówić szeptem.

– A ty?
– No, ja byłem zdziwiony, że ona jest zdziwiona. W końcu jest najładniejszą dziewczyną w klasie! Odesłała mi karteczkę. Napisała „Love Wiktorii” i to „o” było w kształcie serca. A potem ją przytuliłem.

Pomiędzy Stasiem i Wiktorią wszystko układało się dobrze. No, może raz posprzeczała się o gumkę do mazania. Niestety, nic nie trwa wiecznie. Na horyzoncie pojawił się rywal. Wchodzę do pokoju, a tam Staś mocuje się ze skarbonką.

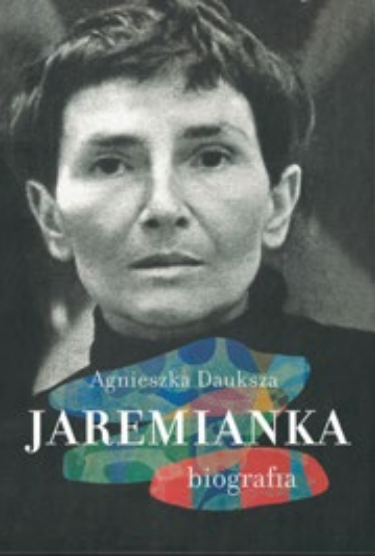
– Mamo muszę iść do Żabki po „Merci” dla Wiktorii. Nie poddam się.

Piątkowe popołudnie 11 października. Staś wraca ze szkoły.

– I co, Wiktorii przyjęła prezent?
– Przyjęła.
– Odzyskałeś ją?
– Tak, ale dopiero po drugiej lekcji.
– Ojej, a dlaczego?
– Dałem jej „Merci”, ale Kuba też jej przyniósł czekoladę. Był remis. Ale w końcu wybrała mnie.
– Jak ją przekonałeś?
– Pani mnie pochwaliła przy wszystkich.
– Tak? A za co?
– Tylko ja w klasie wiedziałem, kto to jest Olga Tokarczuk i że dostała Nobla!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl. i „Co-dzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

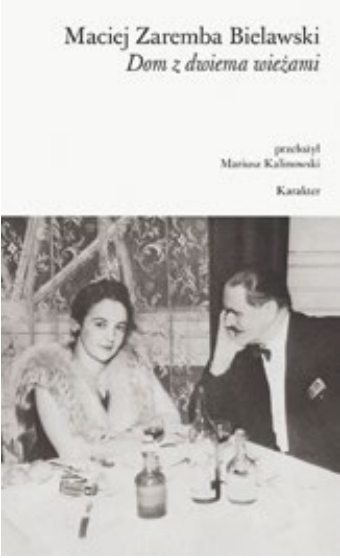


Krakowska książka października

W Krakowie trudno nie znać Marii Jaremy (1906–1958), wszak jej dzieła spotykamy w przestrzeni miejskiej. Mural będący przeniesieniem jej obrazu *Penetracje* z 1956 roku na bloku przy ulicy jej imienia, rzeźba-fontanna *Fortepian Chopina* na Plantach nieopodal Filharmonii Krakowskiej czy pomnik na grobie robotników Semperitu na cmentarzu Rakowickim... Niedawno ukazała się opowieść o artystce autorstwa Agnieszki Daukszy (rocznik 1988) *Jaremianka. Biografia*. Jej życie wypełniała twórczość. Obracała się wśród ludzi kultury i sztuki tworzących przez lata artystyczną legendę Krakowa. Poznajemy pełne antagonyzmów środowisko Akademii Sztuk Pięknych, towarzyszymy powstawaniu Grupy Krakowskiej czy teatrów Cricot i Cricot 2. To ciężkie czasy odzyskiwania niepodległości przez Polskę po I wojnie światowej i nawale bolszewickiej, tragedii II wojny światowej i niemieckiej okupacji, w końcu powojennej Polski... Była uczennicą Xawerego Dunikowskiego, współpracownicą Tadeusza Kantora, żoną pisarza Kornela Filipowicza... Świadomość śmiertelnej choroby tylko zintensyfikowała jej twórczą aktywność. Szczęściem dla przeciętnego czytelnika książka nie została zdominowana specjalistyczną analizą jej twórczości artystycznej. Biografia na wskroś krakowska, uhonorowana została nagrodą Krakowska Książka Miesiąca Października 2019.

Janusz M. Paluch

Agnieszka Dauksza, *Jaremianka. Biografia*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019.



Staramy się w tej rubryce zauważać książki krakowskie, a już na pewno – polskie. A jednak opowieść Macieja Zaremby Bielawskiego, choć napisana po szwedzku, jest i książką uniwersalną, i polską – a w jakimś sensie: nawet krakowską z ducha. I to nie tylko dlatego, że jego matka bywa w Krakowie u Noworolskiego, rodzina z kądzieli pochodzi z Tarnowa i okolic, ale unosi się nad stronicami ów szczególny klimat debaty. Z recenzji zamieszczanych w internecie można wysnuć, że to kolejna opowieść o odszukiwaniu żydowskich korzeni. Jednak to niecała prawda. Najpierw zatem czytamy nostalgiczną opowieść o czasach młodości, która to – osobiście ta z epoki PRL – mocno uderza do mego pokolenia. Potem pojawia się śledztwo w sprawie pochodzenia. Autor jako dziecko był dumny z przodka, który zwyciężył pod Grunwaldem. Ale w 1968 roku, gdy miał lat siedemnaście, usłyszał od matki: „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką”. I tak się zaczyna tajemnica rodziny. I nagle, z konstatacji pochodzenia przechodzimy do przerażającej opowieści o polskim antysemityzmie. Co za straszny gen wisi w powietrzu nad tymi skrwawionymi ziemiami... I nie zmienia tego opowieść o tym, że matkę ratowało łącznie aż 36 osób. Bo jest to jednocześnie opowieść o tym, że wystarczyłoby, aby było ich tylko 35 – i autora dziś na świecie by nie było.

To jedna z najlepszych opowieści polsko-żydowskich powstałych po upadku komunizmu.

(wb)

Maciej Zaremba Bielawski, *Dom z dwiema wieżami*, Karakter 2018.



W minionym stuleciu należał – obok Komedy, Trzaskowskiego, Makowicza i Karolaka – do czołówki polskich pianistów jazzowych. O jego grze z atencją mówili światowi mistrzowie – Bill Evans i Dave Brubeck. A dla jego muzycznego rozwoju najważniejszy był Kraków. Ośmioletni Miecio Kosz przyjechał tu w 1952 roku z Antoniówki (Lubelszczyzna) do zakładanej właśnie Państwowej Szkoły Muzycznej dla Dzieci Niewidomych. Chłopcem zajęła się – *de facto* mu matkując – prof. Romana Witeszczakowa. Doceniła jego słuch, talent, upór i pracowitość. Oraz, co wtedy rzadkie, pozwoliła, prócz klasyki, ćwiczyć lżejsze formy – i improwizować. Studiów muzycznych Kosz już jednak nie podejmuje – tłumaczy, że nie mógłby wtedy grać jazzu. Bo to jazz staje się jego pasją – prócz zarobkowych gigów w kawiarni Literacka, gra na jam session Pod Jaszczurami, w Krzysztoforach i w Helikonie (m.in. z Tomaszem Stańką). W 1965 wyjeżdża za chlebem do Zakopanego. Potem przenosi się do Warszawy – i tam zaczyna się karier zwieńczona występami na Jazz Jamboree i festiwalach na Zachodzie: w Wiedniu i w Montreux. Przerwana 31 maja 1971 roku wypadnięciem (skokiem?) z okna wynajmowanego pokoju przy Koszykowej. Mawiał, że najbardziej ceni taką muzykę, która „sprawia, że życie jest dramatyczną przygodą do samego końca”.

kb

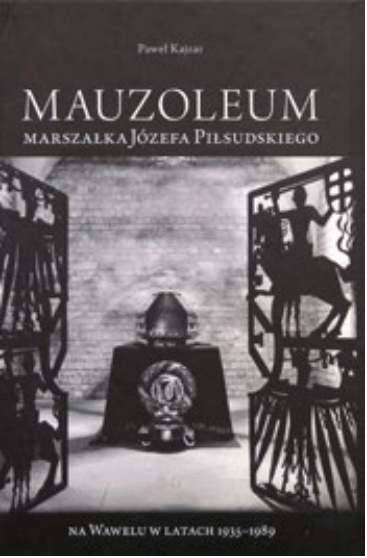
Krzysztof Karpiński, *Tylko smutek piękny jest. Opowieść o Mieczysławie Koszu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.



Krystyna Podleska od lat mieszka w Krakowie. Przy odrobinie szczęścia można ją spotkać na ulicy albo w teatrze. Można już o niej powiedzieć, że to taki nasz krakowski „import” z Londynu. Popularność przyniosła jej rola Oli, dziewczyny prezesa Ochódzkiego w kultowym *Misiu* Stanisława Barei. Choć była zawodową aktorką po dobrej londyńskiej szkole i debiucie przed kamerą w emigracyjnych produkcjach Polańskiego i Skolimowskiego, do filmu Barei i Tyma trafiła przez przypadek, gdy londyńskie sekwencje filmu były już w toku kręcenia. Sama mówi: „Po prostu szukali idiotki – lepiej wziąć autentyczną, niż żeby jakaś aktorka ją grała”. Książka-wywiad Klaudii Iwanickiej odsłania wiele tajemnic z przebiegatego życiorysu Krystyny Podleskiej, ujawniając przy okazji wiele faktów z życia środowiska powojennej polskiej emigracji w Londynie. Podleska jako osoba dwujęzyczna jest także tłumaczem sztuk teatralnych. Zaczęła od przetłumaczenia na angielski *Kopciucha* Janusza Głowackiego, którego londyńska premiera odbyła się dwa dni po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Książka napisana z wdziękiem i w dobrym tempie. Do przeczytania w wieczór.

Jacek Balcewicz

Życie jak film – niebanalna historia dziewczyny z Londynu. Dziewczyna Misia. Krystyna Podleska w rozmowie z Klaudią Iwanicką, Edipresse Książki, Warszawa 2018.



Miejsce spoczynku Józefa Piłsudskiego na Wawelu odwiedzają krakowianie i liczni turyści. Paweł Kajzar w detaliczny, ale ciekawy sposób opowiada najpierw o uroczystym pogrzebie Marszałka i pochówku w krypcie św. Leonarda – co wcale nie było takie oczywiste wobec sprzeciwów władz kościelnych na czele z arcybiskupem Adamem Stefanem Sapiehą. Następnie opisuje powstawanie nowej krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, prace budowlane i adaptacyjne pod kierownictwem Alfreda Szyszko-Bohusza, a także przeniesienie sarkofagu w czerwcu 1937 roku w nowe, docelowe miejsce, co nie obeszło się bez dalszego ciągu tak zwanego konfliktu wawelskiego oraz politycznych awantur. Przedstawia nadto formy kultu Piłsudskiego i uroczystości odbywające się w krypcie do chwili wybuchu II wojny światowej. Zajmuje się też statusem krypty w czasie okupacji i znaczeniem miejsca w czasach PRL, gdy Służba Bezpieczeństwa śledziła wszelkie uroczystości poświęcone pamięci Piłsuskiego. Bo wokół tej trumny nie zawsze był spokój.

(ed)

Paweł Kajzar, *Mauzoleum Marszałka Józefa Piłsudskiego na Wawelu w latach 1935–1989*, Archiwum i Biblioteka Krakowskiej Kapituły Katedralnej, Kraków 2018



Kiedy Boy-Żeleński w latach 20. ubiegłego wieku wydawał *Plotkę o „Weselu”*, wzbudził w kręgach towarzyskich Krakowa skandal konkurujący z tym, jaki 21 lat wcześniej spowodowała właściwa premiera arcydramatu Wyspiańskiego. Od wesela w Bronowicach minęło ponad 100 lat, a siła oddziaływania dramatu na Polaków nie zmniejszyła się. Z tego względu może dziwić, że kontynuacja *Plotki* została napisana dopiero teraz. Katarzyna Siwiec podeszła jednak do tematu inaczej niż Boy: on opisuje gości wesela w Bronowicach w zgodny z tytułem – plotkarski – sposób, ona przygląda się ich historii z rzetelnością naukowca. „Daję Waści złoty róg” to kalendarium życia uczestników *Wesela* – poczynając od lat 80. XIX w. i przeprowadzki Włodzimierza Tetmajera do Bronowic, a kończąc na roku 1975, kiedy umiera Jakub Mikołajczyk, ostatni z gości weselnych. Autorka prowadzi nas rok za rokiem, przedstawiając najciekawsze wydarzenia z życia uczestników *Wesela* i ich rodzin. Historia Władysława Tetmajera (Gospodarz), Kazimierza Przerwy-Tetmajera (Poeta) czy Lucjana Rydla (Pan Młody) była udokumentowana, dlatego najlepsze fragmenty książki opowiadają losy osób mniej znanych, a równie istotnych. Choćby Anny Tetmajerowej (Gospodyni), którą wiatry historii zaprowadziły przez Syberię do Indii, czy Racheli – Pepy Singer, która przeżyła powstanie warszawskie oraz obóz w Pruszkowie.

pk

Katarzyna Siwiec, *Daję Waści złoty róg. Plotki o Weselu ciąg dalszy*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2019.

Woody Allen
**Seks
Snocy
letniej**

Reżyseria Andrzej Majczak

31 listopada
1 grudnia
godz. 16.00, 19.15

rezerwacja
tel 12 422 66 77
www.bagatela.pl

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ZELEŃSKIEGO • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



Multimedia wkroczyły na Wawel

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Gdyby Kazimierz Wielki wstał dzisiaj z grobu i wybrał się do powstałego właśnie na Wawelu Centrum Multimedialnego, pewnie złapałby się z wrażenia za brodę. Zdziwiłyby go nie tylko nowe technologie, które wkroczyły na wzgórze, ale ogrom wiedzy, jaką dzięki nim możemy osiągnąć. Choćby stając przed ścianą wideo i dotykając poszczególnych okienek, by w ten sposób zdobyć praktyczne informacje o wystawach stałych i czasowych, cenach biletów, a nawet punktach gastronomicznych, przez co zwiedzanie staje się prostsze.

Następnie przychodzi czas na strawę duchową, którą zapewnia prezentacja krótkich filmów z życia codziennego wawelskiego wzgórza. Poznajemy w nich zamek z mniej oczywistej strony. A taką z pewnością jest wejście do zamkniętych dla zwiedzających pracowni konserwatorskich. Największe jednak kompendium wiedzy znajduje się tuż obok, w miejscu, gdzie umieszczono sześć interaktywnych stanowisk multimedialnych. Dają one szansę na poznanie nie tylko bogatej historii wzgórza, ale i cennych zbiorów, jakie się tu znajdują. Wiedza ta udostępniana jest również osobom niepełnosprawnym. Dla niewidzących przygotowano specjalną ścianę, na której mogą przez dotyk poznawać detale poszczególnych budowli czy twarze królów oraz przeczytać o nich informacje napisane alfabetem Braille'a. Także osoby niedosłyszące, dzięki specjalnemu systemowi nagłośnienia, mają szansę wysłuchać wielu ciekawych informacji.

Twórcy Centrum nie zapomnieli o dzieciach. W przeznaczonych dla nich strefie znalazła się rzeźba multimedialna autorstwa, podobnie jak i ściana dla niepełnosprawnych, Aleksandra Janickiego.

Na okrągłych ekranach jest tu wyświetlany współczesny model wzgórza wawelskiego, powoli wirujący wokół własnej osi. Mapę można obracać i skalować, a dotknięcie przycisku powoduje podświetlenie wybranego elementu pod makietą i pokazanie informacji na jego temat. Makietę wyposażono jest też w gry dostosowane do różnych grup wiekowych, które polegają między innymi na dopasowaniu kostiumu z epoki do konkretnej postaci historycznej czy na poszukiwaniu skarbu.

– Odwiedzenie naszego Centrum Multimedialnego polecam z jednej strony turystom, którzy wybierają się na zamek i chcą się przygotować do jego zwiedzania, a z drugiej krakowianom, którzy mogą tu choćby w niedzielne popołudnie przychodzić całymi rodzinami, by jeszcze dokładniej poznawać historię wawelskiego wzgórza – zachęca kierujący projektem Hubert Piątkowski.

Może być to jeszcze bardziej atrakcyjne, gdy pobierzemy na telefon darmową aplikację, dzięki której spacerując po Wawelu, od razu dostaniemy informację o obiekcie, przy którym się właśnie znajdujemy.

Beata Zuba, *Paweł*, 40 x 40 cm, akryl na płótnie, 2018

■ Łopaty poszły w ruch

Zanim artyści Teatru KTO pozwolili fachowcom wziąć się do pracy, odtańczyli rytualny taniec z łopatami, dając wyraźny sygnał, że budowa nowej siedziby zespołu została rozpoczęta. W niegdysiejszym budynku Przytułku Zgromadzenia św. Wincentego á Paulo, przy ul. Jana Zamoyskiego 50, w którym mieściło się przez lata kino Wrzos, zostanie zrekonstruowana XIX-wieczna elewacja frontowa, która nawiąże do tradycji miejsca. Natomiast wewnątrz budynku oraz w jego tylnej części będą czekały na widzów nowoczesne przestrzenie teatralne, z przeszklonym foyer i sceną przypominającą czarne pudełko. – Budynek pokryje rozsuwany dach, przez który będziemy mogli wypatrywać słońca i czuć powiew świeżego powietrza. W końcu jesteśmy teatrem plenerowym i to nam pomoże w próbach. Oczywiście będziemy dach zamykać, kiedy zacznie padać deszcz albo śnieg – mówi dyrektor KTO Jerzy Zoń, dodając, że jedną z atrakcji nowej siedziby teatru ma być znajdujący się na tyłach budynku ogród sensoryczny, gdzie dorośli będą wypoczywać, a dzieci przemierzać ścieżki edukacyjne.

Zresztą najmłodsza publiczność może tu liczyć na specjalne względy. W każdą niedzielę będzie miała szansę oglądać zapraszane z całej Polski bajki oraz brać udział w warsztatach poświęconych dwóm zagadnieniom: tolerancji i ochronie środowiska. – Oczywiście, nie zapominamy o dorosłych. Oprócz prezentacji naszych spektakli, będziemy dla nich sprowadzać najlepsze przedstawienia z kraju i zagranicy. Nie rezygnujemy też z funkcji kinowej tego budynku. Jego biała ściana posłuży za ekran kina letniego, a pozostałe po Wrzosie urządzenia pozwolą nam w środku prezentować filmy poświęcone sztuce – dodaje Zoń. Otwarcie nowej siedziby Teatru KTO planowane jest na marzec 2021 roku.

■ Dług spłacony w połowie

O tym, że Kraków chciał, by Jan Klata dalej prowadził Stary Teatr, świadczyła choćby frekwencja na ostatnim zrealizowanym przez reżysera spektaklu na scenie przy ul. Jagiellońskiej. Jego *Wesele* przeradzało się w manifestację, podczas których widzowie protestowali przeciwko polityce ministra kultury i dziedzictwa narodowego, dążącego do usunięcia niewygodnego dyrektora. Piotr Gliński postawił na swoim i dokonał absurdalnej zmiany kadrowej. Klata zniknął na dwa lata. Teraz jednak wrócił pod Wawel, by, jak sam twierdzi, spłacić dług zaciągnięty u krakowskiej publiczności.

I taki symboliczny tytuł nosi wystawiony przez niego w Teatrze Nowym Proxima spektakl *Dług*, inspirowany książką Davida Graebera, opisującą świat przez pryzmat podziału ludzkości na wierzycieli i dłużników, a w konsekwencji panów i poddanych. Klata wplótł do scenariusza także poświęcone temu tematowi fragmenty literatury klasycznej, dzięki którym na scenie Faust spotyka Raskolnikowa, a zamordowana przez niego stara lichwiarka żydowskiego lichwiarza Shylocka z *Kupca weneckiego*. W drugiej części postawił na osobiste zwierzenia aktorów na temat prywatnych doświadczeń choć-

by z zaciągniętym przez jednego z nich kredytem we frankach na mieszkanie.

Recenzenci spektaklu kręcili trochę nosami na niekonsekwencje scenariuszowe, ale wszyscy zgodnym chórem piali nad talentem aktorów, którzy niegdyś tworzyli zespół Klaty i którzy w geście solidarności odeszli z nim z Krakowa. Role w *Długu* Bartosza Bieleni, Marcina Czarnika, Moniki Frajczyk, Małgorzaty Gorol uznano za wybitne kreacje. Można z tego wysnuć wnioski, że reżyser dług spłacił w połowie i zostało mu jeszcze kilka rat, które powinien oddać kolejnymi spektaklami w Nowym. Żeby się tylko pospieszył, bo twarda ekonomia nie zna litości i oprocentowanie rośnie.

■ Festiwal Conrada się nie daje

Na początku roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uznało, że ten jeden z najważniejszych w Europie Środkowej literackich festiwali nie jest strategicznie ważny dla rozwoju polskiej kultury. Ta argumentacja wystarczyła, by nie przyznać mu dotacji. Urzędnicy zmienili jednak zdanie, kiedy współorganizująca „Conrada” razem z Miastem Kraków i Krakowskim Biurem Festiwalowym Fundacja „Tygodnika Powszechnego” odwołała się od decyzji, otrzymując finalnie obniżoną sumę 100 tysięcy złotych. Czytelnicy postanowili wówczas wziąć sprawę w swoje ręce i zaczęli składać się na powstanie kolejnej edycji Festiwalu Conrada.

Ta wyjątkowa impreza na szczęście się odbyła i jak co roku przyciągnęła tłumy miłośników literatury, chcących spotkać się z najciekawszymi pisarzami z kraju i zagranicy. Lista gości, którzy przyjechali, była naprawdę imponująca. Wystarczy tu wymienić: Monę Chollet, Dimitrija Bykowa, Almudenę Grandes czy Mariusza Szczygła i Marka Bieńczyka. Festiwal odbył się pod hasłem „Literatura i rzeczywistość”.

■ To idzie młodość

Byli młodzi, pełni zapału i ideałów. Rozpoczęli studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 20., 30. ubiegłego wieku z przekonaniem, że tu rozwiną swoją sztukę. „Reprezentowaliśmy prowincję – nieokrzesaną, głodną, żarliwą, niezblazowaną mieszczańskimi manierami, niezwiązaną koneksjami z krakowskim Olimpem” – pisał o sobie kolegach Jonasz Stern. Na uczelni przekonali się, że ich profesorowie stoją na straży tradycji i nie mają ochoty z tego rezygnować. Szybko się zbuntowali, sięgając po tematy społeczne i po najnowsze awangardowe nurty. Teraz w Kamienicy Szołayskich, oddziale Muzeum Narodowego, możemy oglądać prace artystów należących do I Grupy Krakowskiej. A byli wśród nich między innymi Aleksander (Sasza) Blonder, Blima (Berta) Grünberg, Maria Jarema, Jonasz Stern, Eugeniusz Waniek czy Henryk Wiciński. Zostały one zestawione z pracami ich nauczycieli – Xawerego Dunikowskiego, Józefa Mehoffera czy Teodora Axentowicza. To zderzenie pokazuje odwagę młodych malarzy i rzeźbiarzy, która pozwoliła im pchnąć krakowską sztukę do przodu.

Magda Huzarska-Szumiec

Listy do redakcji

*
Droga Redakcjo,
Jaka to przyjemność czytać miesięcznik „Kraków”. Oczyszcza intelekt ze zlogów obcowania ze wszechobecną aurą płytkiej bylejakości. Przypomina mi się rozmowa z Krzysztofem Kozłowskim, który wyjaśnił mi, że odszedł z „Tygodnika Powszechnego”, gdy usłyszał, że teraz trzeba pisać o tym, o czym wszyscy piszą. „Kraków” zaprzecza kreatywnie tej zasadzie. I to jest siła!

Uściski serdeczne
Magda i Andrzej Barcikowscy, Warszawa
*
Szanowny Redaktorze,
Przed wszystkim przepraszam, że odpowiadam z takim opóźnieniem.

Zawiniły moje dobre chęci. Chciałem jak człowiek, listem tradycyjnym, pismem odręcznym, niestety, co chwila coś stawało na przeszkodzie, głównie to, że się tak przyzwyczaiłem do maili, że już pewnych odruchów epistolarnych się pozbyłem i byle pretekst powodował odłożenie listu „na jutro”. A potem, im dłużej moje niegrzeczne milczenie trwało, tym starszniejszy wydawał mi się ten list jutrzejszy, który miałbym wypracować i świadomość tej koniecz-

ności mnie obezwładniała. Dziś postanowiłem to przeciąć. Piszę mailowo, banalnie, ale piszę. Przed wszystkim dziękuję za dwa numery. Są urzekające w formie, z niezwykłą liczbą świetnych ilustracji i graficznych, i fotograficznych, od razu muszę wyznać (kajając się), że przeczytać wszystkiego nie zdołałem, od razu się usprawiedliwiam, trzy dni temu poszła do drukarni moja kolejna książka, a wiesz przecież co taka końcówka przed zesłaniem oznacza dla autora. Ale oba „Krakowy” leżą tuż-tuż i zaglądam do nich, jak tylko mogę. Nie mogę promować w serwisach społecznościowych, bo programowo z nich nie korzystam. Ale jak się nadarzy inna okazja – nie omieszkam. Bardzo dziękuję za notkę o „Chamo”. Bycie zauważonym w Krakowie cieszy mnie niezmiennie, tej starej miłości do Krakowa nie pozbędę się już nigdy (chyba że się do Krakowa przeprowadzę, wtedy pewnie by mi przeszło).

Sukcesów dalszych życzę!
Jacek Fedorowicz
*
Panie Redaktorze,
Z przyjemnością czytam miesięcznik „Kraków”! I sukcesów życzę!

Leszek Balcerowicz

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Magda Huzarska-Szumiec, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Małatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyżik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty. **Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

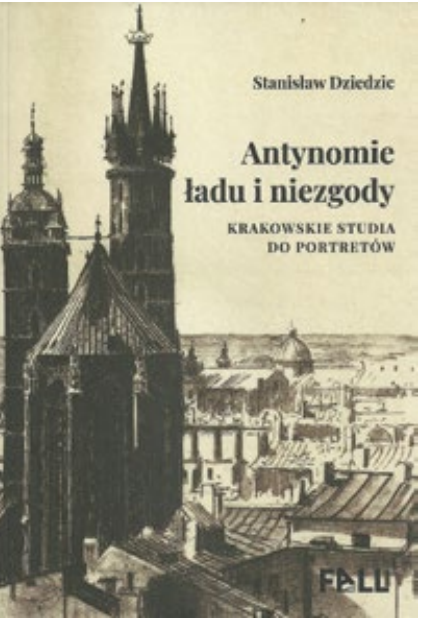
Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl, tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

Dłuska i Wierzyński

Stanisław Dziedzic, dyrektor Biblioteki Kraków, zainteresowań ma bez liku. Aż niezręcznie co krok je opisywać (wszak to wydawca naszego miesięcznika). Ale trzeba podkreślić wagę dwóch co najmniej esejów w tomie *Antynomie ładu i niezgody*.

Dziedzic lubi pisać o teatrze, o Krakowie, o sławnych krakusach, o muzyce. A specjalizuje się w tekstach, które sam określa mianem „studiów do portretów”. Nie wszystkie takie



studia niżej podpisanego wciągają, jak choćby esej o ks. Bukowińskim, choć jego *Wspomnienia z Kazachstanu* były jedną z podstawowych lektur w polskim samizdacie końca lat 70. ubiegłego wieku.

Są jednak dwa tematy, które zaskakują. Jeden to niemal dziennikarstwo śledcze, tropiące inspiracje poetyckie Karola Wojtyły. Wiersze Wojtyły to sprawa osobna, choć znam i cenię ludzi, którzy je lubią. Ale to, jak Dziedzic bada i odnajduje tropy – o, to samo w sobie jest ciekawe.

Najbardziej wzruszająca jest jednak opowieść o profesor Marii Dłuskiej. Dłuska to polonistka i językoznawczyni UJ, współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego”. Kiedy w latach 50. XX wieku Senat uczelni wnioskował o nadanie jej tytułu profesora zwyczajnego – władze odrzuciły wniosek. Ona się nie ugięła – w styczniu 1976 roku podpisała list protestacyjny przeciwko zmianom w Konstytucji PRL.

Dziedzic dotarł do jej osobistych zapisków, w których wyłapuje, że w roku 1963 otrzymała tomik poetycki *Tkanka ziemi* wydany przez paryską „Kulturę”, z bardzo osobistą dedykacją. Okazuje się, że przesłał go w sposób tajny przez umyślnego Kazimierz Wierzyński, jeden z największych poetów polskich XX wieku, który po wojnie pozostał na Zachodzie i był obłożony całkowitą anatemą przez władze komunistyczne. A w książeczce, na przedtytułowej stronie odręczna dedykacja: „Pani Marii Dłuskiej, o której słyszę najlepsze wyrazy, z prośbą o łaskawe przyjęcie”. A ona mu odpisuje w zachwycie: „Poeto mojej młodości. Nigdy Pana nie widziałam. Przed wojną lub po wojnie widziałam Tuwima, Lechonia, Iwaszkiewicza, Broniewskiego, Jastruna, Słonimskiego, Ważyka, oczywiście Przybosa – nie widziałam Pana, Wittlina, Lieberta, Gałczyńskiego. Cóż to za osobliwy poczet!”. Od tej wymiany zaczyna się fascynująca, listowna przyjaźń dwóch niezwykłych osobowości. I tylko raz obojgu uda się spotkać w Rzymie.

(wb)
Stanisław Dziedzic, *Antynomie ładu i niezgody. Krakowskie studia do portretów*, Kraków 2019.

W listopadzie i grudniu świętujemy 15. lecie „KRAKOWA”. Z tej okazji w niedzielę 3 listopada 2019 roku o godz. 17,00 zapraszamy naszych Czytelników do Bazyliki Bożego Ciała na Kazimierzu na Muzyczne Zaduszki Organowo-Skrzypcowego. Przy największych organach Krakowa zasiądzie prof. Roman Perucki, tytułarny organista Katedry Oliwskiej i dyrektor Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, a towarzyszyć mu będzie na skrzypcach żona Maria Perucka. W programie utwory: Jana Sebastiana Bacha (*Toccata i fuga BWV 565*), Janusza Bieleckiego (*Passacaglia, Trzy pieśni*), Mieczysława Surzyńskiego (wariacje na temat *Kto się opiekę i Święty Boże*) i Josepha Gabriela Rheinbergera (z cyklu *6 utworów op. 150 Abenlied, Ouverture*).

W następnym numerze:



Ewa Wachowicz – dama ze smakiem
Kraków miastem wydawnictw
Pod choinkę tylko książka!



Staramy się na łamach miesięcznika „Kraków” propagować krakowską muzykę – również jazz. Miło nam, że organizatorzy Summer Jazz Festival zauważyli nasze starania.



*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec



Rys. Piotr Blachut

Święty Jakub starszy o trzy lata

Wszyscy na A-B z niecierpliwością czekamy na zakończenie prac badawczo-konserwatorskich ołtarza Wita Stwosza, co ma nastąpić w 2021 roku. Nie wyobrażamy sobie bowiem niedzielnej kawusi u Noworoła bez wcześniejszej wizyty w Bazylice Mariackiej i kontemplacji tego arcydzieła gotyku. Tak jak naukowców zelektryzowała nas więc sensacyjna wiadomość o odkryciu na jed-

nej z rzeźb ołtarza wygrawerowanej daty 1486. Chodzi konkretnie o rzeźbę św. Jakuba podtrzymującego zaspiającą Maryję. A jeszcze konkretniej – o bok jego szaty. I być może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że w świecie nauki uważano do tej pory, iż ołtarz Wita Stwosza został poświęcony trzy lata później. Różnica owych trzech lat otwiera ekspertom pole do hipotez i speku-

lacji. Jedna z nich powiada, że główne postaci mogły być już ukończone właśnie w owym 1486 roku. Ale nie ma pewności, czy wówczas to cała centralna część ołtarza ukazała się w pełnej krasie. A może tak się stało, tylko boczne części nie były jeszcze gotowe? Naukowcy mają o czym rozprawiać. Choć na A-B z ust jednej pań usłyszeliśmy też i taką teorię: Nie oddali w terminie, bo zwykle nie oddają.



Rys. Małgorzata Tabaka

Piękny Pies znów pięknie szczeka

Najpierw przytulił się do ulicy św. Jana, potem czmychnął na Sławkowską, by stamtąd pognać na Kazimierz, na ulicę Bożego Ciała. Stąd już miał dwa skoki na plac Wolnica 9, gdzie znów pięknie szczeka. Nie, nie... Nie o owczarku ani o seterze mowa, choć to rasy znaczne, ale o Pięknym Psie – kultowym i legendarnym krakowskim klubie, którego osiemnastoletnia historia wyglądała z grubsza tak, jak opisano powyżej. Adresy się zmieniały, wystrój miejsca też, ale jedno pozostawało niezmiennie: artystowski klimat w oparach bardziej i mniej szlachetnych napojów. Któż tu nie bywał... Poeci wielcy i mali, aktorzy znani i jeszcze nieznani, dziennikarze i artyści sztuk wszelakich. Niejeden student zawałił sesję z powodu zbyt częstych kolokwiów w Pięknym Psie i wczytywania się w piśmko własne klubu, zatytułowane, jakżeby inaczej, „Gadający Pies”. Koncerty, wernisaże oraz wydarzenia bardziej i mniej ulotne od zawsze nadawały kulturalny ton Psu. Krótko mówiąc: krakowski splin przez duże S. To wszystko i jeszcze więcej dzieje się teraz przy placu Wolnica. Będziemy wpadać.

Umówiłem się z nią na dziewiątą

W Krakowie „pod Adasiem”, w Nowej Hucie „pod zegarem” – to uświęcone tradycją miejsca spotkań obywateli naszego miasta. Wyświetlający godziny za pomocą 170 żarówek zegar z placu Centralnego odmierzał szczęśliwie płynący czas spotykającym się pod nim, kolejnym pokoleniom nowohucian. Czas dla zegara był jednak nieubłagany i wybiła godzina, kiedy przestarzałe technologie należało zamienić na nowsze. I tak oto „ten zegar stary” otrzymał nowy sterownik, podający czas dzięki satelicie i systemowi GPS. W miej-

sce pocziwych żarówek pojawiły się ledy, a cały mechanizm obsługuje dotykowy panel operatorski. W przyszłości zegar będzie także podawał temperaturę powietrza czy poziom jego zanieczyszczenia. Leczą, co najważniejsze, chronometr nie stracił nic ze swojego historycznego wizerunku. Śmiało się można więc pod nim umawiać. Nawet po zmroku, jesienią porą, gdyż świeci jaśniej niż poprzednio. Dla spóźnialskich mamy jednak złą wiadomość: zegar z placu Centralnego odmierza czas co do sekundy.



Rys. Piotr Blachut

W AGH nawarzą piwa

Uniwersytet Rolniczy ma swoją winnicę, Uniwersytet Jagielloński zresztą też, tymczasem w Akademii Górniczo-Hutniczej postanowiono wyprodukować własne piwo. Nic dziwnego, wszak górnikom zawsze było najbliżej do tego napoju. Kadzie do warzenia złotego płynu stanęły więc w Klubie Studio, który zyskał nowe przeszklenie, by proces jego powstawania można było podziwiać także z zewnątrz. Będzie się w nich warzyć jednorazowo 10 hektolitrow piwa. Co ciekawe, ten minibrowar powstał dzięki emisji akcji, w której uczestniczyło 450 akcjonariuszy. W ten sposób udało się w ciągu miesiąca zebrać kwotę 2,5 mln złotych. Jeszcze nie wiemy, jak smakuje ów napój, ale mamy nadzieję, że nie przeszkodzi on studentom z AGH w zgłębianiu wiedzy. A rektorom uczelni, które nie mają jeszcze własnego napitku, podpowiadamy: do zagospodarowania jest obszar nalewek, likierów, koniaków i wermutów. Oczywiście wszystko z umiarem i w celach degustacyjnych.

Nam burgund nie podskoczy?

Najpierw trzeba zanurzyć nos w kieliszku (tzw. pierwszy nos), potem kieliszkiem należy zakręcić, by wino napowietrzyć, i ponownie wciągnąć bukiet aromatów (tzw. drugi nos). Teraz można przejść do oceniania barwy, konsystencji i smaku: drobny łycalek i ciamkami. Właśnie odbyliście Państwo krótki kurs degustowania wina. Wykorzystajcie tę wiedzę, gdy natraficie na wina Garlicki Lamus i Solar 2018. Są to bowiem medaliści (odpowiednio srebrny i brązowy) świętujący triumfy w Konkursie Win Polskich w Jaśle. Cieszymy się z sukcesu owych trunków choćby dlatego, że pochodzą z winnicy Uniwersytetu Rolniczego „Garlicki Lamus”. Wyrosły więc z naszej ziemi i rękami naszych winiarzy zostały zrobione. Te dwa wyśmienite białe wina wykosiły niemałą konkurencję, gdyż w konkursie wzięło udział 276 trunków ocenianych przez uznanych degustatorów. I to na dodatek w degustacji „w ciemno”, czyli – mówiąc w skrócie – jury nie wie, co pije. Z pewnością na jakość naszych laureatów ma wpływ świetne położenie winnicy UR na terenie Parku Krajobrazowego „Dolinki Krakowskie” w Garlicy Murowanej, do którego warto się wybrać. My to zrobimy na pewno, bo stoimy murem za polskimi produktami winiarskimi i w ciemno je polecamy. Gdy więc w jakimś przybytku gastronomicznym na A-B dostrzeżecie w karcie win któreś z nich, bądźcie lokalnymi patriotami. Na zdrowie!



Beata Zuba, *Okno* z cyklu *Szeroko zamknięte*, 80 x 100 cm

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Andrzej X., Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerla, Kraków

Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Krzysztof Kołtun, Chełm
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Gwidon Dziwoki, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków

Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków;
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara Jajszczyk, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Ewa Rusek, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kra-ków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIE-LE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy or-ganizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z oso-bistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uni-katowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Depresja piłkarza II

Tekst: Jerzy Pilch

Niedawno wpadł mi w zbrukane internetem ręce tekst Mateusza Świąćckiego opublikowany kilka lat temu na stronie sportowych faktów WP, zatytułowany „Depresja piłkarza. Największa choroba XXI wieku”¹.

Cytuję: „Według najnowszych badań zawodowi piłkarze zapadają w depresję trzy razy częściej niż reszta populacji”.

I dalej autor wymienia „dziesięć najczęstszych czynników stresogennych u sportowców”:

1. Konflikt z trenerem.
2. Brak warunków do rehabilitacji, odnowy biologicznej, powrotów po kontuzjach.
3. Stała presja wyniku.
4. Mecz i warunki do gry (zła murawa, wyzwiska kibiców rywali).
5. Poczucie niesprawiedliwości w doborze składu.
6. Relacja z fizjoterapeutą klubowym.
7. Relacje z konkurentami do gry w składzie.
8. Różnica w wynagrodzeniach.
9. Brak komunikacji między zawodnikami a sztabem szkoleniowym.
10. Zmiana warunków klimatycznych.

Wszystko się zgadza i w pełnej gali trwa do dziś. Spośród wyliczonych przyczyn depresji największą, że tak powiem, oryginalnością cieszy oko późnego czytelnika depresja wywołana brakiem kasy. Ale też depresje wywołane brakiem należytych relacji pomiędzy trenerem a zawodnikiem, przymus strzelania bramek oraz słynna w innych wersjach kabaretowych niewłaściwa wysokość niewłaściwie skoszonej trawy – przegraliśmy, bo trawa była za wysoka, bo przeciwnik był specjalnie trenowany, by z nami wygrać itd.

Czy zawód piłkarza jest rzeczywiście zawodem podwyższonego ryzyka? Czy prócz licznych kontuzji aż tak wielkie spustoszenie sieje? Czy sportowcy pracujący w innych dziedzinach gier zespołowych bardziej odporni są? Lepiej radzą sobie z trenerami, czyli własnymi nieraz demonami? Użycie głowy mniejsze jest bez użycia nóg, z czego wynika, że piłkarze ręczni łżejsi są?

Tego nie wiem, a i wiedzieć nie muszę. Do tematu depresji podchodzę z powagą, sam żyję z nią niemal całe życie. K. śpi i budzi się z nią od lat. Nie chodzi tu o to, żeby nabijać

Nastał czas wszędobylskiego poradnictwa, recept na wszystko. Nie wolno solić ani słodzić, pić kawy ani nawet jej nie pić, nie wolno mówić źle o kobietach, nie wypada mówić dobrze o mężczyznach (Bóg wie, co sobie pomyślą).

się z choroby czy taplać we własnym męczeństwie. Idzie o to, że nastał czas wszędobylskiego poradnictwa, recept na wszystko. Nie wolno solić ani słodzić, pić kawy ani nawet jej nie pić, nie wolno mówić źle o kobietach, nie wypada mówić dobrze o mężczyznach (Bóg wie, co sobie pomyślą), trzeba słuchać sąsiadek, które widząc lekko uchylone drzwi, wbiegają do mojego mieszkania z dobrą nowiną. Fryzjerka uraczyła mnie ostatnio wieścią, iż każda ciężka choroba uleczalna jest dietą. Ale nie byle jaką – odpowiednio i za odpowiednią opłatą dobranej diety. Rozumiecie, co mam na myśli? Zacznę wpierniczyć komosę ryżową z jarmużem posypaną nasionami chia i jagodami goji i zacząć chodzić? A jak!

Z drugiej strony przychodzą mi na myśl teksty jak ten z pierwszego październikowego piątku „Ruch przegania depresję” z „Gazety Wyborczej”. Jeśli się ruszasz, twój organizm produkuje endorfiny. Jeśli się ruszysz, twoja krew będzie mocniej utleniona. Jeśli się ruszasz, ...

Wychodzi na to, że bycie piłkarzem to samo zdrowie i samo szczęście. Ku pokrzepieniu serc Karolina Zarychta-Zajączkowska przypomina, że „(...) regularność sama w sobie może podtrzymać nasze lepsze samopoczucie”². Regularnie więc oglądam podtrzymujące dobre samopoczucie mecze Cracovii.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

¹ Mateusz Świąćcki, *Depresja piłkarza. Największa choroba XXI wieku*, Mateusz Świąćcki, 20.02.16, Sportowe Fakty, Wirtualna Polska.

² *Ruch przegania depresję*, rozmowa z dr Karoliną Zarychtą-Zajączkowską, „Gazeta Wyborcza”, 4.10.19, s. 20–21.

Muzeum Fotografii w Krakowie

WT-PT 11:00–18:00
SB 10:00–17:30
ND 10:00–15:30

CEL STRZELNICA

www.mhf.krakow.pl

Wystawy | Edukacja | Księgarnia | Restauracja

Strzelnica – ul. Królowej Jadwigi 220 – Kraków
www.mhf.krakow.pl

MuFo



Beata Zuba, *W gęstej mgle*, technika własna na płótnie, 193 x 157 cm, 2018